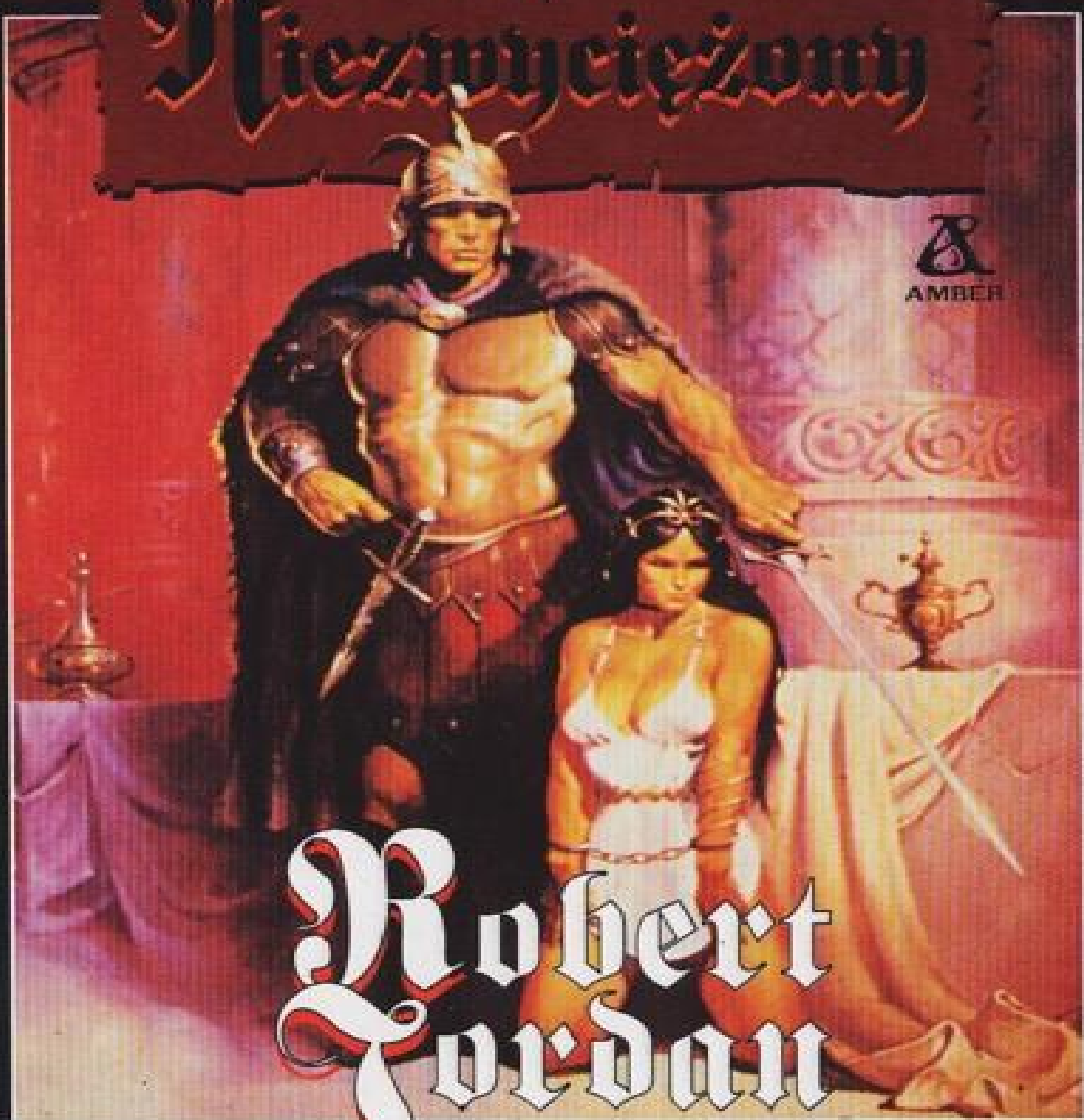


# Conan

## Nieznajęzomy



# Robert Jordan

ROBERT JORDAN

CONAN NIEZWYCIĘŻONY

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE INVINCIBLE

PRZEŁOŻYŁ A. G.

Lodowaty wiatr huczał wśród bezdennych przepaści brunatnych Gór Kezankijskich.

Najzimniej było tam, gdzie rozbijał się o ponury kamienny bastion wyrastający w sercu masywu ze zbocza potężnej bezimiennej góry. Zuchwali górscy wojownicy, nie znający strachu przed człowiekiem ni zwierzem, szerokim łukiem omijali tę nieprzystępną fortecę i czynili magiczne znaki, by odegnąć zło.

Czarownik Amanar ruszył przez wydrążony pod górą korytarz, a za nim poszli jego upiorni towarzysze. Był szczupłym i na swój sposób przystojnym mężczyzną, z elegancko

przystrzyżoną czarną brodą. Wśród jego krótkich włosów wiły się na podobieństwo węży białe kosmyki, w oczach zaś iskrzyły się czerwone punkciki, które nadawały jego wzrokowi niesamowity wyraz i zniewalały każdego, kto nie miał na tyle rozsądku, by natychmiast zniknąć mu z pola widzenia.

Jego pomocnicy — widziani z pewnej odległości — mogli na pierwszy rzut oka uchodzić za zwykłych ludzi. Ich twarze miały jednak dziwnie ostre rysy, oczy błyskały czerwono spod grzebieniastych hełmów, skórę pokrywała wężowa haska, a palce długich, zbrojnych w dzidy rąk kończyły się szponami. Każdy z nich, z wyjątkiem tego, który szedł bezpośrednio za Amanarem, miał u boku krzywą szablę. Sitha, najwierniejszy ze sług czarownika, niósł

obosieczny topór. Oddział dotarł do dwuskrzydłowych wysokich drzwi w skalnej ścianie pokrytej reliefami wyobrażającymi węże.

— Sitha — rzekł Amanar i nie zatrzymując się, wszedł do środka.

Człekojaszczur ruszył za nim i zamknął drzwi za swym panem, który ledwie raczył to zauważyć. Nie zwrócił też uwagi na dwoje nagich więźniów, mężczyznę i kobietę, którzy —

związani i zakneblowani — leżeli za kolumnadą wielkiej komnaty.

Mozaika na podłodze przedstawiała wielkiego węża otoczonego czymś, co mogło być

promieniami słońca. Splątane węże na plecach szaty Amanara obejmowały jego ramiona. Ich głowy wydawały się poruszać na jego piersi, oczy zaś iskrzyły się jak żywe.

— Mężczyznę, Sitha — rozkazał czarownik. Więźniowie rozpaczliwie próbowali zerwać więzy. Lecz pokryty łuską pomocnik kat, o mięśniach kowala, był wielokrotnie silniejszy od skazańca, toteż w mgnieniu oka nieszczęśnik legł z rozkrzyżowanymi rękami i nogami na czerwonobrazowym marmurowym bloku.

Wąskie wyżłobienie biegnące wokół ołtarza kończyło się odpływem, pod którym stała złota czara. Sitha wyrwał więźniowi knebel z ust i odszedł.

Przywiązany do ołtarza skazaniec — błady Ofita — zgrzytnął zębami.

— Kimkolwiek jesteś, synu ciemności, nic ze mnie nie wydobędziesz, nie będę skamlał o życie! Słyszysz? Słowo skargi nie skala mych ust, parszywy psie! Nie będę...

Amanar wydawał się go nie zauważać. Pod swą szatą namacał amulet: złotego węża w łapach srebrnej łasicy. Ten amulet go chronił, i nie tylko on. Czarownik troszczył się o swoje bezpieczeństwo, lecz — jak dotąd — zawsze spotykał się z siłami, którym mógł stawić czoło i które pokonywał.

Stygijscy prostacy, nazywający siebie Magami Czarnego Kręgu, tak beztrąsko pozwolili mu zdobywać wiedzę pod swoim nosem, gdyż z pewnością wierzyli w jego szacunek i oddanie.

Nie domyślali się — dopóki nie było już za późno — jak nimi w głębi duszy pogardzał.

Chętni się swoją władzą w służbie Seta, boga ciemności, lecz żaden z nich nie odważył się choćby zajrzeć do strasznej Księgi Tajfunu. A on się odważył.

Teraz zaczął od egzorcyzmów. Za ołtarzem buchnął dym, czerwonożłoty jak ogień. Dalej otwarła się czarna otchłań bez końca. Zdjęty przerażeniem Ofita dzwonił zębami, lecz milczał.

Wszyscy wiedzieli, że umysł ludzki nie może pojąć strasznej Księgi, choćby jednego jej słowa. Śmiałek, który by się na to poważył, jeśli by nie zginął, na pewno by oszalał. Lecz Amanarowi się udało. Co prawda zdążył się nauczyć tylko jednej jedynej strony. Potem nadprzyrodzone siły Księgi, opanowawszy jego rozum i zamieniwszy jego kości w galaretę, boleśnie go zraniły. Na podobieństwo wyjącego wilka musiał uchodzić z miasta Khemi na pustynię. Targany obłędem na spalonym słońcem bezwodnym pustkowiu, na wieki zachował

ową stronę w pamięci. Śmierć nie miała już doń przystępu. Dym ukształtował się w postać.

Milczącemu Oficie oczy zaczęły wychodzić z orbit. Kobieta próbowała krzyczeć poprzez knebel. Nad nimi w falującym dymie poruszała się złocista czaszka — ni to węża, ni jaszczura — otoczona wieńcem dwunastu wysokich na chłopa macek. Złotołuski korpus węża ginął w mroku, sięgając dalej, niż oko mogło dojrzeć. Rozwidlony język kołysał się pomiędzy ostrymi kłami. Oczy — iskrzące się ogniem wszystkich kuźni świata — spoglądały na czarownika chciwie, jak mu się wydawało. Pospiesznie położył rękę na amulecie.

Umierając z pragnienia, włókł się przed laty poprzez spalony słońcem piach i — niezdolny umrzeć — przypominał sobie stronę Księgi. Wreszcie dotarł do Pteion — nawiedzonych przez duchy ruin miasta, opuszczonego jeszcze w czasach ponurego Acheronu, gdy Stygia była tylko piaszczystą pustynią.

W jego bezimiennych, zapomnianych podziemiach odnalazł Morath–Aminee. Wtrącono go tam, gdyż wystąpił przeciwko Setowi wówczas, gdy ci, którzy dziś zwą się ludźmi, chodząc na czworakach, szukali pędraków pod kamieniami. Owa strona — czyż nigdy nie przestanie go palić jak napisana żywym ogniem? — pozwoliła mu uwolnić boga demonów, uczynić go sobie powolnym — choć

więzy były kruche — i ustrzec się niebezpieczeństwa.

Znalazł Moc.

— Morath–Aminee! — zawołał głosem podobnym do syku i śpiewu zarazem. — O,

Pożeraczu Dusz, którego trzecim imieniem jest Śmierć. Ty, który i zsyłasz śmierć, i słuchasz o śmierci. Twój sługa Amanar przynosi ci tę ofiarę!

Wyciągnął rękę. Sitha podał mu sztylet o złotej rękojeści i złoconej klindze. Ofita rozwarł usta do krzyku, ale zdołał tylko zacharczeć, gdy czarownik podrzynał mu gardło.

Złote macki boga demonów wyciągnęły się po człowieka na ołtarzu, starannie omijając Amanara.

— Twój pokarm, o Morath–Aminee! — zaśpiewał czarownik. Patrzył ofierze w oczy i

czekał na właściwy moment. Groza odmalowała się na twarzy Ofity, gdy stało się dlań jasne, że umiera. A wszak nie odnalazł jeszcze śmierci. Nie miał tyle szczęścia.

Amanar w duchu usłyszał, jak bóg demonów cmoka z zadowoleniem. Z oczu Ofity biła rozpacz. Pojął oto, że zabrano mu więcej niż życie. Czarownik patrzył, jak oczy te tracą życie, lecz nie stają się martwe — jak zmieniają się w puste okna do bezdusznej głębin. — Proś mnie o śmierć! — rozkazał.

Zrozpaczony skazaniec próbował to uczynić, lecz nie zdołał dobyć z siebie głosu.

Amanar się uśmiechnął. Pierś więźnia się otworzyła i czarownik wyjął z niej pulsujące serce.

Poruszało się jeszcze, gdy trzymał je przed oczami Ofity.

— Giń! — rozkazał.

Bóg demonów uwolnił człowieka, którego ciało wreszcie pogrążyło się w śmierci.

Sitha podszedł do mistrza ze złotą tacą. Czarownik położył na niej serce; miało ono znaleźć zastosowanie w jego tajemnym rzemiośle. Lnianą chustką, podaną przez człekojaszczura, osuszył zakrwawione ręce.

— Amanarze! — Syczący głos boga demonów odbijał się od ścian. — O, bezduszny.

Używasz mego daru ofiarnego do własnych celów!

Amanar rozejrzał się pospiesznie.

Kobieta wiła się, bliska obłądu, i nie słyszała nic oprócz własnego, tłumionego kneblem krzyku. Sitha wrócił do drzwi komnaty, jakby nic do niego nie dotarło. Jak inni, S'tarra był w zasadzie niezdolny do samodzielnego myślenia — potrafił tylko wykonywać rozkazy. Położył

więc serce w zaklętej czarze, aby zachowało świeżość. Dopiero wykonawszy rozkaz, mógł zwrócić uwagę na coś poza nim — o ile oczywiście jego bezduszny umysł zdołałby cokolwiek zarejestrować.

Czarownik, okazując pokorę, spuścił głowę na piersi.

— O, Wielki Morath–Aminee, jestem twoim unizonym sługą. Sługą, który cię uwolnił z więzienia ciemności.

Bogowie–demony nie zapominają, w każdym razie nie tak jak ludzie. Jeśli jednak są ludziom coś winni, często wolą o tym nie pamiętać.

Złotołuska macka wyciągnęła się po Amanara. Ten, by nie uciec, przywołał na pomoc całą swoją siłę woli. Macka się cofnęła.

— Nadal nosisz amulet?!

— O, Największy, potężniejszy od ludzi i nadludzkich mocy! Wobec ciebie jestem tak mały i słaby, że mógłbyś, nawet tego nie zauważywszy, zgnieść mnie niczym chrząszcza na drodze.

Amulet noszę tylko dlatego, żebyś mnie nie zapomniał i oszczędził, abym mógł ci nadal służyć i głosić chwałę twoją.

— Służ mi wiernie. Wtedy w owym dniu, kiedy pojmem Seta, jak ongiś on mnie, zapanuję nad krainą ciemności, a tobie dam władzę nad tymi, którzy zwą się ludźmi. Ty zaś będziesz sprowadzał ich do mnie, abym się nimi pożywił.

— Twoje słowo jest dla mnie rozkazem, o Wielki Morath–Aminee!

Amanar zauważył, że Sitha wrócił z dwoma innymi S'tarra. Czarownik uczynił władczy gest i tamci dwaj pospieszyli do zakrwawionego ołtarza. Jeszcze zanim doszli do bloku marmuru, upadli na kolana i pochyłili głowy. Tak skuleni odwiązali ofiarę od ołtarza i wynieśli, nie śmiąc podnieść oczu w obliczu boga demonów.

Rozległo się pukanie do wrót. Zdumiony czarownik odwrócił się. Kto się ośmiela przeszkadzać w ceremonii?!

Pukanie się powtórzyło. Amanar wzdrygnął się, słysząc szept boga demonów:

— Idź, Amanarze. To bardzo ważne.

Czarownik rzucił jeszcze przez ramię niespokojne spojrzenie na złocistą węzowatą postać, nieruchomo trwającą nad ołtarzem. Ogniste oczy obserwowały go — czyżby z

rozbawieniem?

— Przygotuj następną ofiarę, Sitha.

Łuskowate ręce podniosły z ziemi rozpaczliwie wijącą się kobietę.

Naprzeciwko S'tarra stał zdenerwowany otyły Turańczyk ze spiczastą brodą. Jako że był w falującej żółtej szacie, wyróżniał się wśród uzbrojonych po zęby strażników o pustych czerwonych oczach. Amanar szybko zamknął drzwi, nie pozwalając przybyszowi zajrzeć w głąb komnaty. Wielu ludzi mu służyło, lecz mało komu mógł ufać. Nie nadszedł jeszcze czas, aby dowiedzieli się, kim jest ten, któremu służą.

— Jak śmiałeś opuścić Aghrapur, Tewfiku? — sapnął. Tłuszcioch uśmiechnął się przymilnie i skrzyżował ręce na piersi.

— To nie moja wina, mistrzu. Błagam, miej to na uwadze.

— Co tam bełkoczesz, człowieku?

— O, mistrzu! Tego, czego miałem pilnować, nie ma już w skarbcu króla Yildiza.

Amanar zbladł; Tewfik, pomyślawszy, że to z gniewu, wzdrygnął się przerażony. Strażnicy niepewnie przestępowali z nogi na nogę.

Nie gniew jednak owładnął czarownikiem, lecz strach. Amanar złapał Turańczyka za fałdy szaty i uniósł w górę.

— Gdzie to teraz jest? Gadaj, człowieku, jeśli ci życie miłe!

— W Shadizar, mistrzu! Przysięgam!

Amanar prychnął gniewnie i zamyślił się. Skoro Morath–Aminee wiedział, jak ważną wiadomość przyniósł przybysz, to wiedział też, co znalazło się w Shadizar. Potrzebna była nowa skrytka — ale wpiery musiał odzyskać to, co zginęło, i za wszelką cenę chronić przed Morath–Aminee. Musiał zatem wejść z tym w zasięg działania boga demonów. Co za ryzyko!

Wcale nie był pewien, że jeszcze trzyma w ręce rytualny sztylet, dopóki nie wbił go w pierś Turańczyka. Spojrzał w patrzące nań z nienawiścią oczy i poczuł żal. Do tylu spraw używał

ludzi... Doprawdy, byli zbyt pożyteczni, by ich tak po prostu wyrzucać na śmietnik.

Czarownik poczuł lekki ucisk na piersi. Spojrzał — i ujrzał rękojeść sztyletu, wbitego ręką Tewfika. Z pogardą odepchnął od siebie konającego, wyciągnął wbity sztylet i przysunął do oczu rzeżącego w ostatnich drgawkach człowieka klingę, na której nie było kropli krwi.

— Głupcze! — rzucił. — Dopóki nie zabijesz mej duszy, żadna ludzka broń nie będzie mi straszną!

Odwrócił się. Biorąc pod uwagę wieczny apetyt strażników na świeże mięso, niewiele zostanie z Tewfika. Przede wszystkim jednak trzeba dobrze zaopatrzyć Morath–Aminee, by mieć dość czasu na zrobienie tego, co konieczne. Trzeba załatwić więcej więźniów —

Pożeracz Dusz żąda ofiar.

Wrócił do komnaty ofiarnej.



Shadizar ze swymi purpurowymi kopułami i spiczastymi wieżami nie bez powodu zwany był „bezecnym miastem”. To określenie w pełni uzasadniały wszeteczeństwa jego

mieszkańców — zarozumiałych arystokratów, ich cynicznych małżonek i obwieszonych perłami córek. Ale ich występki były niczym w porównaniu z codziennym życiem części miasta zwanej Sheddmem. Jej ciasne ulice i brudne zaułki były siedliskiem złodziei, bandytów, handlarzy żywym towarem, płatnych morderców i wszelkiego śmiecia ludzkiego.

Życie człowieka było tam warte najwyżej parę miedziaków, a dusza po nim nie miała żadnej wartości.

Zwalisty młodzian, przeciągający się w łóżku na piętrze oberży Abuletesa w samym sercu Sheddmu, najwyraźniej nie zaprzętał sobie głowy myśleniem o tych, którzy być może w tej samej chwili oddawali ducha na śmierdzącym bruku. Jego lodowate błękitne oczy

spoczywały na siedzącej naprzeciw niego kobiecie o oliwkowej skórze. Za całą odzież służył

jej złożony mosiężny napierśnik, który raczej uwypuklał, niż zasłaniał jej piersi. Cienkie jak welon spodnie, rozcięte od talii po kostki, i szeroki na dwa palce złożony pas na krągłych biodrach dopełniały stroju. Na palcach miała cztery pierścionki, każdy z innym kamieniem: zielony perydot i czerwony granat na lewej, a białoniebieski topaz i czerwono–zielony aleksandryt — na prawej ręce.

— Nie mów tak, Conanie — mruknęła, nie patrząc na niego.

— Nie mów jak? — warknął.

O ile jego twarz, jeszcze bez śladu zarostu, zdradzała, że liczył sobie nie więcej niż dwadzieścia wiosen, o tyle z oczu widać było, że nie przesiedział tych wiosen za piecem.

Zrzucił z siebie futrzaną kołdrę i zaczął się ubierać. Jak zawsze, najpierw zatroszczył się o broń. Zawiesił przy boku stary, szeroki miecz w pochwie z końskiej skóry, a na lewym przedramieniu — czarny karpazyjski sztylet.

— Za to, co innym sprzedaję za dobrą cenę, od ciebie nie chcę ani grosza. Mało ci?

— Nie ma potrzeby, żebyś to sprzedawała, Semiramis. Jestem najlepszym złodziejem w Shadizar, a może i w całej Zamorze.

Zaśmiała się. Jego palce kurczowo zacisnęły się na rękojeści miecza. W rzeczy samej nie przechwalał się, choć ona mogła o tym nie wiedzieć. Czyż nie zabijał czarowników, nie wykańczał nieśmiertelnych? Czy nie uratował jednego tronu, a innego nie obalił? Któż z jego rówieśników zdążył tyle dokonać? Lecz nigdy z nią o tym nie rozmawiał, bo dla złodzieja sława jest początkiem końca.

— Jesteś wspaniały! — zaśmiała się drwiąco. — Ale co z tego masz? Wszystko, co

ukradniesz, przecieka ci przez palce!

— O, Cromie! Czy to z powodu pieniędzy nie chcesz być moja?

— Głupiś! — prychnęła. I zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wyszła z pokoju z dumnie uniesioną głową.

Przez chwilę patrzył tępo w ścianę. Semiramis nie miała pojęcia, w jaką kabałę się wpakował. Naprawdę był najzręczniejszym włamywaczem w Shadizar i właśnie to ściągnęło nań niebezpieczeństwo. Brzuchaci kupcy i nadęci arystokraci, których piękne komnaty nie miały przed nim tajemnic, postanowili wyznaczyć nagrodę za jego głowę. Próbowali też wciągnąć go w zasadzkę, proponując mu wysoką sumę za odzyskanie zdradzieckiego listu czy też podarku przesłanego nie tej kobiecie, dla której był przeznaczony.

Wyznaczyli nagrodę zapewne nie tyle z powodu kradzieży, ile dlatego, że za dużo wiedział

o ich tajemnicach. Nie mówiąc już o sympatii, jaką ich gorąckokrwiste córki, ku wściekłości ojców, darzyły silnego i przystojnego barbarzyńcę.

Rozdrażniony, zarzucił sobie na szerokie ramiona czarną chauriańską pelerynę ze złotym ornamentem. Dość rozmyślań — jest złodziejem i czas się zabrać do pracy.

Po zniszczonych schodach zszedł do przepelnionej izby gościnnej.

Z wściekłością zgrzytnął zębami. Semiramis siedziała na kolanach wąsatego kothyjskiego handlarza niewolników, odzianego w pasiastą pelerynę. Na jego tłustych rękach błyszczały złote bransolety, a z ciemnego ucha zwisał duży złoty kolczyk. Prawa ręka ciemnoskórego handlarza spoczywała na łonie Semiramis, lewa myszkowała pod stołem. Kothyjczyk szeptał

coś dziewczynie do ucha, ona zaś chichotała, prężąc się zalotnie.

Conan podszedł do szynkwasu i udawał, że nie widzi radosnej parki.

— Wina! — rzucił.

Pogrzebał chwilę w skórzanej sakiewce i wyciągnął parę miedziaków.

Tłusty Abuletes zgarnął pieniądze i postawił przed Conanem bukłak kiepskiego wina.

Tłuste, brudne podgardle wylewało mu się z kołnierzyka spłowiałego żółtego kitla. Głęboko osadzone oczy mogły co do grosza ocenić zawartość sakiewki gościa na dwadzieścia kroków.

W milczeniu stał za szynkwasem. Z nieruchomą twarzą taksował wzrokiem Conana.

Woń cienkiego wina i przypalonej w kuchni pieczeni mieszała się z ulicznym fetorem, wdzierającym

się do izby w ślad za każdym wchodzącym. Noc miała nadejść nieprędko, lecz przy stołach tłoczyli się już kieszonkowcy, uliczni łotrzykowie i stręczyciele. Piersiasta dziwka z mosiężnymi dzwoneczkami u łydek i dwoma pasami żółtego jedwabiu zamiast spodni wdziała się z uwodzicielskim uśmiechem. Conan prześlizgnął się wzrokiem po obecnych, bacząc, co się tu mogło zdarzyć.

Kezankijczyk w turbanie przyglądał się dziwce, oblizując się łakomie. Równie chciwie spoglądali na nią dwaj ciemnoskórzy Persowie w pludrach i skórzanych kaftanach. Bójka wisiała w powietrzu.

Turański fałszerz pieniędzy mamrotał coś do siebie nad dzbanem wina. Było publiczną tajemnicą, że niedawno strasznie go oszukano. W napadzie wściekłości mógł poszukać odwetu na kimkolwiek. Jego długi na trzy stopy ilbarzyjski miecz doskonale się do tego nadawał.

Wróżka przepowiadała przyszłość z kart trzeciemu Persowi. Ten, odziany jak pozostali dwaj, miał jeszcze dodatkowo srebrny łańcuch na piersi.

— Coś nowego, Conan? Jak będzie? — zagadnął nagle Abuletes.

— Jak będzie? — powtórzył jak echo młodzieniec. Nie myślał o słowach gospodarza.

Wróżka nie była ohydną staruchą, jakich wiele w tym zawodzie. Kasztanowe włosy, wymykające się spod kaptura szerokiej brązowej peleryny, zgrabnie obejmowały sercowatą twarz. Znad szerokich kości policzkowych lekkim zezem spoglądały szmaragdowozielone oczy. Ubrana była niebogato, lecz ręce miała wypielęgnowane.

— Czy ciebie naprawdę nie obchodzi nic, co nie dotyczy twoich kradzieży? — warknął

Abuletes. — W ciągu ostatnich miesięcy na turańskim szlaku zginęło bez śladu siedem karawan. Tiridates wysłał wojsko w pościg za Czerwoną Sokolicą, ale mimo najszczęśliwszych chęci nie zdołali nie tylko jej schwytać, lecz nawet chociażby z daleka ją zobaczyć. Wkrótce ma wyruszyć następna wyprawa. Czy się powiedzie? Jeśli znów wrócą z pustymi rękami, to dla uspokojenia kupców król będzie musiał przynajmniej zrobić porządek w Shedomie.

— Parę razy już próbowałem — zaśmiał się Conan. — I, jak dotąd, nic się nie zmieniło.

Pers powiedział coś, szczerząc zęby w brzydkim uśmiechu. Pomyślał to samo co ja —

przemknęło młodzieńcowi przez głowę. Semiramis jest sama sobie winna. Nie musiała tak ostentacyjnie na moich oczach...

Nie spoglądając na parkę po drugiej stronie izby, zapytał:

— Skąd wiesz, że to Czerwona Sokolica? Mówiłeś, że zginęło siedem karawan. Nie za dużo jak na nią jedną?

Abuletes wzruszył ramionami.

— Jak nie ona, to kto? Kezankijczycy? Widziałeś kiedy w tamtych stronach

Kezankijczyków? Zostaje tylko ona. W końcu nie wiadomo, ilu ma ludzi. Mówi się, że do pięciuset, wytresowanych i posłusznych jak sfora psów.

Conan miał już na końcu języka ciętą odpowiedź, ale przy stoliku wróżki zaczęło się robić gorąco. Pers położył na jej ramieniu rękę, którą ona strząsnęła. Wtedy złapał ją za pelerynę i podniecony szepnął jej coś do ucha, brzęcząc sakiewką.

— Poszukaj sobie chłopca! — prychnęła. Wierzchem dłoni uderzyła go w twarz, aż poszło echo. Pers się zatoczył. Z czerwonym obliczem chwycił szeroki turański sztylet.

— Ty dziwko! — ryknął.

Dwa tygrysie skoki... i Conan był przy nich. Zaciśnął rękę na ramieniu Persa i podniósł go z krzesła. Ten zamierzył się, by pchnąć młodzieńca sztyletem... nagle sztylet wyslizgnął się ze zwiotczających palców. Żelazny uchwyt Conana przerwał dopływ krwi do dłoni.

Barbarzyńca pogardliwie cisnął Persa pomiędzy stoły.

— Odczep się od niej! — rzucił ostro.

— Ty draniu! — zawył Pers.

Lewą ręką wyrwał turańskiemu fałszerzowi ilbarzyjski miecz i ruszył na Conana.

Młodzieniec zahaczył stopą o przewrócone krzesło i pchnął je pod nogi napastnika. Pers wpadł na nie i się przewrócił. Próbował się podnieść, lecz jego szczeka spotkała się z ciężkim butem Conana. Legł bez ruchu na ziemi obok stóp Turańczyka. Ten odebrał mu swój miecz i pożądliwie wpatrywał się w nabitą sakiewkę Persa.

Conan zwrócił się do pięknej wróżki (czy mu się tylko zdawało, czy naprawdę widział sztylet znikający pod jej falującą peleryną?).

— Skoro mamy już spokój z tym gościem, czy pozwolisz zaprosić się na wino?

Wydęła wargi.

— Obeszłabym się bez pomocy barbarzyńców.

Spojrzała w lewo, a Conan rzucił się w prawo. Zakrzywiona perska szabla zamiast w jego szyję trafiła w blat stołu.

Młodzieniec pochylił się, zerwał na nogi i wyciągnął z pochwy swój miecz. Dwaj Persowie stali naprzeciwko, o długość stołu od niego. Wyglądali na doświadczonych wojowników.

Przy sąsiednich stołach nagle zrobiło się pusto, lecz przy pozostałych goście nadal zajmowali się swoimi sprawami. Krwawe bójki były przecież w szynkach Sheddomu na porządku

dziennym i rzadko się zdarzało, by nikt w nich nie zginął.

— Ty blade szczeni! Twoja matka nie знаła imienia twojego ojca! — zaczął go lżyć jeden z nich. — Pociąłeś naszego i myślisz, że to przeżyjesz? Ty bękarcie z Północy...

Conan miał dość tej rozmowy. Wydał z siebie dziki okrzyk bojowy Cymmeryjczyków,

wzniósł miecz ponad głowę i ruszył do ataku. Stojący najbliżej Pers z ironicznym uśmiechem tak wymierzył pchnięcie, by przebić barczystego chłopaka, nim ten zada potężny cios. Lecz Conan przewidział to. W ostatniej chwili uchylił się i przykucnął z lewą nogą wysuniętą w bok.

Zobaczył śmierć w wytrzeszczonych ciemnych oczach swego przeciwnika. Gdy tylko

błyszcząca klinga szabli Persa ze świstem przecięła powietrze nad jego głową, ostrze miecza Conana obróciło się, przecięło kaftan i zagłębiło w piersi napastnika.

Czując, jak pod morderczym ciosem rozstępują się kości, barbarzyńca kątem oka dojrzał

ostatniego Persa, który nacierał na niego z wściekle wyszczerzonymi zębami. Wbił ręce w brzuch konającego, wyprostował się i rzucił nim w napastnika. Trup wylądował pod nogami towarzysza. Ten przeskoczył przez niego. Błysnęła zakrzywiona klinga. Miecz Conana odbił

jednak szablę, a wracając ugodził przeciwnika w szyję.

Pers z niedowierzaniem wybałuszył oczy. Zatoczył się do tyłu i padł na wznak,

przewracając na siebie stół, którego próbował się przytrzymać.

Semiramis szła na górę, a ciężka ręka Kothyjczyka władczo spoczywała na jej krągłym pośladku.

Conan wzruszył ramionami i wytarł klingę miecza w pludry ostatniego przeciwnika. Czort z nią, skoro jeszcze nie zauważyła, że miała lepszego! Odwrócił się do stolika wróżki — był

pusty. Zaklął wściekle.

— Kolejny trup — warknął Abuletes.

Tłusty gospodarz klęczał nad Persem, trzymając w ręku jego srebrny łańcuch — dłuższy, niż się to wcześniej wydawało.

— Skręciłeś mu kark. Na kamienie Hanumana, Conanie, zabiłeś mi trzech kolejnych gości.

Lepiej byłoby, gdybyś w przyszłości nie zaszczycał tego lokalu swoją obecnością.

— Odczep się! — rzucił rozdrażniony młodzieniec. — Przynajmniej nie będę musiał pić tych pomyj, które nazywasz winem. A teraz przynieś mi najlepszego wina, jakie masz. Na ich koszt!

Usiadł przy stole pod ścianą i ponuro się zamyślił. Myślał o kobietach. Ta ruda mogła okazać trochę wdzięczności. Ostatecznie uchronił ją co najmniej przed paroma guzami, a może i przed czymś dużo gorszym. A Semiramis...

Abuletes postawił przed nim gliniany dzban i wyciągnął brudną rękę. Conan spojrzął znacząco na ostatniego z trzech zabitych Persów, którego dwaj ulicznicy, zarabiający w szynku takimi i podobnymi posługami, właśnie wyciągnęli za drzwi. Barbarzyńca widział wyraźnie, jak wszystkie trzy sakiewki zniknęły pod poplamionym fartuchem Abuletesa. Po chwili namysłu karczmarz wytarł ręce w fartuch i odszedł.

Conan utopił swe troski w winie.

Stoliki, opuszczone przez gości w czasie walki, wkrótce znów się zapełniły. Nikt nawet nie spojrzął na wywleczone z sali zwłoki, a karczemny gwar nie umilkł ani na chwilę. Pomaga dziewczka z zachwytem spojrzała na szerokie bary barbarzyńcy, lecz widząc jego wściekłą minę, zwróciła się ku innemu.

Conan zastanawiał się, co dalej. Wypił czwarty dzbanek słodkawego wina. Normalna złodziejska zdobycz, nawet trochę lepsza, nie zmieni jego położenia. Wszak gdyby był

bogatszy, ruda na pewno popatrzyłaby na niego łaskawiej i z większą wdzięcznością, a i Semiramis nie spieszyłaby się tak bardzo do pracy.

Za złote kielichy ze skarbców tłustych kupców i perłowe naszyjniki z nocnych stolików pysznych szlachcianek złodzieje otrzymywali jedną dziesiątą ich rzeczywistej wartości. A gospodarować pieniędzmi Conan nie potrafił — czego nie wydał na dziwki, to przepijał albo przegrywał. Jeśli miał do czegoś dojść, musiał dobrze zarobić na jednym włamaniu. Tylko gdzie?

Oczywiście w pałacu. Król Tiridates miał nieprzebrane skarby, każde dziecko o tym wiedziało. Podobnie jak o tym, że król dużo pił, odkąd ponury czarownik Yara stał się faktycznym władcą Zamory. Sprawiedliwość wymagała, by Tiridates obdarzył odrobiną swego majątku człowieka, który doprowadził do upadku Yary. Król jednak nic nie wiedział o czynach tego człowieka. A nawet gdyby wiedział, to i tak nie pozbyłby się dobrowolnie części swego bogactwa.

Coś jest mi przecież winien, pomyślał Conan. I nie będzie kradzieżą, jeżeli wezmę, co moje.

Nawet bez wiedzy Tiridatesa.

Poza tym niedaleko Shadizar leżała Larsha — prastare zakłete miasto. Pochodzenie tych zniszczonych wież i przegniłych murów ginęło w mrokach niepamięci, ale każdy wiedział, że są tam skarby. I że na tych skarbach ciąży klątwa.

Przed dziesięciu laty, gdy Tiridates był jeszcze zdrowym, przedsiębiorczym monarchą, wysłał — w biały dzień! — za mury Larshy kompanię wojska. Nie wrócił nikt, a krzyki ginących wprawiły dwór i gwardię przyboczną w takie przerażenie, że wszyscy uciekli na łeb, na szyję, król zaś nie miał innego wyjścia, jak uciekać razem z nimi.

Trudno powiedzieć, czy ktoś od tamtego czasu próbował szczęścia w zaklętych ruinach.

Pewne było, że nikt stamtąd nie wrócił.

Conan nie bał się klątwy. Czyż nie okazał się już postrachem czarowników? Nie miał też oporów przed włamaniem do królewskiego pałacu. Ale co było lepsze? Wyniesienie

wystarczającej ilości skarbów z pałacu wcale nie było prostsze od ich wydobycia z zaklętych ruin. Co się bardziej opłacało?

Poczuł, że ktoś na niego patrzy. Podniósł wzrok. Kościsty ciemnowłosy mężczyzna o orlim nosie przyglądał mu się uważnie. Odziany był w purpurowy jedwab, a równie purpurowy turban spinała złota brosza. Wspierał się na długiej lasce z gładkiego drewna. Choć nie miał

innej broni, najwyraźniej nie obawiał się rabunku. W ogóle nie wyglądało, żeby bał się czegokolwiek.

— Nazywasz się Conan i jesteś Cymmeryjczykiem. — Nie brzmiało to jak pytanie. —

Mówią, że jesteś najlepszym złodziejem w Shadizar.

— A ty kim jesteś? — spytał Conan ostrożnie. — I dlaczego podejrzewasz w szanowanym obywatelu złodzieja? Jestem żołnierzem Gwardii Królewskiej.

Przybysz bez zaproszenia usiadł naprzeciw niego. Cały czas trzymał w dłoni laskę, którą najwyraźniej uważał za broń.

— Jestem kupcem, który handluje bardzo dziwnym towarem. Potrzebuję pomocy najlepszego złodzieja w Shadizar. Zwę się Ankar.

Uśmiechając się zarozumiale, Conan ryknął nieco wina. Był na bezpiecznym gruncie.

— Cóż to za nietypowy towar chcesz zdobyć?

— Najpierw najważniejsze: jestem gotów za to zapłacić dziesięć tysięcy sztuk złota.

Conan odstawił szklanekę tak gwałtownie, że trochę wina wylało mu się na rękę. Dziesięć tysięcy?! Na Croma! Z taką sumą w ręku nie musiałby kraść, tylko samemu dobrze się zabezpieczyć przed złodziejami!

— Co mam dla ciebie ukraść?

Przez cienkie wargi Ankara przemknął słaby uśmiech.

— A więc przynajmniej jedno jest pewne: złodziej Conan to ty. Czy wiesz, że Yildiz z Turanu i Tiridates zawarli układ o zwalczaniu napadów na wyprawy kupieckie wzdłuż granicy między Turanem a Zamorą?

— Może i wiem, ale co to obchodzi złodzieja?

— Tak ci się zdaje? To słuchaj dalej: dla przypieczętowania tego paktu, ważnego przez pięć lat, królowie obdarowali się nawzajem prezentami. Yildiz przesłał Tirida — tesowi pięć tancerek oraz złote puzdro, którego pokrywę zdobi pięć ametystów, pięć szafirów i pięć topazów, a znajduje się w nim pięć medalionów, każdy z kamieniem, jakiego ludzkie oko nie widziało.

Conan był zmęczony mentorskim tonem obcego. Gość uważał go za ciemnego,

nieokrzesanego barbarzyńcę. Może i miał rację, ale w każdym razie nie powinien traktować go jak półgłówka.

— Krótko: mam ukraść medaliony, ale nie puzdro? — Widok rozszerzonych oczu Ankara sprawił mu niemałą satysfakcję.

Kupiec wziął laskę w obie ręce.

— Jak na to wpadłeś, Cymmeryjczyku? — Jego głos brzmiał złowieszczo.

— Sądząc z opisu, puzdro nie jest warte jednej setnej sumy, którą mi proponujesz.

Pozostały tylko medaliony. — Zawahał się przez chwilę, myśląc o wieku rozmówcy, i dodał z uśmiechem: — Chyba że chodzi o tancerki...

Ankar się nie roześmiał. Patrzył na młodzieńca spod półprzymkniętych powiek.

— Nie jesteś głupi... — przerwał nagle.

Conan spoważniał. Nie jestem głupi jak na barbarzyńcę! — pomyślał. Pokaże jeszcze temu idiocie barbarzyńcę!

— Gdzie one są? — warknął. — Jeżeli w skarbcu, to potrzebuję trochę czasu na opracowanie planu i...

— Tiridates chce, by i na niego spłynęło nieco sławy króla Turanu. Ten prezent jest jawnym dowodem, że Yildiz zawarł z nim układ. Puzdro stoi w przedsionku sali tronowej, tak aby każdy, kto przybywa na audiencję, mógł podziwiać ten wspaniały dar.

— Mimo to potrzebuję czasu — oświadczył Conan. — Dziesięć dni na niezbędne



przygotowania.

— Wykluczone. Skróć okres przygotowań. Trzy dni!

— Jeśli się dobrze nie przygotuję, nigdy nie dostaniesz tych medalionów, a moja głowa, zatknięta na oszczepie, znajdzie się koło Zachodniej Bramy. Osiem dni!

Ankar oblizwał czubkiem języka cienkie wargi. Pierwszy raz w życiu działał niepewnie. Jego oczy zasły mgłą, jakby gubił się we własnych myślach.

— Phi... Cztery dni, ani chwili dłużej!

— Pięć dni! — Conan poszedł mu na rękę. — Jeszcze mi życie miłe.

Oczy Ankar znów się zamgliły.

— Dobrze, pięć — zgodził się wreszcie.

— No, to umowa stoi.

Conan z trudem stłumił chichot. Miał zamiar zdobyć te medaliony jeszcze tej nocy, a certował się o czas, żeby kupiec docenił jego wysiłek. Skoro żądał dziesięciu dni na przygotowanie akcji i po długich targach raczył zadowolić się pięcioma, to ten człowiek uzna go za cudotwórcę, jeśli otrzyma kosztowności jutro rano.

— Dziesięć tysięcy, Ankar.

Ciemnoskóry mężczyzna wyciągnął sakiewkę i położył ją na blacie stołu.

— Dwadzieścia sztuk teraz. Sto, kiedy poznam plan.

— Nędzna zaliczka, jak na taką sumę — mruknął Conan, lecz w głębi duszy był zdumiony: nawet dwadzieścia sztuk złota stanowiło jego największy jednorazowy zarobek. A jutro rano reszta będzie jego.

Sięgnął po sakiewkę. Nagle Ankar wyciągnął rękę i położył swoją dłoń na jego dłoni.

Młodzieniec odruchowo zadrzał. Ręka kupca była zimna jak u trupa.

— Zaprawdę powiadam ci, Conanie z Cymmerii — syknął ciemnoskóry — że jeśli mnie oszukasz, będziesz błagał twych bogów, by twoja czaszka istotnie ozdobiła Zachodnią Bramę.

Conan wyrwał rękę z kościstej dłoni kupca. Miał chęć sprawdzić, czy ma jeszcze palce — lodowata kiść rozmówcy zabrała chyba jego dłoni całe ciepło.

— Umówiliśmy się — powiedział ostro — a ja nie jestem aż tak cywilizowany, żeby nie

dotrzymywać danego słowa.

Przez chwilę myślał, że usłyszy szyderczy śmiech — i wiedział, że jeśli to nastąpi, przybysz zginie. Lecz Ankar skrzywił się nieznacznie i skinął głową.

— Uważaj więc, Cymmeryjczyku, abyś nie zapomniał o danym słowie!

Wstał i odszedł, nie czekając na odpowiedź.

Jeszcze długo po odejściu dziwnego przybysza Conan siedział zamyślony przy stole.

Właściwie ten głupiec zasłużył na to, by nigdy nie zobaczyć z bliska medalionów... Ale słowo się rzekło. Losy prezentu przeznaczonego dla króla były już przesądzone. Wytrząsnął

na szynkwias zawartość sakiewki. Grube złote krążki o zębatych brzegach, z profilem Tiridatesa, potoczyły się po blacie. Zły nastrój prysnął jak bańka mydlana.

— Abuletes! — ryknął. — Wina dla wszystkich! Ech, mieć już te dziesięć tysięcy...

Człowiek, który przedstawił się jako Ankar, opuścił Sheddona, śledzony przez ludzkie hieny. Nieproszeni towarzysze szli za nim przez zaniedbane, śmierdzące ulice, lecz nie odważyli się zbliżyć do niego. Widocznie czuli instynktownie, z kim mają do czynienia. On zaś nie przejmował się ich obecnością, gdyż w razie potrzeby mógł samym wzrokiem podporządkować człowieka swej woli lub gestem pozbawić go życia. Jego prawdziwe imię było Imhep–Aton, a kto je znał, truchlał na samo jego brzmienie.

Wrócił do domu w Hafirze, jednej z lepszych dzielnic Shadizar. Drzwi otworzył mu muskularny Shemita, równie silny jak Conan, z mieczem u boku. Kupiec, handlujący rzadkimi kamieniami szlachetnymi — tyle wiedzieli o nim możni Shadizar — potrzebował

obstawy. Shemita uważał, by nie zbliżać się zbyt do kościstego czarownika.

Pospiesznie zamknął i zaryglował za nim drzwi.

Imhep–Aton szybko udał się w głąb domu i zszedł do głębokiej piwnicy. Wynajął ten dom właśnie ze względu na jego głębokie i rozległe podziemia. Są bowiem rzeczy, które wymagają takich miejsc, gdzie nigdy nie gości słońce.

W przedsionku jego komnaty padły przed nim na kolana dwie dziewczyny o bujnych

kształtach. Mogły mieć po szesnaście lat. Za całą odzież służyły im złote łańcuszki na przegubach rąk i nóg, w talii i na szyi. Z uwielbieniem patrzyły na niego wielkimi, okrągłymi oczami, bez reszty podporządkowane jego woli. Sensem ich nędznej egzystencji było spełnianie każdego życzenia czarownika.

Czar, który je doprowadził do takiego stanu, odebrał im dusze przed dwoma laty. Ich pan trochę tego żałował, gdyż wymagało to sprowadzenia nowych służebnic, do których musiał

się przyzwyczaić.

Dziewczyny padły przed nim na twarze, on zaś zatrzymał się i oparł łaskę o futrynę. Łaska skurczyła się i zmieniła w węża, który zwinął się w kłębek i czujnie zaczął lustrować otoczenie swymi zimnymi, półinteligentnymi oczami. Mając takiego obrońcę, Imhep–Aton nie musiał się bać nieproszonego gościa, w każdym razie ludzkiego.

Jak na pracownię czarownika, pokój był pusty. Nie było tam stosów ludzkich kości, służących magom do podsycania nieczystego ognia, ani zasuszonych mumii, których starte na proszek fragmenty są przydatne do czarnoksiężskich praktyk. Ale i te nieliczne drobiazgi, które tu były, wprawiłyby zwykłego śmiertelnika w obłądny strach.

Na dwóch końcach długiego czarnego stołu unosiły się kłęby smolistej dymu z dwóch rzeźbionych lamp oliwnych, napełnionych łojem z dziewicy zhańbionej przez własnego ojca, a wcześniej uduszonej włosami swej matki. Pośrodku leżała oprawny w ludzką skórę księga, wypełniona

tajemnicami bardziej ponurymi niż wszystko to, co mogło istnieć poza Stygią, oraz przypominające kształtem łono matki naczynie, w którym w mętnej cieczy pływał ludzki płód. Imhep–Aton uczynił kilka magicznych gestów i wypowiedział zaklęcie, które mało kto spośród śmiertelnych mógłby zrozumieć. Homunkulus poruszył się w przezroczystym łonie.

Małeńkie powieki uniosły się z wysiłkiem. Przez zniekształconą twarzyczkę przebiegł skurcz bólu.

— Kto mnie wzywał?

Gardłowy, ochryple, niewyraźny, a przecież niezwykle władczy głos przypominał Imhep–

Atonowi, że oto poprzez setki mil ze starodawnego miasta Khemi w Stygii przemówił do niego Tot–Amon, najwyższy z czarowników Czarnego Kręgu.

— Jam jest Imhep–Aton. Wszystko gotowe. Wkrótce Amanar pograży się w mroku.

— A więc Amanar jest jeszcze wśród żywych. Ten zaś, którego imię niechaj będzie zapomniane, nadal bluźni chwale Seta. Czyń swą powinność. Jeśli zawiedziesz, biada ci!

Zimny pot oblał czoło Imhep–Atona. To on wprowadził Amanara do Czarnego Kręgu.

Zakrztusił się, próbując odpowiedzieć. Przypomniawszy sobie, jak na jego oczach składano wiarołomnego kapłana Setowi w ofierze.

— Nie zawiodę... — zamruczał. Zebrał wszystkie siły, by homunkulus usłyszał jego słowa i przekazał je dalej. — Nie zawiodę. To, po co przybyłem do Shadizar, osiągnę w ciągu pięciu dni, a Amanar i ten, którego imię niechaj będzie zapomniane, znajdą się w mocy Seta.

— Nie mnie zawdzięczasz szansę poprawy. Jeśli zawiedziesz...

— Nie zawiodę. Złodziej, ciemny barbarzyńca, nie znający prawdziwej wartości tego, co ukradnie...

Straszny metaliczny głos ze szklanego łona przerwał mu:

— Nie interesują mnie twoje metody, Seta tym bardziej! Dopilnuj załatwienia sprawy! Jeśli ci się nie uda, zapłacisz za swoje winy!

Małeńkie powieki zamknęły się i homunkulus zwinął się ciaśniej. Połączenie zostało przerwane.

Imhep–Aton wytarł spocone dłonie w purpurową szatę. Rozmowa kosztowała go trochę nerwów, ale odbije to sobie z dziewczynami. Tyle że to nie wszystko. Dziewczęta znały swoje miejsce — choć może nie przeczuwały, jak krótko je będą zajmować. Tu wiele nie zyska.

Złodziej... o, to inna sprawa. Cymmeryjczyk czuł się równy jemu, Imhep–Atonowi, a może nawet sądził, że go przewyższa. Sama świadomość, że ktoś taki chodzi po świecie, spędzałaby czarownikowi sen z oczu. Przypominałaby mu, że kiedyś mógł zginąć, gdyby nie otrzymał pomocy od

zwykłego człowieka.

Jeśli dostanie do ręki medaliony, uwolni Conana nie tylko od trosk finansowych, ale i od wszelkich trosk. Na zawsze.

Po blankach wysokich na pięć sążni alabastrowych murów przypominającego zamek pałacu Tiridatesa, w złożonych napierśnikach i grzebieniastych hełmach z pióropuszcami,

przechadzały się patrole królewskich gwardzistów. Za dnia dumnie paradowały na dziedzińcu pawie, a gibkie dziewczęta wśród zamorskich kwiatów radowały swym tańcem oczy pijanego władcy.

W blasku księżyca zdobione wieże o barwie kości słoniowej i złożone kopuły pałacu wyraźnie odcinały się od granatowego nieba.

W cieniu zamkowych murów Conan uważnie liczył kroki wartowników, którzy to szli sobie naprzeciw, to znów się rozchodzili. Buty i pelerynę schował do torby, by narzędzia, w które się zaopatrzył, nie uderzały o siebie. Miecz przewiesił przez plecy, a jego rękojeść wystawała mu sponad prawego ramienia. Nie zapomniał też o karpazyjskim sztylcie, który tkwił na swoim miejscu na lewym przedramieniu.

Wartownicy spotkali się w połowie drogi i znów się rozeszli. Conan wydobył z torby czarną jedwabną linę z kotwicą i wypadł ze swej kryjówki. Bezgłośnie przebiegł po kamiennych płytach, jednocześnie rozkręcając linę. Miał mało czasu. Jeżeli strażę zdąży zawrócić...

Nie zdążyły. Zarzuciwszy czteroramienną kotwicę na gzyms i ostrożnie pociągnąwszy za linę, Conan wdrapał się na mur. Po schodach wchodziłby dużo dłużej.

Ułożył się płasko na szerokim występie i spojrzał na kotwicę. W mur wbiło się tylko jedno ostrze, i to nie do końca. Jeszcze cal... Nie miał czasu na rozmyślanie. Strącił kotwicę do ogrodu. Prawie bezgłośnie spadła na skłębioną w krzakach linę.

Wartownicy spotkali się niemal tuż nad nim. Kamienny mur odbijał ich kroki. Conan wstrzymał oddech. Jeżeli zauważyli na murze ślad po kotwicy, niezawodnie podniosą alarm.

Zamienili półgłosem parę słów i się rozeszli. Conan poczekał, aż ich kroki ucichły, i zeskoczył do ogrodu.

Skłębione pędy osłabiły jego upadek. Zerwał się i puścił biegiem wzdłuż kryjącego go szpaleru paproci.

Gdzieś w oddali, jak skrzywdzone dziecko, zaskrzeczał paw. Conan w duchu sklął

nieznajomego, który w środku nocy wpakował się do ogrodu i spłoszył ptaka. To na pewno wzbudzi podejrzania strażników... Przyspieszył kroku. Za wszelką cenę musi się znaleźć w pałacu, zanim ktokolwiek przyjdzie sprawdzić, co się dzieje.

Z doświadczenia wiedział, że im dalej od głównego wejścia, tym łatwiej ktoś, kto go spotka, uwierzy, że ma on prawo przebywać nocą w pałacu. Człowieka idącego z niższego piętra na wyższe mógł ktoś zatrzymać, lecz schodzącego z góry raczej nie. Gdyby faktycznie ktoś go zobaczył,

niewątpliwie uznaliby, że jest służącym czy gwardzistą, który wraca od pana do swej kwatery, i nie zwróciłby na niego żadnej uwagi. Nie zatrzymując się tedy, lustrował

białą marmurową ścianę pałacu, szukając nie oświetlonego balkonu. W końcu znalazł go blisko dachu, ze sto stóp od ziemi.

Błądą marmurową ścianę pokrywały płaskorzeźby, co dawało palcom dobre oparcie. Dla Conana, który już jako dziecko wspinał się po strzelistych skalnych ścianach Cymmerii, wdrapanie się na balkon było jak spacer zwyczajną leśną ścieżką. Wkrótce już na nim był.

Znowu odezwał się paw. Nagle jego krzyk zamilkł. Conan spojrział na przechadzających się w dole strażników. Nie zwrócili uwagi na wrzask ptaka albo go zlekceważyli. Niemniej należało jak najszybciej zdobyć medaliony i zniknąć z pałacu. Kimkolwiek bowiem był

człowiek, który kręcił się po ogrodzie i zdaje się zabił pawia, prędzej czy później wartownicy wreszcie się nim zainteresują.

Odsunąwszy adamaszkową kotarę, wszedł do komnaty i był już w połowie drogi, gdy

stwierdził, że nie jest sam. W wielkim łożu z baldachimem ktoś niespokojnie poruszył się pod kołdrą. Conan błyskawicznie złapał sztylet i przyskoczył do łoża. Jedwabne firanki opadły i młodzieniec razem z kimś, kto leżał na łożu, wyładował po jego drugiej stronie, na marmurowej posadzce. Dopiero teraz zauważył miękkie krągłości osoby, na którą się rzucił, i poczuł bijącą od niej słodką woń. By dokładnie zobaczyć, z kim ma do czynienia, odrzucił na bok jedwabną kołdrę. Ujrzał szczupłe nogi, które rozpaczliwie próbowały go kopnąć, potem kształtne biodra, wąską kibić, wreszcie ładną twarz z ciemnymi oczami, patrzącymi z obawą na jego dłoń, którą zatykał dziewczynie usta. Między piersiami miała czarny kamień, oprawny w srebro. Jej nagie ciało pokrywały tylko długie do bioder, ciemne włosy.

— Ktoś ty? — Rozluźnił dłoń, żeby mogła odpowiedzieć. W każdej chwili był gotów

zakneblować ją na powrót, gdyby przyszło jej do głowy wołać o pomoc.

— Zwą mnie Velita, szlachetny panie. Jestem tylko niewolnicą. — Głos jej drżał z przerażenia. — Nie czyn mi krzywdy...

— Nie mam zamiaru. — Rozejrzał się za czymś, czym mógłby ją związać.

Niech sobie żyje, byleby nie podniosła alarmu. Nagle przyszło mu do głowy, że ta obszerna komnata obwieszona kosztownymi dywanami bynajmniej nie wygląda na pokój niewolnicy.

— Co tu robisz, Velito? Czekasz na kogoś? Tylko mów prawdę!

— Nikt tu nie przyjdzie, przysięgam — powiedziała cicho, ze spuszczoną głową. — Król wybrał mnie, ale potem wezwał chłopca z Koryntu. Do haremu wrócić nie mogłam. Ach, tak chciałabym już być w Aghrapurze...

— W Aghrapurze? Czy jesteś jedną z tych tancerek, które Yildiz przysłał Tiridatesowi?

Podniosła z dumą kształną głowę.

— Jestem najlepszą tancerką turańskiego dworu. Król nie miał prawa robić ze mnie prezentu. — Nagle zachłysnęła się ze strachu. — Panie, ależ ty nie jesteś z pałacu! Czy jesteś włamywaczem? Błagam, zabierz mnie stąd. Będę twoja, jeśli tylko uwolnisz mnie od tego pijaka, który przedkłada chłopców nad piękne kobiety.

Conan się uśmiechnął. Owszem, w czasie rozmowy z Ankarem przyszedł mu do głowy

pomysł, żeby wykraść tancerki, ale tylko jako żart! Velita była ładna i miła, lecz przechodzić z takim bagażem przez mur... Przeważyla jednak męska ambicja.

— Wezmę cię ze sobą, Velito, ale nie mam zamiaru trzymać niewolnicy. Możesz iść, dokąd zechcesz, na drogę dam ci jeszcze sto sztuk złota. Przysięgam na Croma i na Bela, boga złodziei.

Szeroki gest, pomyślał, ale stać mnie na to. Zostanie mi i tak dziewięć tysięcy dziewięćset.

Oczy Velity zamglily się ze szczęścia.

— Nie drwisz ze mnie? Ach, znowu być wolną! — Zrzuciła mu ręce na szyję. — Będę ci służyć, przysięgam, i będę dla ciebie tańczyć i...

Przez chwilę jeszcze Conan rozkoszował się miłym dotykiem jej jędrnych piersi, ale w końcu uznał, że czas załatwić pilniejsze sprawy.

— Dostyc, maleńka. Na razie pomóż mi zdobyć to, po co tu przyszedłem. Czy znasz

medaliony, które Tiridates dostał od Yildiza?

— Pewnie, że znam. Jeden nawet mam przy sobie. — Zdjęła przez głowę srebrny łańcuszek i podała mu.

Przyjrzał się medalionowi z zainteresowaniem. Jako doświadczony złodziej umiał ocenić wartość klejnotów. Oprawę i łańcuszek wykonano solidnie: znać było rękę dobrego

rzemieślnika, ale nie były szczególnie wymyślne. Co zaś do kamienia...

Był to czarny owal, gładki w dotyku jak perła, wielkości najwyższego członu jego palca wskazującego. Nie była to jednak czarna perła. Na perłach nie widzi się czerwonych punkcików, które to znikają w głębi kamienia, to wracają na powierzchnię... Oderwał

raptownie oczy od klejnotu.

— Skąd to masz, Velito? Słyszałem, że medaliony są wystawione w złotym puzdrze w przedsionku sali tronowej?



— Puzdro jest tam stale, lecz Tiridates pragnął, byśmy nosiły te klejnoty ilekroć dla niego tańczymy. Dziś w nocy wszystkie je mamy.

Conan schował sztylet i przykucnął.

— Możesz tu sprowadzić resztę dziewcząt, Velito? Pokręciła głową.

— Yasmen i Zuzi są u dowódców Gwardii, Consuela u ochmistrza, a Aramit u jednego z jego doradców. Król mało się interesuje kobietami, więc inni korzystają z okazji... Czy... czy to znaczy, że już nie chcesz mnie stąd zabrać?

— Obiecałem, więc dotrzymam słowa — mruknął. Obracał niepewnie medalion w dłoni. Za jeden klejnot nie dostanie ani grosza, ale jak dotrzeć po kolei do pozostałych tancerek, z których każda jest u kogoś bardzo ważnego i pewnie dobrze chronionego? Po chwili wahania zawiesił srebrny łańcuszek na jej szyi.

— Zabiorę cię stąd, jak obiecałem, lecz jeszcze jedną noc musisz wytrzymać.

— O bogowie! Nie można inaczej... Ale dlaczego?

— Wrócę tu jutro w nocy o tej samej porze. Do tego czasu musisz zebrać medaliony, z dziewczętami czy bez, to nieistotne. Zabrać stąd mogę tylko jedną, żadnej jednak nie zrobię krzywdy, obiecuję.

Velita zagryzła wargi.

— Im wszystko jedno. Mogłyby siedzieć w klatce, byleby była złota — mruknęła. — To, o co prosisz, nie jest zbyt bezpieczne...

— Doskonale o tym wiem. Jeżeli nie możesz się tego podjąć, powiedz mi to teraz. W takim razie zabiorę cię stąd zaraz i zobaczę, co dostanę za jeden medalion.

Ze zmarszczonym czołem klęczała na pomiętej kołdrze.

— Ty ryzykujesz życie, a mnie grozi najwyżej chłosta. Zrobię, co chcesz. Co...

Zatkał jej usta dłonią, bo oto otworzyły się drzwi komnaty.

Mężczyzna w ciemnej kolczudze, z czerwonym pióropuszem na hełmie, wskazującym na stopień kapitana, wpatrywał się w półmrok. Był wyższy od Conana, lecz nie tak dobrze zbudowany.

— Gdzie jesteś, panienko? — Kapitan zaśmiał się głośno i ruszył w głąb komnaty. Conan czekał, aż się zbliży. — Wiem, że tu jesteś, śliczne maleństwo. Lokaj widział, jak z wypiekami na twarzy wybiegłaś z komnaty naszego dobrego króla. Potrzebujesz

odpowiedniego mężczyzny... Co...

Conan skoczył na kapitana, gdyż ten się odwrócił i sięgnął po miecz. Jedną dłonią wykręcił

zbrojną w miecz rękę gwardzisty, a drugą zacisnął na jego gardle. Byle nie zdążył krzyknąć, zanim dostanie nożem między żebra! Próbując zaprzeć się nogami o posadzkę, starli się piersią o pierś. Przeciwnik wolną ręką uderzył Conana w kark. Barbarzyńca puścił gardło Zamorianina i objął go ramieniem. Zwolniwszy przegub wroga, wsunął mu rękę pod prawe ramię i przez prawy bark usiłował złapać go za zarośniętą szczękę. Jego bicepsy wydawały się trzeszczeć z wysiłku, gdy powoli wykręcał głowę kapitana do tyłu. Rosły gwardzista nie próbował już odzyskać miecza. Nagle chwycił Conana oburącz za głowę i starał się ją obrócić.

Oddech świszcział młodzieńcowi w gardle, puls łomotał w uszach, a oczy zalewał pot — jego i kapitana. Stęknął ciężko i jeszcze trochę przekręcił głowę niefortunnego zalotnika.

Rozległ się trzask... i gwardzista opadł na jego piersi.

Conan sapnął i rzucił ciało z nienaturalnie przekrzywioną głową na ziemię.

— Zabiłeś go! — szepnęła z przerażeniem Velita. — Teraz... Ja go znam. To jest Mariates, kapitan Gwardii. Jak go tu znajdują...

— Nie znajdują — przerwał jej Conan.

Zawlókł trupa na balkon i wyjął z torby czarną linę. Sięgała gdzieś do połowy wysokości muru. Przymocował kotwicę do kamiennego parapetu i spuścił linę.

— Jak gwizdnę, odczep linę, Velito.

Związał przeguby rąk gwardzisty jego własnym pasem i w tak powstały uchwyt wsunął

głowę i prawe ramię. Gdy wstał, trup zwisał mu na plecach jak torba. Lekka ta torba nie była, ale szedł z nią po dziesięć tysięcy sztuk złota.

— Co chcesz zrobić? — zapytała dziewczyna. — I jak się nazywasz? Nie znam nawet twojego imienia.

— Sama mówiłaś, że lepiej, by nie znaleziono tu trupa. — Przeszedł przez parapet i upewnił

się, czy kotwica mocno tkwi w murze. Velita, na której piersi połyskiwał medalion, spojrzała na niego z troską. — Jestem Conan z Cymmerii — powiedział dumnie i zaczął się opuszczać po linie.

Bagaż na plecach ciążył mu, jakby trup dawał do zrozumienia: „Chodź ze mną!” Conan był

silny, ale i zabity Zamorianin nie był piórkiem. Związane ręce uciskały gardło

Cymmeryjczyka, lecz balansując wraz z ładunkiem nad pięćdziesięciostopową przepaścią, nie mógł go sobie poprawić.

Wprawnym okiem górala oszacował odległość i kąt. Zatrzymał się na pozbawionym

balkonów odcinku murów. Silnymi nogami odepchnął się od ściany i zrobił dwa kroki w bok.

Zawisł na linie, przeleciał na drugą stronę. Jeszcze dwa kroki po ścianie... i znowu wahnięcie, z odpowiednio większym wychyleniem. Trup mu trochę przeszkadzał, choć jednocześnie dodatkowy ciężar pozwalał na większy rozpęd. Cel, do którego zmierzał — balkon piętro niżej na prawo od pierwszego — był coraz bliższy.

Zostało mu jeszcze dziesięć kroków do wystającego gzymsu. Pięć. Trzy. Nagle pojął, że nie zdoła w ten sposób osiągnąć celu. Nie ma też mowy o wspinaniu się po linie z duszącym go trupem na plecach. Co robić? Bardziej się nie rozbują!

Trzymając się kurczowo liny, próbował biec po pionowej ścianie w kierunku balkonu. To była ostatnia szansa. Jeżeli ta próba się nie powiedzie, dłużej nie wytrzyma i spadnie.

Dziesięć kroków, pięć, trzy, dwa. Za daleko! Zrozpaczony chwycił się jakiegoś występu ściennej płaskorzeźby. Dysząc ciężko, drugą rękę wbił w szczelinę tuż obok i sięgnął ku balkonowi. Jakimś cudem zdołał rozciągnąć się na tyle, że złapał palcami balustradę. Tkwił

nad przepaścią, rozplaszczony na ścianie między liną a balkonem. Zwisające na plecach zwłoki tamowały mu oddech, ręce zdawały się wychodzić ze stawów. Nadludzkim wysiłkiem rozciągnął się jeszcze bardziej i wepchnął stopę między pręty balustrady. Ciągnąc za sobą linę, przerzucił się przez barierę i — dysząc ciężko — padł na marmurową posadzkę balkonu.

Bezpiecznie to tu nie było. Zrzucił gwardzistę z pleców, przechylił się przez balustradę i gwizdnął. Cichy brzęk obijającej się o ścianę kotwicy oznajmił mu, że Velita była na tyle przytomna, by o tym pamiętać. Nad wyraz go to uradowało. Schował linę do torby.

Teraz musiał jeszcze pozbyć się Mariatesa. Z powrotem przypiął mu miecz. Z czerwonymi śladami na przegubach rąk nic się nie da zrobić — trudno, nie można mieć wszystkiego naraz.

Zrzucił trupa po przeciwnej stronie niż balkon Velity. Rozległ się trzask łamanych gałęzi.

Conan uśmiechnął się i po marmurowym reliefie ruszył na dół.

Kapitan leżał z rozkrzyżowanymi rękami i nogami na jakimś zgniecionym krzaku.

Połamane gałęzie wyraźnie wskazywały, że gwardzista wypadł z okna czy balkonu. A co najważniejsze — skoro spadł tutaj, to na pewno nie wyleciał z pokoju Velity.

Conan bezszelestnie przemknął przez krzaki i przywarował pod murem. Znowu liczył kroki strażników i znowu udało się mu niepostrzeżenie sforsować mur. Już w bezpiecznej odległości, w osłoniętym miejscu na placu, usłyszał z muru czy może z ogrodu jakiś krzyk. A może tylko mu się zdawało? Nie miał zamiaru wracać i sprawdzać. Po chwili, już ubrany normalnie, w butach i z mieczem u pasa, szedł przez ulice uśpionego miasta.

W tej dzielnicy ulice były szersze i nie cuchnęły jak w Sheddome. Conan z ulgą pomyślał, że oto ostatni raz wraca do tego śmietnika. Kiedy dostanie zapłatę za swoje trudy, znajdzie sobie coś odpowiedniego...

W ciemności niósł się nad miastem dźwięk pałacowego dzwonu.

O dziwo, po nocnej wycieczce Conan obudził się bardzo wcześnie. Bar był jeszcze pusty.

W kącie Abuletes liczył swoje dochody, w drugim dwaj chudzi starszycy grali w kości.

Tłusty oberżysta spojrział na barbarzyńcę nieufnie i szybko zakrył dłonią leżące na stole monety.

— Wina — rzucił Conan i dobył z sakiewki garść miedziaków.

Pomimo wczorajszej hulanki miał jeszcze przy sobie sześć sztuk złota.

— Przyjaciół nie okradam — dodał, widząc, że Abuletes pospiesznie zgarnia rozrzucone pieniądze.

— Przyjaciół?! — prychnął Abuletes. — W Sheddome nie ma przyjaciół. — Napełnił

gliniany dzban winem z beczki i postawił go przed Cymmeryjczykiem. — Pewnie sądzisz, że przyjaciel można kupić złotem, którym tak szastałeś zeszłej nocy? A swoją drogą, coś nagle taki bogaty? Może miałeś coś wspólnego z tym, co się stało w pałacu? Nie, to nie to. Już przedtem wydawałeś pieniądze z gestem godnym Yildiza. Na wszelki jednak wypadek bądź

ostrożniejszy i nie afiszuj się tak z pieniędzmi. W każdym razie nie w Sheddome.

Oberżysta dogadywałby mu jeszcze, ale Conan przerwał potok jego słów.

— Co się stało w pałacu? — spytał niby mimochodem i pociągnął łyk wina.

— Zabili radcę królewskiego, paru dworzan i kilkunastu gwardzistów.

— Kilkunastu?! Kto?

— Licho wie. Pełno zabitych strażników i ani śladu prezentów od Yildiza. Żadnych wiadomości o sprawcach. Nikt nic nie widział. — Abuletes potarł dłonią tłusty podbródek. —

Tyle że dwaj strażnicy widzieli, jak z pałacu uciekał wysoki mężczyzna. Mniej więcej twojego wzrostu...

— Jasne, że to ja! — parsknął Conan. — Przefrunąłem przez mur, wymordowałem połowę Gwardii, a potem wyniosłem na plecach pół skarbcza, zgwałciwszy na pożegnanie kilka królewskich hurys! No i nikt mnie nie zauważył, bo mam czapkę-niewidkę! — Opróżnił

dzban i postawił go przed grubasem. — Jeszcze raz to samo. Żarty na bok. Co konkretnie zginęło?

— Wszystko. Pięć cennych klejnotów, pięć tancerek i złota kasetka. — Podał Conanowi pełny dzban. — Podobno było tego więcej, tyle że wszystko zginęło. Wiem, że to nie ty, ale co cię to właściwie obchodzi?

— Jestem złodziejem. Ktoś wykonał za mnie kawał roboty i wyniósł ten towar z pałacu.

Łatwiej mi będzie okraść złodzieja niż dobrze strzeżoną królewską rezydencję.

Okraść, ale kogo? Ankar by na pewno nikogo innego nie wynajął, to było pewne.

Pozostawali tylko strażnicy, którzy nie oparli się pokusie i ulotnili ze skarbem i tancerkami, likwidując po drodze kilku bardziej obowiązkowych kolegów. Ewentualnie gwardziści, którzy po kryjomu wpuścili do pałacu złodzieja i których zamiast nagrody spotkała śmierć.

Abuletes chrząknął, splunął przez lewe ramię i wytarł kontuar rękawem.

— Na twoim miejscu trzymałbym się od tego z daleka. Złodzieje na pewno nie byli z Sheddomu. Mówię ci, nie wchodź w drogę komuś, kto okrada królów. Na mój nos to nie byli zwyczajni ludzie. Ludzie nie zrobiliby niepostrzeżenia takiej jatki.

Jasne, że to mógł być tylko czarownik, pomyślał Conan. Ale jaki czarownik — człowiek zresztą też — decydowałby się na takie ryzyko, żeby wykraść z pałacu pięć tancerek? Bez sensu. Zresztą, tu czarowników nie było, tyle to i Abuletes wiedział.

— Za lekko wydajesz pieniądze — skonstatował sucho grubas. — To wszystko. Nic innego się za tym nie kryje. Zresztą, bez względu na to, o co tu chodzi, trzymajmy się jak najdalej od tej sprawy! Nieważne, kto w tym maczał palce. Za młody jesteś, żeby się w to pakować.

Będzie tylko o jednego wisielca więcej, a ja będę miał o jednego klienta mniej.

— Może i tak. Na Bela! Muszę się przejść. Brzuch mnie boli od gadania o cudzych zarobkach.

Gospodarz zamruczał coś do siebie. Conan wyszedł na ulicę.

Wszystko można było znaleźć w Sheddomie, ale na pewno nie świeże powietrze. Smród wszelkiej zgnilizny mieszał się z wonią ludzkich wymiotów i ekskrementów. Dziurawy bruk pokrywała gruba warstwa błota i gnoju. W wąskim zaułku, w którym z trudem mogło się wyminąć dwóch ludzi, ktoś jęczał — może ofiara napadu, może przynęta dla bandyty, nie sposób zgadnąć. Jedno i drugie było równie prawdopodobne.

Conan pewnym krokiem szedł przez ulice złodziejskiej dzielnicy, choć w gruncie rzeczy nie był pewien, dokąd powinien się udać.

Stary paser ze srebrnym, czy raczej posrebrzonym, łańcuszkiem na kamizelce, pozdrowił go w przelocie. Pod łukiem nad starą bramą uśmiechnęła się do niego prawie naga ladacznica z mosiężnym dzwoneczkiem przy uchu. Na widok barczystego chłopaka nagle przestała

odczuwać zmęczenie. Conan nie zwrócił na nią uwagi, podobnie jak na „ślepego” żebraka, macającego sękatym kijem bruk ulicy. Odziany w czarne łachmany dziad dojrzał zacięty wyraz

twarzy barbarzyńcy i głębiej schował sztylet pod brudnym kaftanem. Conan nie zwrócił też uwagi na trzech osobników w ciemnych szalach zasłaniających część twarzy, z muskularnymi rękami konwulsyjnie zaciśniętymi na solidnych pałkach wyraźnie rysujących się pod fałdzistymi pelerynami. Wiedział, że nie musi się niczego bać. Przyjrząwszy się posturze barbarzyńcy i jego potężnemu mieczowi, dziwna trójka poszła inną drogą.

Conan próbował wmówić sobie, że nie ma już szansy na zdobycie medalionów. Miał tylko jeden trop, najpewniej błędny. Domyślał się, kto ukradł klejnoty, ale nie miał bladego pojęcia, gdzie ten ktoś mógł się teraz znajdować. Wszelako dziesięć tysięcy sztuk złota nie chodzi piechotą.

A poza tym była Velita. Co prawda dziewczyna byłaby szczęśliwa u każdego pana, który by ją dobrze traktował, ale to nie miało znaczenia. Musi ją uwolnić, obiecał, mała: przysiągł na Bela i Croma. Przysiągł, że to uczyni. A więc w grę wchodziły i przysięga, i dziesięć tysięcy.

Dopiero teraz zauważył, że opuścił Sheddum i że znajduje się niedaleko gospody „Pod Tańczącym Bykiem” na ulicy Złotej. Środkiem szerokiej, bogato wyglądającej ulicy biegł

wysadzany drzewami trawnik. Lektyk widziało się niewiele, mniej niż pieszych, a żebraków nie było wcale. Nie było to już Sheddum, ale Conan miał tu przyjaciół, a raczej znajomych.

Szyld oberży, przedstawiający szczupłego młodzieńca ze skórzanym pasem wyczyniającego

„magiczne” sztuki pomiędzy rogami silnego byka, kołysał się na wietrze. Conan wszedł do środka.

Na pierwszy rzut oka lokal ten niewiele się różnił od szynków Sheddumu. Knajpa zawsze będzie knajpą, gdziekolwiek by stała, pomyślał Conan. Zamiast jednak kieszonkowców i włamywaczy, tu przy stołach siedzieli kupcy. Jeden diabeł, tylko innych metod używają dla przywłaszczenia cudzych pieniędzy — przemknęło barbarzyńcy przez głowę. Nie było tutaj fałszerza pieniędzy z oberży Abuletesa, był za to szczupły osobnik z wypomadowanymi wąsami, znany z pokątnych interesów z królewskimi urzędnikami. Stręczyciele ubierali się jak wielcy arystokraci — w szkarłatne szaty i szmaragdowe kolczyki. Wielu z nich było istotnie wysokiego rodu, ale przez to nie stawali się ani odrobinę mniej stręczycielami.

Dziwki zamiast mosiężnych ozdób z kryształu górskiego nosiły oprawne w złoto rubiny, lecz były tak samo nagie, wcale nie ładniejsze i jednakowo rade każdemu, kto zapłaci żadaną —

odpowiednio wyższą — cenę.

Przy stole pod ścianą Conan odnalazł mężczyznę, którego poszukiwał. Kupiec Ampartes mało przejmował się pochodzeniem towaru, który nabywał. Dzięki temu wiedział na bieżąco o wszystkim, co się działo w Shadizar.

Młodzieniec padł na krzesło naprzeciwko korpulentnego handlarza. Pod jego ciężarem krzesło jęknęło. Podobnie jęknął i Ampartes. Zbladł na tyle, na ile to było możliwe przy jego oliwkowej cerze. Rozejrzał się, czy przybycie barbarzyńcy nie zwróciło niczyjej uwagi.

Upierścienionymi palcami skubnął spiczastą brodę.

— Conan?! Co tu robisz?! — syknął i zbladł jeszcze bardziej na myśl, że ktoś niepowołany może usłyszeć imię gościa. — Nie potrzebuję twojego... twojego nietypowego towaru!

— Za to ja potrzebuję twojego. Powiedz, co zaszło tej nocy w mieście.

Głos Ampartesa przeszedł w falset.

— W pałacu?! O to...

— Nie — odparł Conan, z tłumionym rozbawieniem dostrzegając ulgę na twarzy tamtego.

Sięgnął po cynowy pucharek stojący na tacy obsługującej ich dziewczyny, której za całą odzież służyła wąska jedwabna przepaska na biodrach, i nalał sobie wina z błękitnej karafki Ampartesa. Dziewka spojrzała na niego, gotowa do dalszych usług. Gość jednak nie zwrócił

na nią uwagi.

— Chcę usłyszeć całą resztę! — zażądał Cymmeryjczyk. Słyszając, że Conan nie zamierza wplątywać go w sprawę rabunku w pałacu, kupiec odprężył się i zaczął mówić. Trwało to bite dwie godziny.

Conan dowiedział się więc, że minionej nocy hurtownik wina udusił swoją kochankę, przyłapawszy ją in flagranti ze swoim synem. Że bogatego jubilera z niewiadomych przyczyn zarżnęła nożem własna żona. Że ktoś porwał siostrzenicę bogatego arystokraty, ale osoby dobrze poinformowane twierdzą, że okup wypłacony ze spadku po nim pójdzie na spłatę jego długów. Że były włamania do pięciu kupców i dwóch arystokratów. Że na ulicy Luzatyńskiej napastnicy zabrali pewnemu możnowładcy lektykę i zdarli cenną odzież z grzbietu. Że znanego handlarza niewolnikami ktoś zadźgał pod bramą jego domu handlowego — jedni mówią, że chodziło o zdobycie kluczy do jego kasy, inni — że nie zwracał należytej uwagi na pochodzenie towaru i sprzedał do Koth porwaną młodą damę. Że kupiec z Akifu, który prowadził popularny dom uciech...

— Dosyć! — Conan huknął pięścią w stół. Ampartes zastygł z otwartymi ustami i patrzył

na niego z przerażeniem. — Opowiadasz mi jakieś bzdury. To wszystko mogło się zdarzyć w Shadizar każdej nocy, i zresztą ciągle się zdarza. A ja chcę wiedzieć, co tu zaszło niezwykłego! Nie muszą być trupy, może nie być złota, byle było niezwykle... i prawdziwie!

— Nie wiem, czego ode mnie chcesz — jęknął kupiec. — Owszem, jest historia z pielgrzymami, ale na tym nic się nie zarobi. Po diabła ja tracę czas na takie rozmowy?

— Pielgrzymi? — spytał ostro Conan. — Co w tej historii jest nietypowego?

— Na Mitrę, co cię... — Lodowato błękitne oczy Conana zdawały się przewiercać grubasa na wylot, dając do zrozumienia, że lepiej nie zadawać głupich pytań. — Jak sobie życzysz.

No więc przyjechali z Argos, to daleko na zachodzie. Wybierają się z pielgrzymką do jakiegoś



sanktuarium w Wendii, nieco na wschód stąd.

— Nie prosiłem o lekcję geografii! — warknął Conan. — Wiem, gdzie leży Argos, i o Wendii też słyszałem. Co oni zrobili nadzwyczajnego?

— Wyjechali z miasta dwie godziny przed pierwszym pianiem kogutów, trochę dziwne, nie? Podobno przed wyruszeniem z Argos złożyli przysięgę, że każdy świt zastanie ich w drodze. Tak zrozumiałem. Co ci to daje?

— Nie twoja rzecz. Gadaj dalej, chyba pytałem o coś. Co to za ludzie, ci pielgrzymi?

Ampartes spojrział na niego dziwnie i pokręcił głową.

— Człowieku, na dzwony Zandrusa, co cię napadło?! Chcesz, żebym o jakiejś grupie pielgrzymów wiedział coś nad to, że przeszła przez Shadizar?

— Chcę — odparł Conan sucho — żebyś o każdej porze dnia i nocy wiedział, który księżę przegrał w kości, kto spał z czyją żoną i ile razy król w nocy kichnął... Rusz głową, Ampartesie! Co z tymi pielgrzymami?

— Kiedy nic więcej nie wiem... — Gruby kupiec skulił się, gdy Conan położył na stole lewą rękę.

Futerał na sztylet był pusty. Prawa ręka barbarzyńcy znikła pod stołem.

— Pielgrzymi jak pielgrzymi — bąknął grubas. — Co jeszcze mam ci powiedzieć? Byli szczelnie spowici w peleryny z grubo tkanej wełny, z kapturami. Wieźli na wielbłądach zwłoki pięciu towarzyszy, którzy zmarli po drodze. W beczułkach od wina, chyba

zabalsamowane. Podobno ślubowali na początku drogi, że każdy, kto wyruszy na

pielgrzymkę, dotrze do celu — żywy czy martwy. Jechali wierzchem tak sobie, nie lepiej ani nie gorzej niż przeciętni pielgrzymi. Na Mitrę, Conanie, jak długo można rozmawiać o kilku pielgrzymach?

Pięć beczek!

— Byli z nimi jacyś żołnierze czy ktoś inny z bronią?

Ampartes pokręcił głową.

— Z tego, co wiem, nie mieli przy sobie nawet głupiego noża. Strażnikowi przy Bramie Płatnerzy powiedzieli, że czuwa nad nimi duch ich boga. A wtedy on rzucił, iż bóg bogiem, a miecz mieczem i nie wystarczy nosić wojskowych butów.

— Co za buty?

— Bogowie! Jeszcze mu o butach opowiadaj! — Kupiec wznosił ręce ku niebu. — Niech będzie.

Otóż podobno jeden z nich miał wojskowe buty jeździeckie. Peleryna zaczepiła mu się o strzemię, dlatego było je widać. Chcesz jeszcze coś wiedzieć o pelerynach? — spytał

zgrzyźliwie. — Czerwone, z węzowatym ornamentem. Trochę dziwne, ale tak było. I to jest wszystko, co wiem o tych zasranych pielgrzymach! Wystarczy? Zaspokoilem twoją

ciekawość? Na wszystkich bogów świata, czego ktoś taki jak ty może chcieć od pielgrzymów?

— Może się nawróciłem — odparł Conan — a może się teraz zajmę religioznawstwem. —

Schował sztylet do pochwy.

Kupiec ryknął śmiechem. Conan wstał i wyszedł, a Ampartes śmiał się dalej, aż łzy spływały mu strumieniami po tłustych policzkach.

Barbarzyńca pędził ku stajni, w której pozostawił konia. Wiedział, że się nie mylił. Pięć „trupów” w beczkach to nie jedyny dowód.

Przez Bramę Płatnerzy... Tamtędy prowadziła droga na północny wschód, do szlaku

karawan z Chezronu przez Góry Kezankijskie do Sultanapury. Conan w życiu nie był w Wendii, ale wiedział, że jedzie się tam przez Bramę Czarnego Tronu i dalej na południowy wschód, przez Turan i wybrzeża Morza Vilayet.

Osiodłał konia i ruszył naprzód — przez Bramę Płatnerzy gonić Velitę, medaliony i swoje dziesięć tysięcy sztuk złota.

Człowiek w zbroi wyraźnie różnił się od pozostałych obecnych w prywatnej komnacie audiencyjnej Tiridatesa. Cała jego zbroja, od nagolenników po hełm, była matowoczarna, by nie odbijała światła. Nawet pióropusz na grzebieniu hełmu nie był szkarłatny, lecz ciemnoczerwony. Był to kapitan Gwardii Konnej Haranides — człowiek, który swoją karierę zawdzięczał wyłącznie sobie, nie możliwym protektorom czy rodzinnym powiązaniom. Teraz kapitan mocno wątpił, czy było o co walczyć.

Z pozostałych czterech osób obecnych w wyłożonej mozaiką z kości słoniowej komnacie tylko dwie były godne uwagi. Tiridates, król Zamory, siedział niedbale na swoim mniejszym tronie o poręczach w kształcie złotych lampartów sprężonych do skoku i oparciu z rzeźbą przedstawiającą pawia, wysadzany szmaragdami, rubinami, szafirami i perłami. W wiotkich palcach monarcha trzymał złoty kielich wypełniony winem. Ubrany w wymiętą i poplamioną szatę barwy ametystu, z trudem powstrzymywał się od zamknięcia oczu. Drugą ręką gładził

blond włosy dziewczyny przyodzianej tylko w perłowy naszyjnik i spowitą w woń cennych pachnideł. Przymilnie wyciągała łabędzią szyję. Z drugiej strony tronu klęczał też jasnowłosy, też szczupły chłopiec, równie skąpo odziany jak dziewczyna. Dąsał się nieco, zazdrosny o względy króla.

Na szczególną uwagę, większą nawet niż sflaczały monarcha, zasługiwał mężczyzna stojący o trzy kroki na prawo od tronu. Posiwiwały, lekko przygięty wiekiem, o pomarszczonej twarzy człowieka wszechstronnie doświadczonego przez życie, ubrany był w czerwoną szatę ze złotym ornamentem. Na szmaragdowym łańcuchu zawieszonym na jego szyi wisiał złoty herb Zamory.

Człowiek ten nazywał się Ahersus. Herb, który był zarazem wielką pieczęcią królestwa, trafił do niego w związku ze śmiercią dotychczasowego doradcy królewskiego — Malderesa, zabitego minionej nocy.

— Kapitanie, czy wiesz, dlaczego cię tu wezwano?

— Nie, o panie — odpowiedział sztywno Haranides. Doradca spojrzał nań wyczekująco. Po dłuższej chwili kapitan dodał: — Domyślam się, że ma to coś wspólnego z wydarzeniami ostatniej nocy?

— Owszem. A czy domyślasz się także, dlaczego wezwaliśmy ciebie, a nie kogoś innego?

— Nie, o panie. — Tym razem istotnie nie miał bladego pojęcia.

O świcie pilnie wezwano go do Shadizar z jego posterunku na kothyjskiej granicy. Nie ułatwiano mu służby. Ale czego może się spodziewać oficer bez koneksji?

— Wybór padł na ciebie, ponieważ w minionym roku służyłeś poza Shadizar. — Haranides w osłupieniu zamrugął oczami, a dygnitarz się uśmiechnął. — Widzę, że jesteś trochę zdziwiony, jakkolwiek próbujesz tego nie okazywać. To cenne u oficera. Nie bywając prawie w mieście, nie mogłeś uczestniczyć w spisku, który doprowadził do tego, co się stało dzisiejszej nocy.

— Spisek?! — wyrwało się kapitanowi. — Wybaczcie, o panie, ale Gwardia Królewska zawsze była szczerze oddana tronowi.

— Wierność i zaufanie do towarzyszy broni także jest piękną rzeczą, kapitanie — głos Ahersusa stwardniał — ale wszystko ma swoje granice. Dopiero co przesłuchaliśmy

wszystkich, którzy minionej nocy mieli służbę w pałacu. Oczywiście, śledztwo jeszcze potrwa...

Haranidesowi kroplisty pot wystąpił na czoło. Nie miał ochoty dotrzymywać towarzystwa tym, którzy dostali się w ręce królewskich oprawców.

— O panie, zawsze byłem wiernym i oddanym żołnierzem.

— Dziś rano przejrzałem twoje akta — rzekł Ahersus ostrożnie. — Twój powrót do miasta akurat teraz, to jak znak Mitry. Czas są niepewne, kapitanie...

Haranides z przerażeniem stwierdził, że całkiem zapomniał o obecności Najjaśniejszego Pana.

— Chcę ujrzeć ich czaszki na grotach oszczepów, Ahersusie! Ośmielili się ukraść moje...

mój prezent od Yildiza, moje tancerki! — Z ponurym uśmiechem król spojrział na niewolnicę i przeniósł wzrok na Haranidesa. — Sprowadzisz je tutaj, kapitanie, słyszysz?! Dziewczyny, medaliony, szkatułę... i głowy! Głowy!!! — beknął i osunął się na tron. — Więcej wina —

zamruczał.

Chłopiec zerwał się i za chwilę wrócił z kryształowym dzbanem, uśmiechając się

przymilnie.

Kapitanowi gęsty pot płynął nie tylko z czoła, ale i wzdłuż pleców. Wszyscy wiedzieli —

choć nikt tego głośno nie mówił — że król jest opojem jakich mało, ale co innego wiedzieć, a co innego widzieć. Nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć.

— Zmartwienie Jego Wysokości z powodu utraty drogiego daru jest naturalnie

potworne, kapitanie — rzekł Ahersus, kątem oka obserwując władcę. Oblicze monarchy niemal w całości znikło w wielkim pucharze. — Z szerszego jednak punktu widzenia ważniejsze jest co innego: przede wszystkim zginął najwyższy doradca królewski.

— Innymi słowy, uważacie, panie, że to był cel akcji, a całą resztę wykonano tylko po to, aby odwrócić uwagę?

— Niegłupi z ciebie człowiek, kapitanie. Możesz jeszcze daleko zajść. Tak, to jest jedyne logiczne wyjaśnienie, inaczej cała sprawa nie ma sensu. Jakież siły z zewnątrz miały interes w usunięciu Malderesa. Może Yildiz? Zamierza stworzyć światowe mocarstwo, a Malderes w jakiś sposób mu w

tym przeszkadzał. — Ahersus w zamyśleniu manipulował łańcuchem pieczęci. — Nie sędzę w każdym razie, by Yildiz, czy kto za tym stoi, kazał swym ludziom własnoręcznie przeprowadzić tak ryzykowną akcję... Jeden z przesłuchiwanym oficerów wykrzykiwał w agonii imię Czerwonej Sokolicy.

— To tylko bandytka, o panie.

— To prawda, jak również to, że niejednemu żołnierzowi dała się we znaki. Prawdą jest i to, że konający bredzą. Jedno wszakże jest pewne: dla złota ta kobieta pójdzie na każde ryzyko. Innych tropów na razie nie mamy i nie będziemy mieli, dopóki któryś z więźniów nie wyjawia czegoś więcej.

Zacięty głos wskazywał na to, że tortury dopiero się zaczęły. Haranides zadrżał.

— Kapitanie, weźcie dwa szwadrony kawalerii i ścigajcie Czerwoną Sokolicę. Znajdźcie ją i sprowadźcie w kajdanach tutaj. A potem już szybko się dowiemy, czy miała z tym coś wspólnego.

Haranides głęboko odetchnął.

— O panie, gdzie mam jej szukać? Skąd zacząć? Ta diablica działa w całym kraju...

Rozległ się nagle niezrozumiały chichot niewolnika czy może niewolnicy, trudno to było stwierdzić, bo monarcha tulił oboje do swej piersi.

Dygnitarz rzucił przelotnie okiem na króla i przygryzł wargi.

— Przed świtem opuściła Shadizar przez Bramę Płatnerzy grupa jeźdźców, podających się za pielgrzymów. Podejrzewam, że to byli ludzie Czerwonej Sokolicy.

— Wyruszę w ciągu godziny, o panie. — Haranides skłonił się nisko. Lepiej, żeby przesłuchanie ominęło żołnierzy, którzy w krytycznym momencie mieli wartę przy bramie. —

Za pozwoleniem Jego Wysokości? Za pozwoleniem waszym, panie?

— Znajdź tę bandytkę, kapitanie — rzekł Ahersus — a znajdziesz i dobrego protektora.

Kościstą ręką dał Haranidesowi znak, że może odejść. Nagle król zerwał się na równe nogi, zrzucając na ziemię dwoje bladoliczych faworytów.

— Znajdź moje medaliony! — krzyczał pijany monarcha, z trudem utrzymując równowagę.

— Znajdź moją złotą szkatułę i moje tancerki! Znajdź moje prezenty, kapitanie, albo twoja czaszka wyląduje na ostrzu oszczepu! A teraz precz z mych oczu!

Haranides poczuł kwaśny smak w ustach. Skłonił się jeszcze raz i tyłem wyszedł z komnaty.

Lekki wietrzyk szumiał w gałęziach drzew i kołysał kwiatami w ogrodzie domu wynajętego przez

Imhep–Atona. Ogród był piękny, lecz czarownik nie był w odpowiednim nastroju do kontemplowania jego uroków. Nie obawiał się, że złodziej zawiedzie — miał doświadczenie ze złodziejami i wiedział, czego się po nich spodziewać... Tak mu się przynajmniej zdawało.

A jednak nie przewidział, że barbarzyńca zrobi z pałacu rzeźnię. I do tego jeszcze zabił głównego doradcę królewskiego! Na Seta!

Do ogrodu wszedł jego potężnie zbudowany służący. Czarownik odwrócił się. Olbrzym, widząc gniewne oczy swego pana, odruchowo się skulił.

— Wykonałem dokładnie twój rozkaz, mistrzu.

— To gdzie on się podział? — Głos czarownika był dziwnie słodki.

Jeśli ten cep znowu coś pokręcił...

— Wsiąkł, mistrzu. Wyszedł z oberży wcześniej rano i zniknął.

— Co takiego? Zniknął?

Potężny Shemita uniósł ręce, jakby pragnął przebłagać gniew swojego pana.

— Tak mi mówiono, mistrzu. Podał informację jednej dziwce z szynku, że musi na krótko wyjechać. Widziano go potem na koniu przy Bramie Płatnerzy.

Imhep–Aton zdębiał. Dlaczego przy Bramie Płatnerzy? W tamtym kierunku nie ma nic ciekawego. Przez Bramę Płatnerzy jedzie się do szlaku z Chezronu do Sultanapury. Czy ten szaleniec chce sprzedać medaliony tam, gdzie powstały? W każdym razie postanowił działać na własną rękę. Tylko, na Seta, po co zabrał ze sobą tancerki?

Potrząsał wściekle sępią głową. Co go obchodzą motywy działania jakiegoś dzikusa! Ten złodziej oszukał go i drogo za to zapłaci!

— Znajdź dwa wierzchowce i muła czy coś podobnego. Jedziemy za nim.

Ten głupiec chciał go oszukać! Jego, Imhep–Atona!

Królewska Studnia znajdowała się parę dni drogi na północny wschód od Shadizar.

Otaczały ją porozrzucane płyty czarnego granitu, dobrze już nadgryzione zębem czasu.

Mówiono, że to ruiny jakichś murów, ale nikt nie wiedział, którym to królom studnia zawdzięcza swą nazwę. Nie wiedziano też, kto te mury zbudował.

Wymijając płyty, Conan podjechał do skarłowaciałego drzewa, zsiadł z konia i podszedł do studni z byle jak ociosanych kamieni. Po drugiej stronie rozsiedli się czterej ciemnoskórzy mężczyźni w obszernych chałatach synów pustyni. Czarnymi oczami pożądliwie patrzyli na jego konia. Barbarzyńca odrzucił połę chauriańskiej peleryny, żeby zobaczyli jego miecz, i wyciągnął z głębiny wiadro wody. Oprócz peleryny miał na sobie tylko chustę związaną na biodrach tak, by nie krępowała ruchów.

Tamci skupili się, nie spuszczać z niego oczu. Coś między sobą szeptali. Jeden z nich —

przywódca, sądząc z zachowania pozostałych — nosił pordzewiałą kolczugę; pozostali zadowolili się skórzanymi kaftanami. Uzbrojeni byli w stare zakrzywione szable, jakie u przeciętnego handlarza można kupić za przystępną cenę.

Za ich plecami Conan dojrzał nagą kobietę, omotaną sznurem jak osobliwy pakunek.

Przeguby i łokcie miała związane na plecach, kolana przywiązane do szyi, a kostki do ud.

Uniosła głowę, odrzuciła w tył długie kasztanowe włosy i spojrzała na niego w osłupieniu lekko zezującymi zielonymi oczami. W ustach miała brudny knebel.

Kobietą tą była owa wróżka z knajpy Abuletesa.

Conan wlał zawartość wiadra do kamiennego żłobu i napełnił je powtórnie. Nie miał wobec niej żadnych zobowiązań. Zresztą już raz stanął w jej obronie i co? Nawet nie ostrzegła go przed atakiem dwóch Persów. A poza tym musi znaleźć Velitę.

Obmył twarz, ale w piekielnym upale niewiele mu to pomogło. Wylał więc sobie zawartość wiadra na głowę. Czterej nieznajomi dalej naradzali się szeptem.

Dotarł aż tutaj śladem pielgrzymów. Głównie dzięki informacjom napotkanych podróżnych, którzy nie odmawiali odpowiedzi człowiekowi o jego wzroście i budowie. Zresztą, żeby pokazać mu właściwą drogę, nie musieli wiele wiedzieć. Od wczoraj wszelako spotkał tylko jakiegoś starca, który obrzucił go kamieniami, i obłąkanego chłopca, z którym nie można było się porozumieć.

— Hej! Nie widzieliście tu pielgrzymów?! — zawołał, wyciągając ze studni trzecie wiadro wody.  
— Grupy zakapturzonych jeźdźców z jucznymi wielbłędami?

— A co by nam to dało, jakbyśmy widzieli? — Przywódca zmarszczył nieufnie nos.

— Parę drobniaków za wiadomość. — Nie chciał wodzić ich na pokuszenie, więc nie oferował złota. Nie miał ochoty tracić czasu na zabijanie tych ścierwojadów. Spróbował

uśmiechnąć się przyjaźnie... — Gdybym miał złoto, tobym urznął się w Shadizar, a nie uganiał po pustyni za pielgrzymami. — Wytarł ręce w pelerynę.

— A czego od nich chcesz? — zagadnął herszt.

— A to już sprawa między mną a nimi — odparł Conan. — Pomóżcie mi, zapłacę, reszta was nie obchodzi.

— Widzieliśmy ich — powiedział człowiek w kolczudze. Wytarł ręce, wstał i z wyciągniętą prawicą podszedł do Conana. — Najpierw pokaż forszę.

Conan wsunął palce do skórzanej sakiewki u pasa. Przywódca z szyderczym uśmiechem wyciągnął trójgraniasty sztylet. Pozostali zerwali się z miejsc, z wyszczerzonymi zębami, wyciągnęli szable i żeby zapewnić sobie udział w zdobyczy, skoczyli mu na pomoc.

Młody barbarzyńca lewą ręką złapał wiadro i wyrzucił nim napastnika w czaszkę. Woda chlusnęła na wszystkie strony, a herszt padł na ziemię. Conan błyskawicznie schwycił swój sztylet i w ułamek sekundy później zanurzył go po rękojeść w szyi pierwszego z trzech pozostałych przeciwników. Następnie wyciągnął miecz.

— Niech was piekło pochłonie! — ryknął.

Przeskoczył przez konającego, który w ostatnich konwulsjach próbował jeszcze wyrwać sobie z szyi klingę sztyletu. Ostrze miecza zatoczyło szeroki łuk i korpus trzeciego napastnika osunął się na ziemię, a głowa poszybowała gdzieś w przestrzeń. Ostatni natarł na Conana ze wzniesioną nad głowę szablą. Jednakże miecz Cymmeryjczyka, prowadzony morderczym ciosem oburącz znad głowy, złamał szablę, przeciął kaftan i zatrzymał się w okolicy żołądka.

Zbir padł na wznak, nie wypuszczając broni.

Conan schował miecz i sztylet, wycierając je wcześniej o szaty zabitych. Kobieta patrzyła na niego rozszerzonymi oczami i skuliła się przerażona, gdy do niej podchodził. Rozciął

krępujące ją więzy, odwrócił się i z powrotem schował sztylet.

— Weź konia po którymś z tych bydlaków — powiedział — jeżeli nie masz swojego.

Pozostałe zabieram. Możesz też wziąć ich broń, dostaniesz za nią parę groszy na otarcie łez po tym, co przeżyłaś.

Majątku na tym nie zrobi, pomyślał. Ale doprawdy nie był jej nic winien. A konie mu się przydadzą,



jakkolwiek rumaki to nie są. W końcu nie wiadomo, ile czasu będzie jeszcze musiał ścigać tych przeklętych pielgrzymów.

Kobieta podeszła do trupów, rozcierając bolące nadgarstki. Wyraźnie nie krępowała się swoją nagością. Zresztą ze smagłą cerą, długimi nogami i kształtnymi biodrami nie miała się czego wstydić. W ostrym słońcu pustyni jej włosy zdawały się płonąć żywym ogniem.

Patrząc na jej niezwykle płynny chód, Conan zaczął się zastanawiać, czy i ona nie jest przypadkiem tancerką...

Wzięła do ręki szablę jednego z zabitych i z pogardą popatrzyła na zardzewiałą klingę.

Postawiła stopę na piersi trupa.

— Świnia! — prychnęła.

Conan zaopatrzył się w konie, razem pięć sztuk; jeden z nich był nawet zupełnie dobrej rasy. Kobieta bezczęściła kolejne zwłoki. Nagle odwróciła się do niego i podparła pod boki. Z

rozwichrzonymi włosami, otaczającymi twarz ognistą aureolą, wyglądała jak lwica w ludzkiej postaci.

— Napadli mnie znienacka — wyjaśniła.

— Jasne — mruknął Conan. — To twój koń. — Wskazał jej najlepszego, czarnego konia.

Pozostałe cztery — kosmate stepowe koniki, w kłębie o stopę niższe niż jego turański deresz

— przywiązał do wysokiego łuku swojego siodła. — Najlepiej wracaj najkrótszą drogą do Shadizar. To nie jest miejsce dla samotnej kobiety. Co ci strzeliło do głowy, żeby samotnie wyjeżdżać?

Zrobiła krok w jego stronę.

— Przecież mówię: zaskoczyli mnie. Inaczej spokojnie bym ich wykończyła.

— Nie mogę ci towarzyszyć do Shadizar. Ścigam ludzi, którzy... którzy ukradli mi coś cennego.

Usłyszał tygrysi ryk. W ostatniej chwili uskoczył między konie, unikając potężnego ciosu szablą, wymierzonego w jego głowę.

— Ty sucze nasienie! — ryknęła.

Jednocześnie usiłowała pchnąć go sztychem pod brzuchem konia. Uchylił się w bok. Szabla trafiła w twardą skórę siodła tuż obok jego ramienia.

Padł na plecy, próbując uniknąć jej ciosów i kopyt koni, które dreptały zaniepokojone.

Kobieta przeskoczyła na drugą stronę koni, żeby dosięgnąć go ostrzem szabli. Złapał ją pod kolana i oboje padli na ziemię.

W jego ramionach wiła się dzika kocica — drapiąc, kopiąc, rozpaczliwie usiłując odzyskać przyciśniętą do ziemi szablę. Jej miękkie wypukłości ocierały się o jego silne mięśnie.

Niełatwo było ją okiełznać.

— Oszalałaś, kobieto?! — ryknął.

W odpowiedzi wbiła mu zęby w bark.

— O, na Croma!

Odepchnął ją od siebie. Potoczyła się po ziemi i wstała. Ze zdziwieniem zauważył, że ciągle miała w ręce zardzewiałą szablę.

— Nie potrzebuję męskiego towarzystwa! — warknęła. — Nie jestem rozpieszczoną kurtyzana!

— Nigdy nie twierdziłem, że jesteś! — odkrzyknął.

Natarła na niego z wściekłym wyciem, płonącymi oczyma i rozwianym włosom. W ostatniej chwili zasłonił się mieczem przed spadającą na niego klingą. Zardzewiała głownia szabli pękła z trzaskiem. Kobieta z niedowierzaniem patrzyła na trzymaną w dłoni rękojeść.

Cisnęła mu w twarz bezużyteczny kawałek metalu. Skoczyła ku trupom, aby się uzbroić.

Conan rzucił się za nią. Gdy schyliła się, by podnieść szablę, z całej siły uderzył płazem w ponętnie wypięty pośladek. Stalowa klinga z trzaskiem zatrzymała się na różowej wypukłości.

Wyprostowała się, łapiąc za bolące miejsce, poślizgnęła na rozlanej krwi i z krzykiem przewróciła się na kamiennej cembrowinie studni.

Skoczył za nią i chwycił ją silną dłonią. Jej ciężar wciągnął go aż po barki w dół studni. Z

lekkim zdziwieniem stwierdził, że trzyma rudowłosą za kostkę, a ona dynda zawieszona w głębokiej czeluści. Ciekawy widok, pomyślał.

— Niech cię Derketa porwie! — zawyła. — Wyciągnij mnie, śmierdzielu!

— W Shadizar — odparł obojętnym głosem — uratowałem cię co najmniej przed paroma siniakami. Wyzwałaś mnie od barbarzyńców, z twojej winy omal nie obcięli mi łba, przed czym nawet mnie nie ostrzegłaś, tylko znikłaś bez pożegnania.

— Ty bękarcie wychowany w burdelu! Wyciągnij mnie stąd!

— Tutaj — kontynuował, nie zwracając na nią uwagi — uchroniłem cię przed zbiorowym gwałtem albo przynajmniej przed sprzedaniem do haremu, co w sumie na jedno wychodzi.

Ewentualnie zarznąłby cię na miejscu i umieścili w tej oto studni.

Poruszyła się niespokojnie. Pochylił się bardziej nad cembrowiną i opuścił ją o stopę niżej.

Jej krzyk zahuczał w skalnej głębinie. Znieruchomiała.

— Wcale nie miałeś zamiaru mnie ratować — sapnęła. — Gdyby te hieny cię nie zaczepiły, pojechałbyś spokojnie dalej.

— Czy pojechałbym, czy oni by mnie zarznąli, na jedno wychodzi. Mogłabyś się tylko zastanawiać, ile za ciebie dostaną na targu.

— A ty chcesz tylko zapłaty — powiedziała łamiącym się głosem. — Derketa niechaj cię przeklnie, kupo mięsa!

— Nie chce już mi się słuchać twoich obelg — rzucił gniewnie. — Żądam, żebyś mi teraz, zaraz, złożyła uroczystą przysięgę na imię Derkety, bogini miłości i śmierci, bo zauważyłem, że chętnie wzywasz jej imienia. Masz przysiąc, że z twoich ust nigdy więcej nie padnie złe słowo przeciwko mnie i że nigdy więcej nie podniesiesz na mnie ręki.

— Capie kudłaty! Barbarzyńco płaskostopy! Zdaje ci się, że mnie zmusisz...

Przerwał jej.

— Ostrzegam lojalnie, że to moja słabsza ręka, a jestem już dosyć zmęczony. Na twoim miejscu nie czekałbym zbyt długo, bo może być za późno.

— Przysięgnę. — Jej głos stał się nagle miękki i zmysłowy. — Wyciągnij mnie, a na kolanach przysięgnę wszystko, czego żądasz.

— Najpierw przysięgnij — odparł. — Byłoby mi przykro zaczynać wszystko od początku.

Zresztą, ta sceneria bardzo mi odpowiada. — Zdawało mu się, że słyszy, jak ruda bije maleńką piąstką w kamienną ścianę. Uśmiechnął się.

— Gorylu! — zgrzytnęła z całą dawną zaciętością. — Jak sobie życzysz! Przysięgam na imię Derkety, że z moich ust nigdy więcej nie padnie złe słowo przeciwko tobie i że nigdy więcej nie podniosę na ciebie ręki. Przysięgam! Zadowolony?

Wyciągnął ją i położył obok siebie na ziemi.

— Ty... — Ugryzła się w język i fuknęła na niego bez słów. — Niepotrzebnie byłeś taki brutalny —

powiedziała słabym głosem.

Conan odpiął pas z mieczem i położył go na brzegu studni. Zaraz potem zdjął z bioder przepaskę.

— Co... co ty robisz?

— Mówiłaś coś o zapłacie, czyż nie? — Nagi mężczyzna przeciągnął się z uśmiechem. —

A ponieważ wątpię, bym od ciebie usłyszał słowo podziękii, bo ci to przez gardło nie przejdzie, chcę teraz wziąć, co mi się należy.

— Krótko mówiąc, jesteś pospolitym gwałcicielem — stwierdziła gorzko.

— Moja panno, coś mi się zdaje, że jesteś bliska złamania przysięgi. W dodatku wcale nie zamierzam cię gwałcić. Powiedz tylko „dość”, a będziesz mogła — jak dla mnie — odejść niczym nieskalana dziewczica.

I wziął ją. Z początku biła pięściami w jego szeroką pierś i wydawała wściekłe okrzyki, ale słowo „dość” nie padło z jej ust. Rychło przekleństwa umilkły, a pojawiło się coś zupełnie innego. Ona była pełną temperamentu kobietą, on zaś mężczyzną na miarę jej możliwości.

Ubrał się, a ona zaczęła przeszukiwać bagaże zabitych w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby na siebie włożyć. Jak bowiem mówiła, napastnicy porwali jej własną odzież na strzępy.

Zdziwiło go trochę, że najpierw znalazła dla siebie broń, tym razem starannie sprawdzając jej stan. Bez obaw jednak odwrócił się do niej plecami. Nie przejął się obecnością uzbrojonej dziewczyny za sobą, gdyż zauważył, że choć klęła na czym świat stoi, ani razu nie wspomniała jego. A skoro w tej sprawie dotrzymywała słowa, to dotrzyma i w innych.

Napełnił wodą torbę z koziej skóry i wskoczył na konia.

— Zaczekaj! — zawołała. — Nie wiem nawet, jak się nazywałeś!

Ubrana była w błyszczące, niezbyt czyste pludry i szmaragdowozielony kitel, ciasno opięty na piersi i luźno zwisający w innych miejscach. Ogniste włosy spięła z tyłu złotą zapinką.

— Conan, Conan z Cymmerii. A ty?

— Karela — odrzekła z dumą. — Z kraju, w którym w danym momencie przebywam.

Słuchaj no, ci pielgrzymi, których tak gonisz, mają ze sobą coś ciekawego, czy nie? Nie wyglądasz na świętoszka, Conanie z Cymmerii.

Gdyby jej opowiedział o medalionach, niezawodnie chciałaby z nim jechać. Niby dobrze jest mieć towarzysza, który tak sprawnie posługuje się szablą, ale mimo to nie chciał jej mieć przy boku. Był, owszem, pewien, że dałby radę trzem uzbrojonym mężczyznom, ale z nią to co innego. Gdyby poczuła choć cień zapachu dziesięciu tysięcy sztuk złota, musiałby — bez względu na wszystkie jej zakłęcia i

przysięgi — spać z otwartymi oczami. Był o tym przekonany.

— To jest coś ciekawego, ale tylko dla pewnego człowieka z Shadizar — odparł

lekceważąco. — Chodzi o tancerkę, która uciekła z tymi pielgrzymami. Albo może ją porwali. Ten gość ma bzika na jej punkcie i daje pięć sztuk złota za sprowadzenie jej z powrotem.

— I chciało ci się wlec aż tutaj za pięć sztuk złota? Mogłeś trafić na kogoś naprawdę niebezpiecznego, zamiast na tych szmaciarzy. — Spojrzała na zwłoki, które Conan odciągnął na przyzwoitą odległość od studni.

— No cóż, zdarzyło się. A interes mam do pielgrzymów, nie do bandytów — odpowiedział

Conan ze śmiechem. — Pielgrzymi nie są agresywni. Trzymaj się, Karela! — Zawinął koniem, żeby odjechać, ale usłyszał coś, co kazało mu się wstrzymać.

— Co, nie chcesz wiedzieć, gdzie są ci pielgrzymi?

Spojrzał osłupiały w jej wielkie zielone, niewinne oczy.

— Wiesz, gdzie są? I dopiero teraz mi o tym mówisz? I w ogóle co cię napadło, żeby dobrowolnie mnie o tym poinformować?

— Zrozum — skrzywiła się boleśnie. — Domyślasz się, co przeżyłam, z tym bydłem.

Upokorzyli mnie. Mało nie oszalałam, musiałam się wyładować na jakimkolwiek mężczyźnie. Trafiło na ciebie. No, a przecież uratowałeś mi życie.

Conan w zamyśleniu skinął głową. To brzmiało wiarygodnie. Jakkolwiek równie dobrze mógł to być kolejny jej podstęp. Nie miał jednak wyboru. Zgubił trop i pozostawało mu albo jej uwierzyć, albo popędzić przed siebie na ślepo.

— Gdzie ich widziałaś?

— Na północ stąd, rozbili obóz między takimi niskimi górkami, pokażę ci. — Zgrabnie wskoczyła na swojego karego ogiera. — No, co jest, mam cię tam zaprowadzić, czy chcesz tu tak siedzieć do jutra?

Nie mógł jej zmusić do mówienia prawdy, chyba żeby powtórzył eksperyment ze studnią. A na to nie miał ochoty. Odrzucił połę peleryny, by w razie czego mieć łatwy dostęp do miecza, i puścił ją przodem.

— Już wiem, co jest — powiedziała z uśmiechem. — Tobie się tu po prostu podobało.

Coś w tym jest, pomyślał, ale zamierzał przede wszystkim mieć ją na oku. Wolał jej nie ufać. Ruszył

za nią z uwiązanyimi na długim rzemieniu końmi.

Przez resztę dnia jechali na północ przez piaszczyste, pagórkowate pustkowia, z rzadka porośnięte kępami kolczastych krzaków. Kiedy rozbili obóz na noc, Conan zapytał:

— Daleko jeszcze?

Karela wzruszyła ramionami. Jędrne, krągłe piersi rozsadzały pokrywający je zielony materiał.

— Jak ruszymy o świcie, to do południa spokojnie będziemy na miejscu.

Zaczęła układać ognisko. Conan celnym kopnięciem rozrzucił stos.

— Wolę bez potrzeby nie sygnalizować swej obecności — warknął. — Dlaczego myślisz, że jeszcze tam są?

Schowała krzesiwo do torby i uśmiechnęła się do niego z rozbawieniem.

— A jak pojechali, to co? Zawsze będziesz bliżej nich, niż byłeś. Co to za gość, dla którego pracujesz?

— Jeśli mamy wcześniej wstać, to idźmy już spać. — Nie miał zamiaru wdawać się w nieistotne szczegóły. Dziewczyna uśmiechnęła się dziwnie.

Owinął się peleryną, ale nie zasnął. Ukradkiem obserwował Karełę.

Okryła się derką, a za poduszkę posłużyło jej siodło. Był niemal pewien, że zamierza tej nocy ulotnić się wraz ze wszystkimi końmi, ale ku jego zdziwieniu wyglądało na to, że istotnie chce spać.

Nad pustynią zapadła ciemna noc. Gwiazdy lśniły pomiędzy chmurami niczym brylanty rozsypane na aksamicie. Na niebo wypełził dopełniający się księżyc. Conan wciąż czuwał.

Nagle poczuł, że w ciemności ktoś na niego patrzy. Ostrożnie wyciągnął sztylet z pochwy, rozpiął broszę spinającą pelerynę i zaczął się czołgać na brzuchu. Trzy razy okrążył obóz, ciągle czując na sobie czyjeś oczy.

Nikogo jednak nie spotkał ani nie natrafił na jakikolwiek ślad, że ktoś tu był. Dziwne uczucie znikło tak nagle, jak się pojawiło. Jeszcze raz okrążył obóz, z takim samym rezultatem. Wrócił na swoje posłanie.

Karela spała. Zirytowany położył się i okrył peleryną. Wszystko przez nią. Spodziewając się podstępów z jej strony, widział i czuł coś, co nie istniało.

Czerwony świt wstawał nad pustynią. Karela się obudziła. Ruszyli na północ.

Pagórki stopniowo stawały się górami. Conan zachodził w głowę, czego mężczyźni, których

poszukiwał, mogli szukać tak daleko od szlaku. Nagle Karela ruszyła galopem.

— Tam! — krzyknęła. — Za tą górą! Ruszył za nią.

— Karela, wracaj! Karela!

Pędziła galopem przed siebie, aż znikła za granią. Szalona! Jeżeli pielgrzymi jeszcze tam są, to nie ma mowy o ich zaskoczeniu. Spiał konia i omijając szczyt góry, wjechał na grań.

Dziewczyny ani śladu, nie było też słycać tętentu jej konia.

— Conan!

Odwrócił głowę. Po jego prawej stronie, za skalnym załomem, siedziała na swym koniu Karela.

— Na Croma! Dziewczyno, co ty...

— To ja! — zawołała. — Karela, zwana Czerwoną Sokolicą!

Na jej przeraźliwy gwizd z górskich zakamarków wynurzyli się ludzie w różnobarwnych strojach, z najrozmaitszym uzbrojeniem. W mgnieniu oka otoczyli Conana zwartym kręgiem.

Ostrożnie oparł ręce o łęk siodła. Jeden fałszywy ruch — i przeszyją go strzały z czterech kusz. Tyle w każdym razie zauważył na pierwszy rzut oka. Może było ich więcej.

— Karela! — zawołał z wyrzutem. — To tak dotrzymujesz słowa?

— Nawet w myślach nie wypowiedziałam złego słowa przeciwko tobie — odparła drwiąco.

— Nie podniosłam też na ciebie ręki i nie uczynię tego ani teraz, ani w przyszłości. Ale to ja przysięgałam, a nie moi ludzie. Hordo!

Silny brodaty bandyta ze skórzaną przepaską na lewym oku przejechał na koniu przez krąg swoich kamratów i zbliżył się do Conana. Od lewej skroni aż do szczeciniastej brody biegła poszarpana blizna. Cała lewa połowa twarzy zdawała się bez przerwy szyderczo uśmiechać.

Kolczuga, którą nosił, musiała przedtem należeć do kogoś bogatego, bo jeszcze teraz znać było na niej ślady złocenia. W obu uszach miał duże złote kolczyki, a u boku mocno zużytą szablę.

— Jak słyszę, nazwała cię Conanem — rzekł rosły zbój. — Ja jestem Hordo, kapitan Czerwonej Sokolicy, i chcę wiedzieć, to jest my wszyscy chcemy wiedzieć, co nam

przeszkadza poderżnąć teraz, zaraz i na miejscu twoje szlachetne gardziółko?

— Karela mnie tu przyprowadziła... — zaczął Conan, ale nie skończył zdania.

Hordo zamierzył się do ciosu wielką pięścią, lecz barbarzyńca złapał w locie jego rękę.



Przez chwilę mocowali się, a zdrowe oko zbója omal nie wyszło z orbity. Kapitan rozumiał, że nie wygra.

— Brać go! — ryknął.

Dziesiątki rąk wyciągnęły się po Cymmeryjczyka, porwały jego miecz i ściągnęły go z siodła. Było ich jednak zbyt wielu, więc przeszkadzali sobie nawzajem, a Conan nie miał

zamiaru poddawać się bez walki. Jego sztylet utkwił w żebrach, zapomniał się przyjrzeć czyich, trzasnęła w łokciu czyjaś ręka, niejeden zapłacił paroma zębami za zaszczyt zawarcia bliższej znajomości z potężnymi pięściami barbarzyńcy. Przewaga liczebna bandytów była jednak zbyt duża, a wynik walki z góry przesądzony. Po krótkim starciu Conan miał związane na plecach ręce, skrępowano mu też nogi, a w jego żebra wbiły się obcasy trudnej do ustalenia liczby butów.

W końcu Hordo wściekłymi przekleństwami odgonił pozostałych na bok, złapał Conana za włosy i uniósł jego głowę.

— Dla nas — warknął — ona jest Czerwoną Sokolicą. Ty nazywaj ją panią, możesz nawet mówić Wasza Wysokość, ale jeśli ci życie miłe, nie wymawiaj swoją śmierdzącą mordą jej imienia!

— Dlaczego nie wykończyć go od razu? — zgrzytnął niski zbój o szczurzej twarzy, w łuskowatym pancerzu i hełmie gwardzisty bez pióropusza. — To on tak urządził Hepakiasa, że nie wiadomo, czy wyżyje. A ja... — Skrzywił się nagle i wypluł boczny ząb. — Raz po szyi i gotowe!

Ze złym uśmiechem Hordo wyciągnął wendyjski sztylet o falistej klindze.

— Aberius miał dobry pomysł. Rzecz rzadka, więc cenna — powiedział.

Nagle pojawiła się obok nich Karela na swym czarnym koniu. W jej roziskrzonych oczach malował się gniew.

— Masz jeszcze jakiś ciekawy pomysł, Hordo?

— Co, przypomniła ci się przysięga? — rzucił Conan kpiąco. — Ładnie mi odpłacasz za to, że cię uchroniłem od haremu albo i czegoś gorszego!

Hordo uderzył jego głową o ziemię.

— Czerwonej Sokolicy nikt jeszcze przed niczym nie musiał chronić! — ryknął. — Jest lepsza od wszystkich mężczyzn zarówno w myśleniu, jak i w walce. Zapamiętaj to sobie!

Rozległ się perlisty śmiech Kareli.

— Słyszałeś, przyjacielu z Cymmerii? Jeśli coś ci się przytrafi, będzie to dzieło moich ludzi. Ja cię palcem nie tknę. Hordo, zabierz go do obozu, a potem się zobaczy, co z nim zrobimy.

Na rozkaz człowieka z bliźną bandyci przywiązali długi sznur do ramion Conana i

wskoczyli na konie. Hordo przywiązał sobie koniec sznura do siodła. Ruszyli kłusem naprzód.

Piach i kamyki spod końskich kopyt siekły Conana w twarz. Zaciśnął zęby, żeby nie połykać kurzu. Przywiązany do siodła za spętane na plecach ramiona czuł, jak kamienie tną mu skórę, jak jego ciało pokrywa się skorupą gliny.

Stanęli. Młody barbarzyńca wypłuł z ust piach i ciężko oddychał. Bolały go wszystkie kości i mięśnie, a z ran i zadrapań, których jeszcze nie zalepiły kurz i glina, sączyła się krew. Wcale nie był przekonany, czy nie byłoby lepiej zginąć na miejscu, niż doznawać tego, co mu tu szykowano.

— Hordo! — zawołała radośnie Karela. — Dobrze, że rozstawiłeś mój namiot.

Zeskoczyła z konia i podbiegła do czerwonego namiotu, jaskrawo odbijającego się od reszty rozbitego w szerokiej dolinie obozu. Pomiędzy wygasłymi ogniskami wałały się koce i derki.

Paru ludzi zaczęło rozpalać ogień. Inni wyciągali dzbany z mocnym samogonem zwanym kilem.

Widząc siadającego kapitana Hordo, Conan przewrócił się na bok.

— Ty bandyta, a ja złodziej — sapnął. — Co byś powiedział na część królewskiego skarbu?

Zbir nawet na niego nie spojrział.

— Wbijcie kołki! — warknął. — I przywiążcie do nich to ścierwo!

— Pięć medalionów ze szlachetnymi kamieniami, złota szkatuła bogato rzeźbiona —

ciągnął Conan. — Prezenty od Yildiza dla Tiridatesa...

Nie miał zbytniej ochoty zdradzać tym łotrom, czego szukał. Niełatwo będzie uszczknąć choćby małą część tego, co już uważał za swoją niepodzielną własność. Nie miał jednak wyboru. Martwy nie osiągnie nic.

— Ruszcie dupy! — ryknął brodacz. — Później się uchlacie!

— Jest człowiek — kusił dalej Conan — który za same medaliony daje dziesięć tysięcy sztuk złota. Może znajdzie się taki, co da więcej. A szkatuła też ma swoją wartość.

Pierwszy raz od przybycia do obozu Hordo spojrział na Conana. W oczach miał złe błyski.

— Czerwona Sokolica pragnie twej śmierci. Zawsze było nam u niej dobrze, więc jej życzenie jest dla mnie rozkazem.

Kilkunastu nieźle już wstawionych żołnierzy podeszło do Conana. Podnieśli go z ziemi i zanieśli na miejsce, w którym wcześniej wbili w twarde gruntu cztery solidne kołki. Bronił się rozpaczliwie, ale było ich zbyt wielu. Po chwili leżał na wznak z rozciągniętymi rękami i nogami, przywiązany do kołków rzemieniami z surowej skóry za nadgarstki i kostki. W

palącym słońcu ta skóra zacznie się kurczyć... Mimo upału zrobiło mu się zimno.

— Dlaczego Hordo nie chce, żebyście dostali dziesięć tysięcy sztuk złota?! — wrzasnął.

Żołnierze w jednej chwili wytrzeźwieli i spojrzeli na niego z nagłym zainteresowaniem.

Jednooki kapitan poczerwieniał. Z wściekłym przekleństwem na ustach przyskoczył do więźnia. Conan próbował się uchylić przed ciosem w głowę, ale nie zdążył. Ciężki but cyklopa wylądował na jego twarzy. Gwiazdy zamigotały mu w oczach.

— Zamknij swoją śmierzącą mordę! — ryknął kapitan.

Aberius podniósł głowę i spojrział na niego ponuro.

— Hordo, o czym on mówi? — zapytał wyczekująco.

— Zamknij się! — warknął brodacz, ale chciwość Aberiusa była silniejsza niż strach przed dowódcą.

— Niech mówi! — zażądał groźnie, przy milczącej aprobacie pozostałych.

Kapitan spojrział na nich wściekle, ale nic nie odrzekł.

Conan zachichotał w duchu. Jak tak dalej pójdzie, to Hordo i Karela szybko znajdą się na jego miejscu. Trzeba tylko coś wymyślić, żeby naprawdę nie ukradli tych medalionów. Za dużo już ryzykował.

— Niecałe dwa tygodnie temu — wyjaśnił — z pałacu Tiridatesa skradziono pięć

medalionów i złotą szkatułę wysadzaną drogimi kamieniami. Jestem na tropie tych, co je ukradli. Pewien człowiek za same medaliony dawał mi dziesięć tysięcy, a co jeden płaci, drugi przepłaci. Do tego dochodzi szkatuła, warta najmarniej drugie tyle.

Bandyci skupili się ciasniej wokół niego, oblizując się łakomie.

— Dlaczego aż tyle? — zapytał Aberius. — Kamienie kamieniami, ale nie słyszałem, żeby jakikolwiek klejnot był wart aż tyle.

— To był prezent króla Yildiza dla króla Tiridatesa — odparł Conan z udanym uśmiechem wyższości. — Kamienie, jakich oko ludzkie nie widziało. I w medalionach, i w szkatule — dodał, mijając się nieco z prawdą.

Karela roztrąciła nagle zasłuchanych zbójów na boki. Cofali się pospiesznie pod jej gniewnym wzrokiem. Nie była to już wystraszona branka w byle jakim męskim

przyodziewku. Krągły biust okrywał złoty napierśnik inkrustowany srebrem, a u szerokiego pasa,

gęsto wysadzanego perłami, wisiała szabla z wielkim szafirem na rękojeści. Szczupłe nogi tkwiły w wysokich butach z miękkiej czerwonej skóry.

— Ten śmieć kłamie! — prychnęła. Bandyci cofnęli się jeszcze o krok, ale chciwość nadal malowała się na ich twarzach. — On nie szuka żadnych kamieni, tylko jednej niewolnicy, sam mi to powiedział! To jest pospolity łapacz w służbie jakiegoś głupca z Shadizar! Conan, odwołaj te brednie o medalionach!

— Rzekłem wam prawdę! — Przynajmniej częściowo, dodał w myśli.

Zmełała w ustach przekleństwo i zacisnęła rękę na rękojeści szabli, aż kostki jej palców zbieleły.

— Ty gnido! Przyznaj się do kłamstwa albo każę drzeć z ciebie pasy!

— Złamałaś połowę przysięgi — odparł spokojnie. — Z twoich warg padły nieprzyjazne słowa przeciwko mnie.

— Derketa niech cię porwie! — Wbiła mu w żebra czubek buta. Mimo woli jęknął. —

Hordo, wymyśl dla niego jakąś długą i bolesną śmierć! — zażądała. — Na tyle powolną, żeby odpowiednio wcześniej zdążył przyznać, że teraz łże. — Odwróciła się nagle i szarpnęła za szablę, wyciągając z ozdobnej pochwy parę cali ostrej jak brzytwa klingi. — Ktoś ma jakieś zastrzeżenia?

— Nie! — ryknęli zbóje.

Ku swojemu zdumieniu Conan na niejednej twarzy ujrzał zwierzęcy strach. Skinąwszy głową z zadowoleniem, Karela schowała mordercze narzędzie i szybkim krokiem ruszyła do swojego namiotu. Bandyci rozstępowali się przed nią tak pospiesznie, że aż potykali się o kamienie.

— Druga połowa twojej przysięgi! — wrzasnął za nią Conan. — Uderzyłaś mnie!

Przysięgałaś na imię Derkety i złamałaś słowo! Pomyśl o zemście bogini miłości i śmierci na tobie i na wszystkich, którzy ci pomagają!

Zwolniła kroku, ale się nie odwróciła. Weszła do namiotu.

— Trzymaj język za zębami, to będziesz miał lżejszą śmierć! — warknął Hordo. —

Najchętniej bym cię załatwił szybko, żebyś się nie męczył, ale moi chłopcy, przynajmniej niektórzy, koniecznie chcą posłuchać jeszcze tej bajki o skarbie.

— Zachowujecie się w jej obecności jak podwórzowe psy — rzucił Conan pogardliwie. —

Czy nie ma tu gdzieś jakiegoś mężczyzny?

Zbój pokręcił kudłatą głową.

— Opowiem ci coś. Nie zmuszaj mnie do powtarzania tego, jeśli ci życie miłe. Nikt nie wie, skąd ona pochodzi. Znaleźliśmy ją błakającą się na odludziu, naga jak dziecko i niewiele starszą — ale już wtedy nosiła szablę, tę samą co teraz. Nasz ówczesny wódz, Konstancjusz mu było na imię, chciał się z nią zabawić, a potem ją sprzedać. Był najlepszym szermierzem, lecz ona zabiła go jak lis kurczaka, tak samo dwóch innych, którzy byli przy nim i próbowali ją obezwładnić. Od tego czasu ona nas prowadzi, i to jak prowadzi. Zawsze mamy dzięki niej dobrą zdobycz i nikt, kto wykonywał jej rozkazy, nie wpadł w ręce wroga. Więc ona rozkazuje, a my słuchamy i dobrze nam z tym.

Odwrócił się i odszedł. Conan przysłuchiwał się rozmowie kilku bandytów pijących przy ognisku. Ochryplymi głosami, nieprzyjemnie rechocząc, planowali, co to z nim zrobią. Była mowa o rozżarzonych węglach, o rozpalonych grotach; o tym, ile skóry można z człowieka zedrzeć, nie powodując jego śmierci.

Upał stawał się nie do zniesienia. Conan dyszał ciężko, z rozchylonych warg wystawał suchy jak wiór język. Słońce żywym ogniem paliło skórę, która nie miała już czym się pocić.

Aberius i jakiś jego kompan o pustych oczach znaleźli sobie osobliwą zabawę: zaczęli rozlewać wodę w pobliżu głowy więźnia, zakładając się, jak blisko można podejść do jego twarzy, nie roniąc ani kropli w miejscu, do którego mógłby sięgnąć językiem.

Trochę wody znalazło się w zasięgu Cymmeryjczyka, ale nie odwrócił głowy. Nie miał zamiaru dostarczać bandytom rozrywki.

Po dłuższej chwili jeden ze zbójów zrezygnował z zabawy i odszedł. Aberius z glinianym dzbanem pełnym wody przykucnął przy głowie Conana.

— Zabiłbyś, żeby zdobyć wodę, nie? — spytał cicho ze szczerzym uśmiechem, po czym ukradkiem spojrział przez ramię na pozostałych.

W porównaniu z tym, co wymyślali dla Conana, piekło było igraszką grzecznych dzieci.

Aberius zniżył głos.

— Opowiedz mi o skarbie, to dostaniesz wody.

— Dziesięć... tysięcy... sztuk... złota... — Chrapliwe, ledwo zrozumiałe słowa z trudem przechodziły przez spieczoną wargi.

Bandyta oblizał się chciwie.

— Coś bliższego! Gdzie to jest? Jak powiesz, to doprowadzę do tego, że chłopcy cię rozwiążą bez względu na rozkazy!

— Naj... pierw... roz... wiąż...

— Głupcze! Bez mojej pomocy się nie uratujesz. Gadaj, gdzie... — Potężna ręka kapitana podniosła go za kołnierz.

Jednooki patrzył na Aberiusa jak pies na szczura, trzymając go dwie stopy nad ziemią.

— Co to za sztuczki? — spytał groźnie. — Z nim nie wolno gadać!

— Z tego można mieć niezłą zabawę. — Aberius zmusił się do śmiechu. — Jak się z nim pogada o wodzie, o winie, o dobrym żarciu...

— Ha! — Hordo splunął pogardliwie i wyrznął drobnym zbójem o ziemię. — Tu nie ma o czym gadać, zrobimy z nim parę ciekawszych rzeczy. Bacz, byś wtedy nie musiał mu towarzyszyć... Zjeżdżaj! — Celnym kopniakiem wysłał Aberiusa do pozostałych zbójów, którzy z zainteresowaniem obserwowali całą scenę, po czym zwrócił się do więźnia: —

Rozlicz się ze swoimi bogami, barbarzyńco. Potem możesz nie mieć na to czasu.

Nadludzkim wysiłkiem Conan zdołał wydobyć z siebie parę ledwie słyszalnych słów.

— Pozwolisz, żeby zgarnęła cały łup?

— Ostrzegałem cię, psi synu!

Ostatnim, co zauważył, był ciężki but zbója, zbliżający się do jego twarzy.

Kiedy Cymmeryjczyk się ocknął, była noc. Ogniska dogasały. Tu i ówdzie paru bandytów popijało jeszcze kil, ale nie byli już w stanie krzyczeć. Czasem ten i ów z trudem coś zabelkotał. Reszta spała twardym pijackim snem, głośno chrapiąc. Tylko w namiocie paliło się światło, rzucając na ścianę cień zgrabnej sylwetki Kareli. Potem i ono zgasło.

Rzemienie z nie wyprawionej skóry skurczyły się, głęboko wrzynając się w ciało Conana.

Tracił czucie w dłoniach. Jeszcze trochę, a będzie skończony. Nawet jeśli ujdzie z tej przygody z życiem, niechybnie zostanie kaleką.

Napiął potężne bicepsy i pociągnął. Więzy nie ustąpiły. Pociągnął znowu, pracując także mięśniami brzucha. Jeszcze raz. Jeszcze. Z przegubów rąk, gdzie wbijał się rzemień, kapłała krew. Znowu pociągnął. Jeszcze raz... Rzemień na prawym przegubie jakby trochę się rozluźnił.

Znieruchomiał. Jak zeszłej nocy, czuł, że ktoś na niego patrzy. Rozejrzał się czujnie, nasłuchując. Bandyci leżeli pokotem wokół dogasających ognisk, chrapiąc potężnie. Poza tym w obozie było cicho, panował też kompletny bezruch. A jednak on czuł w ciemności zbliżający się czyjś wzrok.

Włosy zjeżyły mu się na głowie. W pewnym momencie czuł na sobie ten wzrok już z odległości paru stóp — wokół zaś było pusto!

Z zaciśniętymi zębami, przewyciężając potworny, piekący ból, napiął rzemień na przegubie. Jeśli ktoś rzeczywiście pochylał się nad nim, niewidoczny dla oka — a przeżył już dosyć, by wiedzieć, że jest to możliwe — nie miał zamiaru leżeć spokojnie i czekać jak wół obucha.

Wściekłość podwoiła jego siły. Nagle kołek, do którego miał przywiązaną prawą rękę, wyszedł z podłoża. Conan przewrócił się na lewy bok, złapał oburącz za drugi kołek i zaczął ciągnąć. Powoli zdołał wyciągnąć i ten.

Usiadł. Kości bolały go potwornie, a rzemień niemal wrosły w ciało. W bólach i męce odwiązał je, po czym zaczął uwalniać nogi, co wcale nie było dużo łatwiejsze. Wreszcie się udało: był wolny.

Po takim dniu każdy na jego miejscu zapomniałby o całym świecie i zatroszczył tylko o wodę. On natomiast zaczął rozruszania mięśni. Gdy się w końcu podniósł, nie był jeszcze w pełni sił, ale mógł już być niebezpiecznym przeciwnikiem.

Cicho jak kot przemykał się między śpiącymi. Mógł ich z łatwością wyrząć. Nie miał

jednak w zwyczaju mordować bezbronnych śpiących. Odszukał pomiędzy ich rzeczami swój miecz i

sztylet i umieścił je we właściwych miejscach. Przy wygasłym ognisku leżały jego czerwone turańskie buty. Peleryny nie znalazł. Nie próbował też odzyskać pieniędzy, bo musiałby obszukać wszystkich śpiących. Pewnie by ich nie pobudził, ale nie miał na to czasu Włożył buty, zamierzając niezwłocznie ruszyć w drogę przedtem spłoszywszy konie

bandytów, by nie mogli zbyt szybko ruszyć w pościg.

— Conanie! — Ponad doliną rozległ się potężny głos, jakby wydostawał się co najmniej z dziesięciu gardeł.

Lecz nadchodziła tylko jedna postać.

Cymmeryjczyk zaklął. Gromowy głos obudziłby nawet umarłego, a co dopiero pijanych bandytów. Kilku z nich nawet usiadło. Był otoczony i drogę na wolność musiałby wyrąbywać sobie mieczem. W namiocie Kareli zapaliło się światło. Wyciągnął miecz.

— Conanie! Gdzie są medaliony?!

Barbarzyńcy wydało się, że gdzieś już słyszał ten grzmiący głos. W życiu jednak nie widział potężniejszego mężczyzny od tego, który do niego podszedł. Miał na sobie długą do kolan kolczugę i spiczasty hełm. W lewej ręce trzymał okrągłą tarczę, a w prawej obosieczny topór.

— Ktoś ty? — zapytał Conan.

Wszyscy bandyci już wstali. Z namiotu wyszła Karela z szablą w ręku.

— Jam jest Krato — rzekł przybysz, stając w odległości ciosu od Conana i patrząc na niego nieruchomymi, szklanymi oczami — sługa wielkiego Imhep–Atona. Gdzie medaliony, które miałeś dostarczyć?

Conan poczuł dreszcz. Poznał ten głos: to był głos Ankara.

— A nie mówiłem! — wykrzyknął Aberius z dziką satysfakcją. — Nie łgał!

— Nie mam ich, Ankarze — odparł młodzieniec. — Ścigam ludzi, którzy je ukradli, i dziewczynę, której coś przyrzekłem.

— Za dużo wiesz — mruknął olbrzym głosem Imhep–Atona. — I nie dostarczyłeś mi medalionów. Nic mi już po tobie, Cymmeryjczyku!

Bez ostrzeżenia spadł na Conana potężny cios z góry. Barbarzyńca rzucił się w tył i ostry topór pozostawił tylko czerwony ślad na jego piersi. Napastnik jednak szybko odzyskał

równowagę i znów ruszył na młodzieńca, osłaniając się tarczą. Jeśli to było tylko ludzkie ciało, w które się wcielił czarownik, to jego poprzedni właściciel musiał być doświadczonym wojownikiem.



Conan cofał się tanecznym krokiem, zastawiając się mieczem. Nie mógł zamierzyć się do ciosu, bo przeciwnik zdążyłby przeciąć go na pół swoim strasznym toporem. Nie próbował

też odczytywać zamiarów napastnika z oczu, jak to miał w zwyczaju, bo te oczy nie wyrażały nic. Za to odruchowe ruchy barków zapowiadały kolejny atak.

Prawy bark olbrzyma obniżył się. Conan kucnął; topór świsnął w powietrzu nad jego głową.

Cymmeryjczyk potężnym pchnięciem przebił kolczugę wroga i ugodził go w udo, Uchylając się zarazem przed powracającym ostrzem topora. Zerwał się na nogi. Z uda przeciwnika płynęła krew, ale nie ustępował.

Conan przeskoczył na prawą stronę olbrzyma, niemal ocierając się o jego topór. Teraz trudniej będzie napastnikowi nadać morderczemu narzędziu odpowiedni rozpęd, bo będzie mu przeszkadzała tarcza. Kolejny cios był rzeczywiście o wiele słabszy. Conan odparował go i ciął mieczem w nadgarstek wroga. Dłoń i topór spadły na ziemię. Krato zastawił się tarczą, rzucił na ziemię i sięgnął po topór. Conan kucnął i celnym kopnięciem odrzucił tarczę na bok.

Gdy się wyprostował, nieprzyjaciel był już na nogach, z toporem w lewej ręce.

Z kikuta szeroką strugą płynęła krew. Olbrzymi mężczyzna — czy też czarownik, który władał jego ciałem — najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że umiera. Z krzykiem zaatakował

Conana. Ten jednak odparował potężny cios z góry i wbił przeciwnikowi kolano w brzuch.

Zwalisty Shemita zatoczył się, ale po chwili znowu wznosił ciężki topór. W ostatniej chwili Conan ciął go mieczem w ramię i ręka z toporem zwisała bezwładnie. Krato osunął się na kolana, ciężko charcząc.

— Conanie! — zaskrzeczał głos Imhep–Atona. — Umrzesz!

Ostrze miecza świsnęło w powietrzu, głowa w hełmie potoczyła się po ziemi.

— Nie tym razem! — dumnie ryknął barbarzyńca.

Teraz dopiero dojrzał wokół siebie krąg bandytów. Niektórzy ściskali w dłoniach szable, większość jednak patrzyła na niego w osłupieniu, szeroko otwartymi oczami. Naprzeciwko stała Karela z błyszczącą szablą w dłoni. Rzuciła przelotnie okiem na trupa, ale znacznie bardziej obchodził ją Conan. Miała wyjątkowo niepewny wyraz twarzy. Przekrzywiła głowę i zmrużywszy oczy, przyglądała mu się.

— Czy mi się wydaje — powiedziała jadowicie — czy chciałeś nas opuścić? Kimkolwiek był ten gość, powinniśmy mu podziękować, że cię od tego powstrzymał.

— Mówił prawdę! — zawołał ktoś z tłumu. — Te medaliony istnieją!

— Kto to?! — ryknął Hordo. Potoczył groźnym wzrokiem po twarzach; niektórzy starali się nie

patrzeć mu w oczy. — Istnieją czy nie, to nieważne! Czerwona Sokolica chce jego śmierci, więc on umrze! Tylko to się liczy!

— Dwadzieścia tysięcy to dwadzieścia tysięcy — przerwał mu Aberius. — Gdzie chodzi o takie pieniądze, nie można bawić się w kata!

Cyklop wściekle zgrzytnął zębami. Chciał rzucić się na wicherzyciela, ale ku jego zdziwieniu Karela zagroziła mu drogę klingą szabli. W milczeniu pokręcił głową i schował broń.

Conan spojrział na nią, zachodząc w głowę, co jej się stało. Z twarzy jednak nic nie mógł

wyczytać, zwłaszcza że nie patrzyła na niego. Nie zamierzał z nikim dzielić się medalionami, ale jeśli zmieniła decyzję, to przynajmniej będzie mógł opuścić to miejsce bez zbędnej walki.

— Czy istnieją?! — powtórzył bardzo głośno. — Niesamowity skarb, najmarniej

dwadzieścia tysięcy!

Z trudem powstrzymał się od poproszenia ich o wodę. Miał zupełnie sucho w gardle, ale najmniejsza oznaka słabości skłoniłaby ich do ponownego związania go i wydobywania dalszych informacji za pomocą tortur.

— Zaprowadzę was do nich. Zważcie, że kto okrada królów, nosi przy sobie parę groszy na wszelki wypadek. — Obracał się powoli, patrząc im w oczy. — Rubiny, szmaragdy,

diamenty, perły, sakwy pełne złotych monet! — Z radością obserwował chciwość bijącą z ich oczu.

— Złoto! — prychnął Hordo. — Perły! Diamenty! I gdzie znajdziecie całe to bogactwo? W

pałacu albo w twierdzy z murami nie do przejścia i z wartownikami uzbrojonymi po zęby?!

— U tych, których ścigam — odparł Conan. — Zakapturzeni mężczyźni w pelerynach

podawali się za pielgrzymów. Oprócz skarbu porwali z pałacu pięć dziewczyn — tancerek z dworu Yildiza. Jedną sobie zamawiam, ale pozostałe na pewno będą rade silnym chłopom z sakiewkami pełnymi złota. — Usłyszał lubieżny, chóralny śmiech, a niektórzy bandyci ustawili się w wyzywających pozach.

— Zakapturzeni mężczyźni? — zmarszczył czoło Aberius. — I pięć dziewczyn?

— Dość tych bzdur! — ryknął Hordo. — Na czarny tron Erlika, czy wam to nie śmierdzi na miłę czarami? Nie przyjrzelście się bliżej temu Kratonowi? Z daleka było widać, że to wcielony czarodziej! Nie zauważyliście jego oczu? I kto ze śmiertelnych ma taki głos, co by burzę przekrzyczał?

— Ten akurat był śmiertelny — warknął zwałisty zbój z szeroką blizną przecinającą nasadę nosa. — Conan to udowodnił.

— A w dodatku — wtrącił szybko młody barbarzyńca — przekonaliście się, że czarownicy nie szukają byle czego. Czy ktoś słyszał, żeby walczyli o coś, co nie jest warte majątku?

Hordo spojrział niepewnie na Karełę. Słuchała tego wszystkiego na pozór obojętnie, jakby jej to zupełnie nie obchodziło. Jednooki zmełł coś w zębach i rzucił:

— I gdzie mamy ich szukać? Ten kraj jest wielki! W którą stronę ruszyć? Conan sam mówił, że nie wie. Pojechał za Czerwoną Sokolicą, bo myślał, że go do nich doprowadzi.

— Ja ich widziałem — oświadczył Aberius i spojrział dumnie na kamratów, którzy obrócili się ku niemu. — I Alwar, i Hepakias. To było przedwczoraj, jechali na wschód. Ze dwudziestu zakapturzonych gości na koniach i pięć związanych kobiet na wielbłądach.

Dobrze mówię, Alwar?

Ten z blizną na nosie skinął głową.

— Faktycznie, zgadza się.

— Nas było trzech, a ich dwudziestu — ciągnął Aberius zdecydowanym głosem. — Jak wróciliśmy, to Czerwonej Sokolicy nie było w obozie, więc nic nie mówiliśmy, bo Hordo bez niej nawet palcem nie stuknie o palec.

Brodacz spojrział wściekle na swoich ludzi, ale już mniej pewnie powiedział:

— Przedwczoraj? Co nam z tego? Już dawno mogą być w Wendii!

Pomruk stał się głośniejszy i jakby groźny. Aberius zrobił krok w kierunku jednookiego kapitana.

— Co nam to daje?! Coś takiego! Każdy wie, że mogę tropić jaszczurkę po skałach i ptaka w powietrzu! Dwudniowy ślad dwudziestu jeźdźców na pustyni to tak, jakbym widział ich samych!

— A o Hepakiasie zapomniałeś? — syknął Hordo. — Dostał twój przyjaciel od tego barbarzyńcy kosą w zębra, czy nie?

— Przyjaciel przyjacielem, a złoto złotem — wzruszył ramionami Aberius.

Jednooki opuścił bezradnie ręce, zwracając się do Kareli:

— Decyduj. Co robimy? Pozbywamy się tego Conana, czy nie?

Rudowłosa zmierzyła młodzieńca wzrokiem. Jej zezowate zielone oczy były pozbawione wyrazu.

— Widziałeś, jak walczy? Taki zawsze się przyda, zwłaszcza gdy dopadniemy tych pielgrzymów... Zwińcie obóz i oddajcie mu jego konia.

Bandyci z okrzykami podniecenia rzucili się wykonywać jej rozkaz. Obóz wyglądał jak rozgrzebane mrowisko. Wkrótce jednak namiot był złożony, konie osiodłane, a koce zwinięte.

Hordo obrzucił barbarzyńcę posępnym spojrzeniem i odszedł. Conan stał nieruchomo i w milczeniu patrzył na Karełę. Ta nie ruszyła się z miejsca i również nie spuszczała z niego wzroku.

— Co to za jedna? — spytała nagle z udaną obojętnością. — Ta, co ma być dla ciebie?

— Tak jak mówiłem — odparł — niewolnica.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się, ale szarpnęła szablą w pochwie, jakby wbijała ją w pierś barbarzyńcy.

— Wprowadzasz zamęt, Conanie z Cymmerii. Bacz, byś nie wyczerpał mej cierpliwości!

— Obróciła się na pięcie i poszła po konia.

Conan westchnął i spojrział na wschód. Wstawał czerwony świt. Po chłodnej nocy powietrze było czyste i klarowne.

Znaleźć pielgrzymów, uwolnić Velitę, zabrać medaliony — tylko tyle miał do zrobienia! Do tego załatwić wszystko tak, żeby pewnej nocy nie obudzić się z nożem w plecach, gdyby ktoś uznał, że jest już niepotrzebny. Nade wszystko zaś mieć stale na oku Karełę. Oczywiście, wymyślić coś, żeby nie dzielić się łupem z bandytami, a zwłaszcza nie zdradzić się z tym, że szuka jakiegoś mniej krewkiego kupca.

A na pewno poszuka. Atak Kratona oznaczał jego zdaniem odstąpienie Ankara, Imhep-

Atona czy jak się on tam naprawdę nazywał, od umowy, którą zawarli w Shadizar. Też nieźle.

Mało ma kłopotów! Jeszcze mu czarownika brakowało! Do pełnego szczęścia potrzebna mu już tylko zamoriańska armia...

Wzruszył ramionami i poszedł po pelerynę i manierkę.

Kilka szwadronów zamoriańskiej kawalerii pędziło przez pustkowie z rzadka porośnięte kępami krzaków. Końskie kopyta wzbijały tumany kurzu. W dwójkowej kolumnie, z

tarczami gotowymi do natychmiastowego użycia, z poczernionymi grotami i zbrojami —

żeby nie błyszczały w promieniach słońca czy w blasku księżyca — kolumna najlepszych, starannie wybranych żołnierzy mknęła na spotkanie tajemniczego nieprzyjaciela. Haranides szukał królewskiego daru.

Kapitan nieustannie kręcił się w siodle, rozglądając się i wypatrując upragnionego błysku słońca odbitego lusterkiem. Właściwie nie wiedział nic, znał tylko kierunek, w którym udali się rzekomi pielgrzymi, i mógł liczyć jedynie na swoją szczęśliwą gwiazdę. Aby dopomóc szczęściu, niemal połowę żołnierzy rozpuścił po obu stronach kolumny, zaopatrzwszy każdego z nich w lusterko do dawania umówionych znaków.

Ze swego miejsca na czele kolumny przygalopował do niego adiutant. Haranides

zmarszczył czoło. Czuł niechęć do tego młodego człowieka — wcale nie dla jego niemal chłopięcej, gładkiej twarzy i dużych ciemnych oczu, stworzonych raczej do tego, by patrzeć nimi w oczy pięknym dworkom, a nie śmierci. Aheranatesa wsadzono mu na kark w ostatniej chwili, nie pytając go o zdanie. Był o dziesięć lat młodszy od niego, ale najdalej za dwa lata będzie starszy stopniem. Jego ojciec, świetnie ustawiony w dworskich układach, chciał, by syn nabył trochę doświadczenia bojowego, a i sława, jaka spłynie na oddział, który — Mitro, błogosław! — ujmie Czerwoną Sokolicę, też nie była bez znaczenia.

— Czego chcesz? — warknął Haranides, nie przejmując się powiązaniem młodego adiutanta.

Jeżeli mu się uda, żadna protekcja nie będzie potrzebna. Jeżeli nie, to może przed powrotem do Shadizar spisać testament i sam Ahersus nie uratuje go przed gniewem króla.

— Zastanawia mnie, dlaczego nie ścigamy Czerwonej Sokolicy... panie — dodał

pospiesznie, widząc ostry wzrok Haranidesa. — O ile pamiętam, po to nas wysłano, czyż nie tak, panie?

Haranides policzył w myślach do dziesięciu.

— Gdzie mianowicie chcesz ją ścigać, poruczniku? Masz jakiś konkretny plan? Czy może to, co robimy, wydaje ci się zbyt szare po barwnych defiladach w Shadizar?

— Nie o to chodzi! Po prostu trochę inaczej uczono mnie prowadzić grupę konnych, dowódco.

— Ośmielę się zapytać — zaczął Haranides z jadowitą uprzejmością — kto cię uczył... —

Urwał, widząc na wschodzie błysk. — Odpowiedz na sygnały, poruczniku. Im szybciej, tym lepiej. Po co ktoś obcy ma to zauważyć? Lusterkiem, nie głosem — dodał, jakby mówił do opóźnionego w rozwoju. — I skręć z kolumną na wschód.

— Rozkaz, panie!

Kapitan nie zwrócił uwagi na ironię w głosie młodego człowieka. Ten sygnał mógł oznaczać tylko jedno — na Mitrę, musiał to oznaczać! Z trudem się opanował, żeby nie ruszyć cwałem naprzód. Trzeba oszczędzać siły koni na pościg. Na razie musi wystarczyć wyciągnięty kłus i nadzieja, że to już blisko. Żołnierze, którzy dali sygnał, czekali na kolumnę, by ruszyć, gdy ta do nich dotrze. Ci, którzy byli dalej, zawracali na zachód, by przyłączyć się do pozostałych. Jeśli to był fałszywy alarm...

Wjechali na grań, gdzie czekało już kilku żołnierzy. Jeden z nich ruszył galopem na ich spotkanie. Podjechał do Haranidesa i sprężyście zasalutował.

— Kapitanie, wygląda na to, że był tu obóz, ale... Haranides uciszył go władczy gestem.

To, co zobaczył na grani, mówiło samo za siebie. Siedziały tam czarne sępy i spoglądały na widoczne w oddali cztery szakale.

— Zostać tutaj i czekać na znak — rzucił i zjechał w dolinę. Policzył wzrokiem pogorzelska ognisk. Było ich dziesięć.

Szakale uciekły na bezpieczną odległość, na odchodnym porywając parę nie do końca ogryzionych kości... Sępy nieufnie spoglądały to na zwierzęta, to na ludzi.

Łysa skóra na czaszce wskazywała, że to, co tu leżało w kawałkach, kiedyś było mężczyzną.

Do Haranidesa podjechał Aheranates.

— Na Mitrę, co to jest?

— Dowód, że obozowali tu bandyci, poruczniku. Nikt inny nie zostawia zmarłych sępom na pożarcie.

— Ściągnę tu chłopców i...

— Każ zsiąść z koni co najwyżej dziesięciu i zejść tu z nimi. Nie ma sensu rozjeżdżać wszystkich śladów. Weź dwóch z tej dziesiątki, żeby to pochowali. Pokieruj tym.

Aheranates starał się nie patrzeć na zakrwawione kości. Jego twarz była to blada, to zielona.

— Ja? Ale...

— Wykonać! Czas pracuje dla Czerwonej Sokolicy, poruczniku.

Aheranates nadludzkim wysiłkiem powstrzymał się od wymiotów i zawinał koniem w

miejscu. Haranides przestał zwracać na niego uwagę. Zeskoczył z siodła i prowadząc konia, obszedł pozostałości obozu. Wokół wygasłych ognisk widniały jeszcze ślady śpiących.

Gdzieś z pięćdziesięciu, pomyślał. W pewnej odległości od ognisk znalazł otwory t po kołkach i masztach namiotu. Nic szczególnego. O wiele ciekawsze były widoczne opodal cztery otwory wyznaczające prostokąt.

Podbiegł do niego niski kawalerzysta o pałakowatych nogach i zasalutował do płaskiego czoła.

— Przepraszam, dowódco, ale porucznik kazał panu powiedzieć, że znalazł miejsce, gdzie były uwiązane konie — zameldował i dodał niepewnie: — Porucznik kazał też przekazać, że to było około stu koni, kapitanie.

Haranides spojrział na dwóch żołnierzy, którzy kopali na zboczu grób dla żalosnych resztek nieznanego trupa. Najwyraźniej Aheranates wolał dalej penetrować teren, niż — jak mu przykazał — kierować tą ponurą pracą.

— Resaro — odezwał się kapitan. — Służysz w kawalerii co najmniej dwadzieścia lat.

Potrafisz ocenić, ilu ludzi, to jest, ile koni tu było? Oczywiście porucznik nie powiedział sto?

— dodał, widząc wahanie na twarzy żołnierza.

— Nie chcę podważać słów oficera, ale na moje oko było ich pięćdziesiąt trzy, z tym że nie wiadomo, ile w tym jucnych. Nie sprzątnięto łajna, a konie stały dość daleko od siebie, kapitanie.

— Doskonale, Resaro. Wracaj do porucznika i przekaż mu... — Znów dojrzał niepewność w oczach żołnierza, urwał więc i zapytał: — Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

Kawalerzysta niepewnie przestępował z nogi na nogę, patrząc gdzieś w bok.

— Jest taka sprawa, panie... Pan porucznik myślał... stwierdził, że nam się tylko tak wydaje, ale... yyy... Karezus i ja znaleźliśmy ich ślady. Próbowali je chyba zacierać, ale zrobili to byle jak. Pojechali w kierunku północno-wschodnim.

— Na pewno? — zapytał Haranides z naciskiem.

— Tak, dowódco.

Kapitan skinął głową. W tym kierunku leżały Góry Kezankijskie, a nie szlak karawanowy do Sultanapury czy nawet skrót przez góry.

— Resaro! Powiedz porucznikowi, żeby tu przyszedł.

Kawalerzysta zasalutował i oddalił się pospiesznie, żeby wypełnić rozkaz. Haranides wszedł na pagórek od wschodu i spojrzał na ledwo widoczne na horyzoncie szczyty Gór Kezankijskich.

Zbliżył się do niego Aheranates z ozdobnym flakonikiem w dłoni.

— Znalazłem to na miejscu namiotu — powiedział. — Ktoś miał ze sobą kobietę albo co...

Haranides obejrzał filigranowy flakonik. Był pusty, ale pachniał chyba ofireańskimi perfumami. Oddał go podwładnemu.

— Według mnie masz pierwszą pamiątkę od Czerwonej Sokolicy — orzekł. — Gratuluję.

Porucznik nie wyglądał na uradowanego. Pobladł i gwałtownie przełknął ślinę.

— Skąd macie pewność, że to był obóz tej dziwki? Równie dobrze mogła to być jakaś...

eee... zabłąkana karawana. Jeden z ludzi został czy zawrócił, żeby jeszcze coś załatwić, i zwierzęta go pożarły. Albo w ogóle nie miał z tamtymi, co tu stali, nic wspólnego. Mógł

przecież zjawić się później i...

— Są wyraźne ślady, że przywiązano kogoś do kołków — przerwał mu Haranides zimno.

— Spodziewam się, że był to ten sam człowiek, którego resztki znaleźliśmy. To po pierwsze.

Po drugie, nie mieli wielbłądów. Słyszałeś o karawanie bez wielbłądów? No, owszem, to się zdarza, ale u handlarzy niewolnikami, a to nie był obóz handlarzy, możesz mi wierzyć. Dalej, był jeden jedyny namiot. Karawana tej wielkości miałaby ich co najmniej dziesięć. A swoją drogą ciekawe, co ci się stało, że tak nagle nabrałeś ochoty na spotkanie z Czerwoną Sokolicą? Bo co, bo ma stu ludzi? Nie przesadzajmy. Jest ich około pięćdziesięciu.

Jakkolwiek przyznaję, że gdy się z nimi walczy, to może się wydawać, że jest ich powyżej setki.

— Nie macie prawa tak do mnie mówić? Manerkses, mój ojciec, jest...

— Tutaj ja jestem waszym ojcem, poruczniku. No, ale dosyć tej gadki. Podnieś ludzi i poślij ich ścieżką, którą byłeś uprzejmy uznać za niegodną uwagi!

Przez chwilę stali twarzą w twarz — Haranides z lodowatą pogardą, Aheranates kipiący z wściekłości. W końcu porucznik cisnął flakonik na ziemię.

— Tak jest, kapitanie — powiedział przez zaciśnięte zęby i zszedł w dolinę.



Haranides schylił się po flakonik. Upojna woń kwiatów wyczarowywała zamglony obraz Sokolicy, który nie pasował do wizji wywijającego szablą babochłopa. Co ją poniosło w Góry Kezankijskie? Odpowiedź na to pytanie miała zasadnicze znaczenie dla jego dalszych poczynąń.

Jeżeli mu się uda, droga na szczyty stanie przed nim otworem. Ahersus o to zadba. Zresztą i bez jego pomocy znajdzie daleko. Jeśli zaś mu się nie powiedzie, królewski doradca postara się jak najprędzej o nim zapomnieć, a król ozdobi Zachodnią Bramę jego czaszką. W takich sprawach Tiridates dotrzymuje słowa.

Schował flakonik do torby i przyłączył się do swych żołnierzy.

Bandyci parli w głąb Gór Kezankijskich. Conan na każdym kolejnym grzbiecie przystawał i się rozglądał. Za którymś razem hen daleko na pogórzcu, o jakiś dzień drogi za nimi, zobaczył coś, co go zainteresowało. Najwyraźniej nie byli już sami. Dzień drogi... na pewno? Czy rzeczywiście bandyci mieli aż taką przewagę?

— Na co się gapisz? — spytał Hordo.

Wyjęci spod prawa wspinali się po rzadko zalesionym zboczu, ku skalnym grotom z

ciemnego granitu. Karela jak zawsze jechała na czele. Jej szmaragdowozielona peleryna ze złocistym podbiciem łopotała na wietrze.

— Żołnierze! — rzucił Conan krótko.

— Żołnierze? Gdzie?!

Barbarzyńca pokazał ręką kierunek. W oddali widniał czarny wąz jeźdźców, tak równy, że na pierwszy rzut oka można go było wziąć za jedną istotę. Tylko żołnierze mogli utrzymać szyk na tym bezwodnym pustkowiu. Byli jeszcze bardzo daleko, ale wąz wyraźnie się wydłużał. Na równinie żołnierze musieli posuwać się naprzód trochę szybciej niż bandyci w górach. Odległość będzie malała, nie ma rady.

— To bez znaczenia — mruknął cyklop. — Tu nas nie złapią.

— Co, już się dzielicie zdobyczą? — Aberius podjechał do rozmawiających. — Lepiej nie zapeszać. Poczekać, aż będzie się czym dzielić, kto wie, czy tego dożyjecie... Co?

Żołnierze?!

Kilku innych usłyszało jego głos. Zaczęli kręcić się w siodłach, rozglądając się niespokojnie.

— Górale? — spytał niepewnie wysoki Pers imieniem Reza.

— Bzdura — odparł barczysty, o rzucającym się w oczy złamanym nosie Kothyjczyk

zwany Talborem. — Górale nie oddalają się w takich dużych grupach od swoich siedzib.

— Fakt — mruknął Aberius. Spojrzał ponuro na Conana i jednookiego. — Żołnierze, nie? Z

waszej poręki mamy żołnierzy na karku!

Bandyci nerwowo gadali jeden przez drugiego.

— Żołnierze!

— Wojsko nas goni!

— Wypatroszą nas i wystawią głowy na włóczniach!

— Cały pułk albo lepiej!

— Zamknąć się! — ryknął Hordo. — Ich jest góra dwustu, na dobitkę o dzień drogi za nami.

— Niech będzie dwustu, to i tak wypada pięciu na jednego — mruknął Aberius.

— To nie jest teren dla nas — dodał ponuro Reza. — Jesteśmy jak szczury w pułapce.

— Raczej jak wąż w zasadzce — poprawił Hordo. — Może nie jesteśmy u siebie, fakt, ale oni też nie.

Pozostali w ogóle zdawali się go nie słyszeć.

— Gonimy widma! — wrzasnął Talbor i stanął w strzemionach, żeby wszyscy go słyszeli.

— Bawimy się w tych zasranych górach w chowanego z duchami. Tyle z tego będziemy mieli, że zobaczymy swoje głowy na Zachodniej Bramie — dodał.

Aberius zdarł konia, omal nie zsuwając się z nim po stromym zboczu.

— Mówiłeś coś, Talbor? Znaczy, że ja nie umiem iść po śladach? Podążamy tropem, który znalazłem, i nikt nie protestował! Masz jakieś zastrzeżenia? — Położył dłoń na rękojeści szabli.

— Chcesz się bić — warknął Kothyjczyk i również sięgnął po broń.

Nagle rozdzieliła ich błyszcząca szabla Kareli.

— Ani słowa więcej, bo to żelazo pójdzie w ruch!

Kocie oczy spoglądały to na jednego, to na drugiego.

Pospiesznie cofnęli ręce od broni.

— Co was tak podnieca, że ciskacie się jak baby z haremu?

— Żołnierze — mruknął Aberius.

— Te urojone medaliony — odpowiedział jednocześnie Talbor.

— Żołnierze! — Karela rzuciła okiem w tył i jakby odetchnęła z ulgą na widok kolumny daleko na równinie. — Aberius, co się z tobą dzieje? Boisz się samego widoku paru wojaków na horyzoncie?

— W jej głosie wyczuwało się pogardę. — To jakbyś się bał starej baby z kijem, nie?

— Po prostu nie lubię, jak ktoś się za mną włóczy z bronią — odparł Aberius grobowym tonem. — A

może myślisz, że oni zupełnie przypadkowo jadą tą samą drogą co my?

— Nie wiem, może nas gonią, a może wyjechali na spacer. Nie obchodzi mnie to! —

Gdyby mogła zabijać wzrokiem, Aberius byłby już martwy. — Jam jest Czerwona Sokolica, a wy jesteście moimi ludźmi. Macie iść za mną! A bać się możecie i musicie, ale tego, czego ja wam się każę bać, niczego więcej. Marsz w góry! Tam jest płaskowyż, na którym

przenocujemy.

— To dobre pół dnia drogi stąd — wtrącił Hordo.

Odwróciła się do niego z płonącym wzrokiem.

— Ogłuchłeś?! Powiedziałam, że śpimy tam, na górze. To jest rozkaz! Cymmeryjczyku, zostaniesz tutaj.

Jednooki kapitan zmełł w ustach coś, czego za żadne skarby świata nie powtórzyłby swojej pani. Bez szemrania ruszył pod górę, a za nim reszta kamratów. W cmentarnej ciszy rozlegały się tylko stukot kopyt i skrzypienie siodeł. Conan czujnie spoglądał na rudowłosą.

Wyciągnęła szablę, jakby miała szczerą ochotę przebić go nią, ale zaraz schowała ją z powrotem.

— Co to za jedna? Jak się nazywa?

— Velita — odrzekł Conan.

Mówił jej to już parę razy i był dziwnie pewien, że zapamiętała to imię. W końcu wykrztusi z siebie, o co naprawdę jej chodzi. Znacząco rzucił okiem na równinę.

— Karela, oni są coraz bliżej. Ruszajmy stąd.

— Pojedziemy, kiedy rozkażę! A jak będę chciała, to na nich zaczekamy. Masz ochotę się zabawić?

Spojrzał na nią w nagłym osłupieniu. W jej oczach malowało się jakieś potężne, acz trudne do określenia uczucie.

— Nie bardziej niż ty.

Wściekłe prychnięcie było wymowniejsze od słów.

— Skarby z pałacu Tiridatesa, powiadasz. Nie mówiąc o tej babie, której, jak twierdzisz, obiecałeś wolność. Co pcha żołnierzy w te góry, gdzie nie znajdują nikogo oprócz kozic i dzikich górali, co w tym wypadku na jedno wychodzi?

— Nie wiem — wzruszył ramionami. — Ale to mnie utwierdza w przekonaniu, że szukamy właściwych ludzi. Prawdziwi pielgrzymi nie jechaliby do Wendii przez środek Gór

Kezankijskich.

— Coś w tym jest — mruknęła i spojrzała na widocznych w oddali żołnierzy.

Spięła potężnego ogiera i ze śmiechem wykonała na nim parę obrotów na zadnich nogach.

— Głupcy! Oni i Czerwona Sokolica! Dobrze sobie!

— Wydaje mi się, że tym razem kazano im znaleźć medaliony Tiridatesa, a nie ciebie.

Rudowłosa spojrzała na niego zabójczym wzrokiem.

— Od razu widać, że jesteś nietutejszy. Zamoriańska armia zawsze ma rozkaz szukać mnie, znaleźć i schwytać, niezależnie od innych zadań. Oczywiście, nigdy mnie nie złapią. Kiedy ta gonitwa staje się męcząca, moi ludzie dzielą się na małe grupy i zajmują do ochrony karawan, zawsze na trasie, na której planujemy najbliższą akcję. Każdy chętnie przyjmuje dodatkową obstawę i dobrze płaci. Wszyscy się boją Czerwonej Sokolicy.

Zaśmiała się, rozbawiona. Jego zaś śmieszył nieco fakt, że odebrała jako zniewagę pogląd, iż żołnierze mogliby ścigać kogoś innego.

— Nic dziwnego — powiedział. — W sumie przez pół roku złupiliście siedem karawan.

Było tego pewnie nie mniej niż wartość całego skarbu, którego szukamy.

— Nie miałam z tym nic wspólnego — zaprzeczyła z pogardą. — Te karawany znikły,

zapadły się pod ziemię, nie ma śladu po ludziach, koniach, wielbłądach, ładunku. Ja pracuję inaczej. Kto jest stary, chory albo szczególnie brzydki, daję mu wodę i żywność, żeby mógł

dotrzeć do najbliższego miasta, i puszczam wolno, a pozostałych sprzedaję na targu niewolników.

— Jak nie wy, to kto?

— Skąd mam wiedzieć? Na ostatnią karawanę napadliśmy osiem miesięcy temu. Owszem, obłowiliśmy się nieźle, no i potem, oczywiście, odpowiednio to uczciliśmy — uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała. — Kiedy opuściliśmy Arenjun, okazało się, że intensywnie nas szukają z powodu tych właśnie karawan, o które i ty mnie podejrzewasz. Kazałam swoim ludziom najać się do ochrony karawan, a sama siedziałam cztery miesiące w Shadizar i wróżyłam z kart, pod nosem Gwardii Królewskiej. Siedziałabym tam dalej, bo w zasadzie nie powinnam jeszcze zwoływać ludzi, za duże ryzyko, ale miałam dosyć tych wszystkich chłopów, którzy rozbierają mnie wzrokiem i każdy ma dziką ochotę przespać się ze mną. —

Ponurym spojrzeniem obrzuciła Conana, jak gdyby patrzyła na mężczyzn całego świata.

— W Kezankianie dzieje się coś dziwnego — stwierdził Conan w zamyśleniu. — To jedno jest pewne. Może ci goście przed nami mieli z tą historią coś wspólnego?

— Masz bujną wyobraźnię — mruknęła z dziwnym wyrazem twarzy. — Chodź do mojego namiotu, Cymmeryjczyku, to pogadamy — i ruszyła szybciej w górę, nie czekając na odpowiedź.

Conan chciał za nią podążyć, ale nagle poczuł, że z urwiska na południu ktoś go obserwuje.

Najpierw pomyślał o kezankijskich wojownikach, ale gdy włosy zjeżyły mu się na karku, przypomniał sobie, że zna te niewidzialne oczy. Oczy, które patrzyły na niego owej pierwszej nocy spędzonej z Karelą. Które śledziły go i następnej nocy — a potem ukazał się Krato.

Imhep–Aton był blisko.

Napiął potężne ramiona, nabrał powietrza w płuca, odwrócił głowę i gromowym głosem zawołał:

— Nie boję się ciebie, czarowniku!

— ...boję... czarowniku... — powtarzało echo. Ponury, ruszył naprzód.

Czerwony namiot Kareli stał na skalistym podłożu na małym płaskowyzu. Bandyci rozpalili już ogień, dzbany z kilem krążyły z rąk do rąk.

— Coś tam krzyczał? — zapytał Aberius, gdy Conan zsiadł z konia.

— Nic ważnego — odparł barbarzyńca.

Aberius z kilkoma innymi podszedł bliżej i czujnie stanął naprzeciw niego. Conan z udaną obojętnością położył rękę na krytej skórą rękojeści miecza — takim samym ruchem, jak przed walką z Kratonem. Tamci najwyraźniej pamiętali ten ruch.

— Trochę myśleliśmy o tych żołnierzach... — zaczął tropiciel.

— Mów za siebie — mruknął któryś, ale zbój nie zwrócił na niego uwagi.

— I co wymyśliłeś? — spytał Conan.

Aberius obejrzał się na swoich kompanów, szukając w ich oczach poparcia, lecz go nie znalazł.

— Nigdy tu nie byliśmy — ciągnął niepewnie. — No, raz tylko — poprawił się — kiedy musieliśmy się tu ukryć. Tu nie można się rozdzielić, trzeba jechać tak, jak prowadzi droga, a nie tam, gdzie byśmy chcieli. I teraz wpakowaliśmy się w to miejsce, mając na karku pięć razy liczniejszego wroga.

— Wasza wola. Jeśli odeszła wam ochota do walki, to ja was do niczego nie zmuszam —

napadł na niego Conan. — Możecie zawracać. Ja w każdym razie jadę dalej.

— Pewnie — szczerknął Aberius. — I wszystko będzie twoje. Nic dziwnego, że wolisz być sam, gdy zdobędziesz medaliony.

Zimne oczy barbarzyńcy pełne były bezgranicznej pogardy. Nawet mały tropiciel skulił się pod tym wzrokiem.

— Zdecydujcie się. Jeżeli boicie się żołnierzy, uciekajcie. Jeśli nie, to jedźcie ze mną po skarb. Albo — albo. Nie można mieć wszystkiego naraz.

— Coś mi mówi, że zaprowadzisz nas tam, gdzie łatwo nas będzie pobić — rzucił Aberius.

— Żołnierzom może się uda, ale ty tego nie przeżyjesz...

— Róbcie, co chcecie — przerwał mu Conan. — Ja wyruszam jutro o świcie. — Z obojętną miną odsunął ich na bok i odszedł. Wymruczeli coś w powietrze.

Zastanawiał się, czy lepiej byłoby zostać, czy też jechać dalej w pojedynkę. Nie uważał, by bandyci mieli prawo do medalionów, ale tu, w górach, Aberius ze swoją umiejętnością tropienia był bardzo przydatny. Ten człowiek na pierwszy rzut oka odróżniał ślad końskiego kopyta na skale od śladu spadającego kamienia. Jednocześnie jednak stale musiał się liczyć z możliwością, że ten szczur wbije mu nóż w plecy.

Młody Cymmeryjczyk westchnął ciężko. To, co miało być prostą i niewyobrażalnie

zyskowną kradzieżą, rozrosło się w potężną operację, poplątaną jak węże w gnieździe. W

dotatku miał niejasne przeczucie, że zupełnie nie zna jej rzeczywistych rozmiarów. W

każdym razie wpakował się w coś pod każdym względem niesamowitego.

Podszedł do czerwonego namiotu Kareli, przymocowanego do niewielkiego bloku

skalnego, gdyż w twardego gruntu nie można było wbić haków. Nagle drogę zastąpił mu Hordo.

— A ty dokąd? — spytał ostro jednooki.

Conan, odkąd dowiedział się, że w pobliżu jest Imhep–Aton, nie był w najlepszym

humorze. Wymiana zdań z Aberiusem rozdrażniła go jeszcze bardziej.

— Gdzie mi się podoba! — warknął i ramieniem odsunął kapitana na bok.

Oslupiały bandyta potknął się i przepuścił barbarzyńcę, ale zaraz ponownie zastąpił mu drogę i wyrwał szablę z pochwy. Słyszając znajomy odgłos stali trącej o skórę, Conan także chwycił za miecz. Zakrzywione ostrze spotkało się w powietrzu z klingą miecza. Brodacz zaatakował na zbiegu ze zdumiewającą lekkością jak na swój wiek. Blizna przecinająca jego twarz świeciła czerwono.

— Mięśnie to ty masz, Conanie — zgrzytnął — ale rozumu ani za grosz.

Młody barbarzyńca zaśmiał się krótko, lecz bez radości.

— Myślisz, że chciałbym zająć twoje miejsce? Nie ma obawy, jestem złodziejem, nie zbójem pustynnym.

Jego miecz nie był lekki, on jednak bez trudu wywijał nim nad głową i po bokach, jakby oganiał się od natrętnej muchy, nie zaś bronił przed śmiertelnymi ciosami.

— Schować broń — usłyszał z tyłu ostry głos Kareli.

Nie spuszczać oka z kapitana, Conan uczynił dwa szybkie kroki w lewo i ustawił się tak, by widzieć zarówno brodatego bandytę, jak i jego rudowłosą panią. Karela, w długiej do pięt szmaragdowej pelerynie, stała w progu namiotu.

— Chciał wejść do namiotu — rzucił jednooki.

— Zgodnie z moim rozkazem — odparła zimno. — Zresztą, Hordo, powinieneś wiedzieć, że nie zniosę żadnych walk pomiędzy moimi ludźmi. Gdyby na waszym miejscu byli na przykład Aberius i Talbor, zabiłabym ich. Was szkoda zabijać, ale nie wiem, czy nie każę związać wam rąk i nóg na plecach, żebyście nie nabroili w nocy.

Hordo był wstrząśnięty jej gniewem.

— Chciałem cię tylko ochronić! — wyjaśnił.

Jej twarz się ściągnęła.

— Zdaje ci się, że potrzebuję ochrony? Hordo, zejź mi z oczu, bym nie zapomniała o latach twojej wiernej służby.

Cyklop wahał się przez chwilę, w końcu jednak odszedł do ogniska, obrzucając Conana ostrym spojrzeniem.

— Mówisz raczej jak królowa niż jak bandytka. — Młodzieniec schował miecz.

Patrzyła na niego, a on nie unikał jej wzroku.

— Inni bandyci kończą na szafocie albo na targu niewolników, Conanie. A ode mnie jeszcze nikogo nie złapano. Dlaczego? Bo wymagam posłuszeństwa. Nie chodzi o ślepe posłuszeństwo żołnierzy. Po prostu to, co powiem, musi być natychmiast wykonane, każdy mój rozkaz! Tu słowo Czerwonej Sokolicy jest najwyższym i jedynym prawem. Komu to nie odpowiada, musi odejść lub umrzeć.

— Kiepsko nadaję się do słuchania rozkazów — odrzekł spokojnie.

— Wejź! — Znikła w namiocie, a on podążył za nią. Namiot był wysłany pięknymi

turańskimi dywanami przetykanymi złotymi nićmi. Na środku stał stół z polerowanego drewna, otoczony grubymi poduszkami, a pod ścianą łoże z błyszczącej czarnej skóry, z jedwabną poduszką i miękką, pasiastą wełnianą kołdrą.



— Zamknij klapę — rozkazała. — Proszę — poprawiła się z wyraźnym oporem.

Conan rozwiązał węzeł, który przytrzymał otwartą klapę, i zasłonił nią wejście. Był

ostrożny, gdyż nie nauczył się jeszcze przewidywać zachowania Kareli.

— Mogłabyś... powinnaś lepiej traktować kapitana. On jeden w całej bandzie jest ci naprawdę oddany, dla ciebie samej, nie dla twoich sukcesów.

— To wierny pies, a nie mężczyzna.

— Widocznie nie umiesz docenić jego wartości. Jest najlepszy z nich wszystkich — upierał

się Conan.

— Nie tak wyobrażam sobie mężczyznę. — Rozpostarła nagle pelerynę i odrzuciła ją na dywan.

Conan nie mógł powstrzymać się od okrzyku podziwu. Karela stała przed nim przyodziana tylko miękkimi rudo-kasztanowymi włosami. Biodra otaczał sznur równej wielkości

kosztownych pereł, błyszczących na ciemnej aksamitnej skórze jej łagodnie zaokrąglonego brzucha. Na pełne piersi nałożyła nieco różu o silnym, upajającym zapachu... Stała przed nim, z jednym kolanem lekko ugiętym, napiętymi ramionami i dłońmi na biodrach — pozycja tyleż wyzywająca, co ostrzegająca.

Conan zrobił krok w jej kierunku. W pięknej dłoni Kareli błysnął sztylet — nie szerszy niż jej palec, ale dostatecznie długi, by w razie potrzeby sięgnąć nim do serca. Patrzyła mu w oczy.

— Jesteś wśród moich ludzi jak wilk wśród sfory psów, Cymmeryjczyku. Przy tobie nawet Hordo to tylko pół wilka. Ale pamiętaj: żaden mężczyzna nie nazywał mnie swoją i żaden tego nie osiągnie. Bo gdy kobieta oddaje się mężczyźnie, ten zaraz uważa ją za swoją wyłączną własność. Jeśli taki jest porządek świata, że kobieta musi być niewolnicą mężczyzny, to wolę nie być kobietą. Nie mam zamiaru biec za chłopem jak tresowany piesek, tańczyć jak mi zagra i oddawać mu się, kiedy ma na to ochotę. Jestem Czerwona Sokolica i to ja rozkazuję! Ja!

Grzecznie, lecz stanowczo wyjął jej sztylet z dłoni i znaczącym gestem odrzucił go na bok.

— Karela, czy chcesz, czy nie, jesteś kobietą i tego żadna moc nie zmieni. Czy ktoś z nas dwojga musi komuś rozkazywać? Wiem, czym jest niewola. Nie miałem jeszcze szesnastu lat, kiedy nosiłem kajdany, i nikomu tego nie życzę. — Miętko ułożył ją na łożu.

— Jeśli mnie oszukujesz — syknęła — zobaczysz swoją głowę nabitą na ostrze włóczni stojącej przed moim namiotem. Ja... o, Derketo...

Z jej ust spłynęły jeszcze jakieś inne dźwięki, nad którymi już nie panowała.

Komnata, w której Amanar dokonywał swoich czarów, znajdowała się na szczycie najwyższej wieży w zamku — tak daleko od ołtarza ofiarnego, jak tylko to było w tej ponurej fortecy możliwe. Amanar wiedział wprawdzie, że zamkowe mury nie stanowią żadnej przeszkody dla Morath–Aminee, ale odległość dawała mu przynajmniej złudzenie pewnego bezpieczeństwa.

Na kamiennych ścianach okrągłego pomieszczenia piętrzyły się księgi oprawne w skóry dziewic. Szklane kule w ściennych uchwytych świeciły własnym światłem dzięki tajemnej mocy. Okien nie było, a ciężkie kute drzwi zaryglowano. Woń płonących z sykiem trociczek, wystających z różnobarwnego żaru w brązowych wazach, mieszała się ze smrodem dziwnej cieczy wrzącej w kamiennym naczyniu, zawieszonym nad ogniem podsycanym ludzkimi

kośćmi. Na stołach leżały roztarte na proch mumie, potrzebne do przygotowania czarodziejskich napojów. Wszystko to było bezładnie przemieszane z pojemnikami zawierającymi śmiertelnie trucizny i pęczkami rzadkich korzeni oraz ziół.

Czarownik, w którego oczach malowała się niepewność, stanął przy naczyniu z wrzącą cieczą, która zaczynała kipieć. Z ledwo zauważalnym wahaniem zdjął z szyi amulet. Choć nie wypuszczał talizmanu z ręki, poczuł na plecach chłód. Niestety, koniecznie musiał na chwilę pozbyć się tej ochrony. Nie czekając, aż czarna piana sięgnie brzegu naczynia, zanurzył w wywarze zawieszony na srebrnym łańcuszku amulet. Wąż i orzeł pogrążyły się w odmętach.

Łańcuszek stał się lodowato zimny, a nienaturalnie długie palce czarownika poczerniały.

Piana opadła, lecz czarna ciecz wrzała jeszcze wyraźniej. Waza rozżarzyła się do czerwoności. Amanar śpiewnym głosem wymówił zaklęcie.

Drżącymi palcami wyciągnął amulet. Najchętniej zaraz wytarłby go do sucha i włożył na szyję, ale właśnie na tym etapie swoich czarów musiał być szczególnie ostrożny.

Długimi brązowymi cęgami zdjął wazę z ognia. W pobliżu, na marmurowym podeście, stało niewielkie kryształowe naczynie, niesamowicie załamujące i odbijające blask ognia.

Czarownik ostrożnie przechylił pojemnik z czarną cieczą i wylał ją do kryształowej szkatuły.

Niewielu z żyjących znało słowa, które przy tym wypowiedział. Wrzący płyn wypełnił małe naczynie. Kryształ rozbrzmiał przeraźliwym dźwiękiem, jak gdyby rozpryskiwał się na tysiąc kawałków. Ciecz zaczęła gęstnieć i gwałtownie parować. Jakby gdzieś w oddali rozległy się krzyki i inne dziwne dźwięki — to odzywali się ci, z których szczątków powstała ta upiorna substancja.

Nagle nastąpiła cisza. W naczyniu nie było już ani kropli cuchnącego płynu. Wśród kryształowych ścian kłębiły się czarne chmury, zmieniające kształt niczym w czasie burzy.

Ciężko oddychając, Amanar odstawił wazę i położył cęgi obok. Znów miał otwartą drogę ucieczki. Co prawda niedalekiej i nieostatecznej, ale zawsze ucieczki. Oczyszczył amulet, przyjrzał mu się uważnie i włożył na szyję.

Gdzieś w dole rozbrzmiał głęboki głos wielkiego brązowego gongu. Czarownik uśmiechnął się, odryglował drzwi i ze szkatułą pod pachą wyszedł z komnaty. Znowu uderzył gong.

Amanar udał się prosto do alabastrowej sali audiencyjnej, którą przykrywała wysoka kopuła wsparta na kunsztownie rzeźbionych, na chłopa grubych kolumnach z kości słoniowej.

Pośrodku stał olbrzymi tron; jego poręcze miały kształt kothyjskich żmij, podnóżki — wendyjskich wydr, a wszystko to było ze złota. Za nim wznosił się gigantyczny złoty wąż.

Czarownik zmierzył zgromadzonych w sali pozornie obojętnym wzrokiem.

S'tarra klęczyła przed nim z pochylonymi głowami. Oprócz nich przed tronem raczej leżało, niż klęczało, pięć młodych kobiet w cienkich jedwabnych szatach, z rękami związanymi na plecach.

Amanar zasiadł na tronie i ostrożnie ustawił sobie szkatułę na kolanach.

— Czy macie to, po co was wysłałem? — zapytał.

Choć czarownik z całej siły zmuszał się do powściągliwości, nie zdołał powstrzymać drżenia rąk, gdy unosił pokrywę puzdra. Jeden po drugim wyrzucił na mozaikową posadzkę cztery opracione w srebro kamienie, z którymi niewiele innych mogło się równać:

krwistoczerwoną perłę wielkości dwóch męskich palców; brylant, czarny jak skrzydło kruka i wielki jak kurze jajo; złoty samorodek kształtu kryształowego serca; węzowatej postaci kamień, którego ostre krawędzie mogłyby przeciąć diament. Wszystkie one jednak były dla niego niemal bez wartości — w porównaniu z piątym. Gdy go wyciągnął ze szkatuły, cały drżał. W aksamitnej czerni kamienia wielkości członu palca błyskały czerwone iskierki, zdając się nieomal tańczyć. Oto medalion, który musiał chronić przed Morath–Aminee.

— Schowaj te kamienie na wszelki wypadek, Sitha — rozkazał.

S'tarra skłonił się głęboko i pochylił nad medalionami.

Amanar prawie z czułością owinał ciemny kamień jedwabiem i ułożył go w kryształowej szkatule. Zamknąwszy pokrywę, odetchnął z ulgą. Nareszcie spokój! Teraz sam Morath–

Aminee nie zdoła stwierdzić, co jest w środku — przynajmniej na razie. A zanim się domyśli, on znajdzie już inną kryjówkę, którą bóg demonów niełatwo odkryje.

Mocno ścisnął wieko puzdra i po raz pierwszy spojrzął na dziewczęta, które upadły przed nim na twarze. Z zadowoleniem stwierdził, że drżą.

— Skąd się tu wzięły te kobiety? — zapytał. Odziany w łuskowy pancerz Surassa, który dowodził ekipą, uniósł łuskowatą głowę. Z pozbawioną wyrazu twarzą odpowiedział

syczącym głosem:

— Mistrzu! Przed miastem Shadizar wyrzekliśmy słowa, których nas nauczyłeś, i spożyliśmy proszek, który nam dałeś, aby Moc była z nami i aby ludzkie oko nas nie dojrzało...

Amanar niecierpliwie przerwał potok jego słów.

— Pytałem o te kobiety — warknął — a nie o wszystko, co przeżyliście.

W czerwonych oczach S'tarra odbił się wielki wysiłek. Czarownik westchnął ciężko. Te czlekojaszczury potrafiły nauczyć się średnio długiej relacji, ale wybranie z niej rzeczy istotnych było dla nich niezwykle trudne.

— Pałac, mistrzu — wysyczał w końcu Surassa. — Weszliśmy niewidzialni do pałacu

Tiridatesa. Gdy doszliśmy tam, gdzie było to, po co nas posłałeś, znaleźliśmy tylko szkatułę.

Wzięliśmy ją ze sobą i przeszukaliśmy pałac.

Rozpytywaliśmy wielu i zabiliśmy ich, aby nie mogli o nas opowiedzieć. Tym sposobem znaleźliśmy te oto kobiety, które nosiły na szyjach medaliony. Mężów, którzy z nimi byli, także zabiliśmy. Potem opuściliśmy pałac i, jak nas ostrzegłeś, czar uleciał. Przeto przyodziliśmy się...

— Dostyc! — krzyknął Amanar i czlekojaszczur zamilkł. Kazał im dostarczyć pięć

naszyjników, choć naprawdę interesował go tylko jeden, bał się bowiem, że przy swoim ograniczonym umyśle mogą mu przez pomyłkę dostarczyć inny kamień, na przykład czarny brylant. Wszelako, mimo jego drobiazgowych wskazówek, narazili się na wykrycie, głównie przez porwanie tych kobiet.

Kipiał w nim gniew, zwłaszcza że nie było sensu ich karać. Równie dobrze mógłby karać psy. One tak samo zniosłyby wszystko, co by z nimi zrobił, i tak samo nie zrozumiałyby, dlaczego to robi. S'tarra zdawał się wyczuwać, co się działo z jego panem, i odruchowo nieznacznie się cofnął.

— Dajcie tu te kobiety — rozkazał czarownik.

Pięć nagich dziewcząt patrzyło na niego przerażonym wzrokiem. Amanar uniósł się i zamyślony spoglądał na tancerki. Były doprawdy piękne — wszystkie razem i każda z osobna

— ale nie mniejszą wartość miał dla niego ich wyczuwalny obłądny strach.

Podszedł do białej blondynki o aksamitnej skórze barwy kości słoniowej.

— Jakie jest twoje imię, dziewczyno?

— Zuzi. — Podniósł brwi, szybko więc się poprawiła: — Mistrzu, zwą mnie Zuzi. Jeśli ci to odpowiada, mistrzu.

— Jesteście tancerkami, które Yildiz posłał Tiridatesowi?

Patrzył jej w oczy. Zauważył, że pod jego wzrokiem coraz bardziej drżała.

— Tak, m... mi... mistrzu — wyjąkała.

Podrapał się po brodzie i skinął głową. Królewskie tancerki... W sam raz dla kogoś, kto ma panować nad światem. A gdy spełnią swoje zadanie, niech Morath–Aminee pożywi się ich nędznymi duszyczkami.

— Conan nas uwolni! — zawołała nagle jedna z dziewcząt. — On cię zabije!

Amanar podszedł do niej szybkim krokiem. Była szczupła i miała długie, zgrabne nogi.

Hardo patrzyła na niego dużymi ciemnymi oczami, choć drżała na całym ciele.

— A ty jak się nazywasz? — Słowa były niewinne, ale ton niemal odjął jej mowę.

— Velita — odparła w końcu.

Zauważył, że z całej siły zacisnęła zęby, żeby nie nazwać go mistrzem. Będzie miał z nią niezłą zabawę...

— A ten Conan, co was niby uwolni, któż to?

Milczała. Odezwał się Surassa.

— Przebacz, mistrzu. W Shadizar wymawiano to imię. To złodziej, który stał się uciążliwy.

— Złodziej! — zaśmiał się Amanar. — No cóż, moja mała Velitko? Cóż wypada mi

uczynić? Sitha, wydaj swoim ludziom niezbędne rozkazy. Kiedy znajdą tego człowieka, Conana, niechaj przyniosą mi jego skórę. Nie całego człowieka — słyszysz? — tylko skórę.

Velita zaczęła szlochać. Skuliła się, przyciskając mokrą od łez twarz do kolan. Amanar znowu się roześmiał. Pozostałe kobiety patrzyły na niego przerażone. Bardzo dobrze, niech się boją, o to chodziło.

— Co wieczór będziecie dla mnie tańczyć. Wszystkie pięć. Ta, która najbardziej mnie ucieszy, dostąpi zaszczytu dzielenia ze mną tej nocy mego łoża. Trzy następne zostaną wychłostane i na noc

zakute w kajdany. Ta zaś, która spise się najgorzej... — zawiesił głos, aby ich strach jeszcze bardziej wzrósł — spędzi noc z Sithą. Nie jest może specjalnie przystojny, ale dobrze wie, czego kobiecie potrzeba.

Klęczące tancerki ze zgrozą popatrzyły na człekojaszczura, który spojrzał na nie lubieżnie.

Zaczęły płakać, pokornie bić czołami o ziemię i błagać o łaskę. Amanar z rozkoszą patrzył na ich strach. To samo pewnie czuł bóg demonów, gdy pożerał dusze.

Pogładził czule szkatułę i podniesiony na duchu pełnymi przerażenia krzykami, opuścił salę.

Conan spojrział na lewe zbocze wąskiej doliny, w którą wjechali. Coś się tam poruszyło. Co prawda tylko przez mgnienie oka, ale bystry wzrok złodzieja zdążył to zarejestrować. W

dotatku nie był to pierwszy raz.

Ruszył krętą drogą; był ciekawy, czy Hordo też to zauważył. Karela jechała na czele.

Uniesiona nieznacznie w strzemionach, wyglądała, jakby prowadziła armię, a nie zbieraninę kilkudziesięciu bandytów, podążających za nią długim wężem, jeden za drugim.

— Jesteśmy obserwowani — powiedział Conan, zrównawszy się z cyklopem.

Hordo splunął przez ramię.

— Myślisz, że nie wiem?

— Kezankijczycy?

— A kto? — Kapitan zmarszczył czoło. — Jak sądzisz?

— Nie wiem — wzruszył ramionami Conan. — Ale zauważyłem na zboczu nie hełm, lecz turban.

Jednooki się zamyślił.

— Żołnierze są jeszcze daleko w tyle — stwierdził. — Talbor i Tanades ostrzegą nas, gdyby się zbliżali.

Zadaniem dwóch bandytów stanowiących straż tylną było mieć na oku zamoriańską

kawalerię. Conan zrezygnował z wyrażenia głośno obawy, że ze strachu mogą oni oddzielić się na stałe od grupy i ruszyć samopas oraz że Karela chyba nie docenia możliwości pogardzanych żołnierzy.

— Ktokolwiek by to był — powiedział — możemy tylko mieć nadzieję, że nie zaatakuje nas tutaj.

Hordo rozejrzał się po stromych zboczach doliny porośniętej po obu stronach gęstymi krzakami. Uniósł oczy ku niebu.

— Mitro! Oby nie było ich zbyt wielu. Chociaż na dobrą sprawę już kilkunastu dobrych...

— urwał.

Wyprzedził ich Aberius, z całej siły bijąc swojego konia.

— Nie podoba mi się to — mruknął Conan.

Hordo warknął coś niezrozumiałego i obaj ruszyli cwałem naprzód. Dogonili Karełę jednocześnie ze szczurzołęym tropicielem.

— Kezankijczycy! — sapnął Aberius. Gęsty pot spływał mu z czoła. — Osiemdziesięciu do stu. Obóz w poprzek drogi. Właśnie się zwijają.

Kim są Kezankijczycy i dlaczego lepiej ich unikać, wiedzieli wszyscy. Nie uznawali oni nad sobą nikogo. Zarówno Turan, jak i Zamora zrobiły wiele, żeby ich sobie

podporządkować, ale bez pożądanego skutku. Obcych zawsze traktowali tak samo — z jak najgorszymi dla nich konsekwencjami. Każdy, kto nie był swój — nawet i Kezankijczyk, ale z innego szczepu — był wrogiem. A wrogów należało zabijać.

— Idą na nas? — zapytała Karela spokojnie.

Skinął głową. Zakłęła cicho.

— A z tyłu żołnierze — zgrzytnął Hordo.

Czerwona Sokolica spiorunowała go wzrokiem.

— Co to, Hordo, robisz się strachliwy na stare lata?

— Nie mam po prostu ochoty znaleźć się między młotem a kowadłem — odparł kapitan. —

Mój wiek nie ma z tym nic wspólnego.

— Uważaj, byś na starość nie zmienił się w babę — prychnęła. — Zjedziemy ze ścieżki, ukryjemy się i niech się nawzajem wyrzynają. Z góry będziemy mieli niezły widok.

Conan zaśmiał się nerwowo. Rudowłosa złapała za rękojeść szabli. Sprężył się. Jeśli będzie zmuszony z nią walczyć — nie sądził zresztą, by mógł ją zabić, choćby i w obronie własnej

— niezawodnie przyjdzie mu walczyć także z cyklopem, a może i z pozostałymi bandytami, którzy stali za nimi na kamienistej ścieżce.

— Pomysł, żeby napuścić ich na siebie, jest niezły — powiedział — Sęk jednak w tym, że jeśli spróbujesz władować się z końmi na ten stok, to postoiemy tu jeszcze tydzień.

— Masz lepszy pomysł. Cymmeryjczyku? — Jej głos brzmiał ostro, ale zdjęła rękę z ozdobnej szabli.

— Owszem. Główne siły naszego oddziału zawrócą i skręcą w któryś z miniętych już wąwozów.

— Kezankijczycy też mają tropicieli! — rozległ się przerażony głos Aberiusa. — Jeśli odczytają nasze ślady, a tak niezawodnie się stanie, my będziemy z nimi walczyć, a nie to bydło z Zamory!

— Rozumiem, że to jeszcze nie cały plan — odezwała się Karela miękko. — Jeżeli okaże się, że



jesteś głupcem... — Nie dokończyła, ale błysk w jej kosych oczach mówił sam za siebie.

Conan wiedział, że nie wybaczyłaby sobie (i jemu!), że spała z kimś takim.

— Powiedziałem „główne siły” — ciągnął spokojnie rosły barbarzyńca. — Ja zaś wezmę paru ludzi i pojedę naprzód tam, gdzie są Kezankijczycy.

Śmiech Aberiusa zawierał mieszaninę strachu i drwiny.

— I co, będziecie się bili z setką górali? Czy może chcesz zastosować metodę łagodnej perswazji?  
— wysilił się na gdzieś dawno słyszane mądre słowa.

— Milcz! — rozkazała Karela. Zwilżyła wargi końcem języka i rzekła już spokojniej: —

No, Conan, jeżeli nawet jesteś głupcem, to w każdym razie bardzo odważnym.

— Owszem, zaatakuję ich — potwierdził Conan — ale kiedy się mną zainteresują, ucieknę.

Wyprowadzę ich na żołnierzy, mijając po drodze wąwóz, w który skręci reszta. Chociaż, nie musi to być wąwóz, można skręcić gdzieś na zbocze, to nie ma znaczenia. A kiedy zaczną się bić, wycofam się ze swoim oddziałem i dołączę do pozostałych.

— Jedni albo drudzy przerobią cię na kielbaski — prychnął Aberius.

— Ciebie w takim razie też — powiedziała ostro Karela. — I mnie. Bo oboje pojedziemy z Conanem.

Tropiciel zacisnął zęby. Milczał. Barbarzyńca otworzył usta, żeby zaprotestować, ale rudowłosa nie dała mu dojść do słowa.

— Ja tu dowodzę, Cymmeryjczyku, a nie zwykłam wysyłać innych na śmierć, sama zaś siedzieć bezpiecznie na tyłach. Podporządkuj się albo zostaniesz z nimi, przewieszony przez własne siodło.

Conan roześmiał się serdecznie.

— Z nikim innym nie czułbym się tak bezpiecznie jak z tobą. Jedyne, czego się obawiam, to to, że lełobuzy pojedą bez ciebie dalej, najkrótszą drogą na niziny.

Teraz i ona zaczęła się śmiać.

— Nie, Conan, nie ma obawy. Dobrze wiedzą, że ściagałabym ich aż na koniec świata.

Zresztą Hordo będzie trzymał moje psy na smyczy. Hordo, przyjacielu, co z tobą?

Kapitan, blady, patrzył na nią wzrokiem pełnym desperacji.

— Jeśli Czerwona Sokolica nadstawia głowę — powiedział cicho — to moje miejsce jest przy niej.

Conan spojrział na rudowłosą, spodziewając się kolejnego wybuchu jej gniewu. Ona jednak popatrzyła na jednookiego bandytę jak nigdy przedtem.

— Dobrze — zgodziła się po chwili. — Jakkolwiek może cię to kosztować utratę drugiego oka. No, ale skoro sam chcesz... Dopilnuj jeszcze odwrotu pozostałych.

Cyklop obnażył zęby w dzikim uśmiechu i zawrócił konia.

— Dobry chłop — powiedział Conan.

Karela spiorunowała go wzrokiem.

— Nie próbuj mnie pouczać.

Bandyci ruszyli z powrotem krętą ścieżką i wkrótce znikli im z oczu. Po chwili powrócił Hordo.

— Myślisz, że szperacze zaatakują? — spytał.

— Jacy szperacze? — zagadnęła ostro Karela.

Aberius cicho jęknął.

— Ci na zboczach — odparł Conan i pokręcił głową. — Na razie możemy nie zawracać sobie nimi głowy. Gdyby ich było tylu, że mogliby nam coś zrobić, już byśmy o tym wiedzieli.

— Hordo! Wiedziałeś o tym i nic mi nie powiedziałeś? — Oczy Kareli rzucały groźne błyskawice.

— Czy mamy tu dalej tracić czas na zbędne rozmowy — spytał Conan ostro — czy może poszukamy Kezankijczyków, zanim oni nas znajdą?

Karela nie odpowiedziała, tylko ruszyła galopem.

— Gdyby nie zaprzętała sobie myśli twoją osobą — warknął Hordo — nikt nie musiałby jej o tym przypominać.

Aberius najwyraźniej miał szczerą ochotę zawrócić ku swoim kamratom, ale barbarzyńca z błyskiem w oku pokazał przed siebie.

— Tam!

Tropiciel zgrzytnął zębami i ociągając się ruszył za Karela i kapitanem. Conan przyłączył się do niego i zmusił go do galopu.

Gdy tylko dogonili tamtych dwoje, barbarzyńca wyciągnął miecz i położył go na swoich muskularnych udach. Po chwili namysłu Czerwona Sokolica i Hordo zrobili to samo. Na wąskiej

ścieżce, wijącej się licznymi zakrętami wśród stromych skał, w każdej chwili mogli się nadziać na Kezankijczyków — chodziło więc tylko o to, kto kogo pierwszy zauważy i zaatakuje. Aberius zagryzł wargi i pozostał nieco w tyle.

Za którymś kolejnym ostrym zakrętem ujrzeli przed sobą obóz Kezankijczyków. Namioty były już zwinięte. Mocno zbudowani ludzie o haczykowatych nosach, w turbanach i jakichś pstrokatych ubraniach, zwijali koce i zasypywali pogorzelska ognisk. Pierwszy dojrzał ich gruby, krzywonogi Kezankijczyk z przewieszonym przez nagą pierś skórzanym pasem, na którym wisiała długa szabla. Zawył przeraźliwie.

Na chwilę wszyscy w obozie znieruchomieli, potem zaś rozległ się niemal chóralny okrzyk:

— Zabić ich! — i wszyscy rzucili się do koni.

Conan natychmiast zawrócił. Tu nie miał już nic do roboty. Cel został osiągnięty —

Kezankijczycy będą ich ścigać.

— Wracamy! — krzyknął, omal nie wpadając swym koniem na wierzchowce Kareli i

wiernego jej kapitana.

Aberius gdzieś zniknął.

Rudowłosa i jednooki zawrócili w miejscu i już cała trójka galopowała z powrotem — tam, skąd przybyli. Conan co chwila oglądał się przez ramię. Co prawda przez zakręty niewiele było widać, ale to, co zobaczył, dobitnie świadczyło, że Kezankijczycy zbierali się krócej, niż przewidywał. Pierwszy — potężnie zbudowany, z bujnymi bokobrodami skręcającymi się jak baranie rogi, pojawiał się już w polu widzenia za każdym zakrętem. Kiedy napotkają wojsko, muszą być na tyle daleko od dzikich górali, żeby żołnierze nie uznali ich za jednych z nich.

Ale i na tyle blisko, by nie zadano im zbyt wielu głupich pytań.

Spojrzał przed siebie. Karela pędziła tak szybko, jak tylko to było możliwe na krętej ścieżce. Hordo, wyciskając ostatnią parę ze swojego wierzchowca, jechał tuż za nią. Gdybyż mógł znaleźć jakiś skrót!

Nagle zdarł konia w miejscu i zawrócił. Między dwoma potężnymi blokami skalnymi, pomiędzy którymi dopiero co przejechał, było miejsce tylko na jednego jeźdźca. Zaraz ich dogoni, a teraz...

Olbrzymi Kezankijczyk wpadł przez skalną bramę i zaskoczony wydał swój okrzyk bojowy.

Klinga miecza Cymmeryjczyka świsnęła w powietrzu — głowa w turbanie pękła na dwoje aż do ramion. Trup jeszcze nie spadł z siodła, kiedy przez lukę wpadł drugi człowiek w turbanie, trzeci, czwarty... Miecz Conana unosił się i opadał.

Nagle zauważył obok siebie Karełę, z błyszczącą szablą i oczami pałającymi żądzą walki.

Rozwichrzone włosy zdawały się płonąć wokół jej twarzy. Hordo wzywał ją do siebie, ale nie zwracała na niego uwagi. Właśnie przebijała szyję jednego z Kezankijczyków, kiedy drugi przeciął jej wodze. W bok konia dziewczyny wbił się jakiś grot, wierzchowiec zachwiał się, zarżał boleśnie i zwinął z bólu, wyrrywając jej wodze z ręki.

— Zabierz ją, Hordo! — ryknął Conan.

Uderzył karego ogiera płazem po zadzie i tę chwilę nieuwagi przyplącił krwawą pręgą w poprzek piersi. Dobrze, że nic ponad to, pomyślał. — Zabierz ją w bezpieczne miejsce, Hordo!

Swoją drogą, przyszło mu do głowy, twarde życie ma ta jej szkapa...

Potężny cyklop schwycił wodze ogiera i pociągnął go za sobą, byle dalej od jatki. Jeszcze z oddali Conan słyszał — coraz słabiej — gniewne okrzyki Kareli.

— Stój, Hordo! — wrzeszczała. — Niech ci Derketa wydrze oczy i język! To rozkaz!

Hordo!!!

Conan nie miał czasu ich obserwować. Kezankijczycy próbowali wepchnąć się w lukę rozpędem w kilku naraz, ale w żaden sposób nie mieściło się tam więcej niż dwóch — a zanim wpadło dwóch następnych, ci z przodu zdążyli poznać straszliwą moc turańskiego miecza. Pod drepczącymi w miejscu kopytami leżało już sześciu, siedmiu, ośmiu... Któryś koń potknął się o trupa i stanął dęba. Potężny cios, przeznaczony dla jeźdźca, trafił w szyję ogiera. Zwierzę padło, bijąc wokół kopytami, pod nogi następnego wierzchowca, który właśnie wpadł przez bramę śmierci. Jeździec zatoczył łuk w powietrzu, nadziewając się na miecz Conana.

Reszta ciemnoskórych Kezankijczyków wycofała się z krwawego przesmyku, zawałonego na wysokość chłopa trupami ludzi i koni. Ale gromkie groźby i świszczące w powietrzu szable świadczyły, że nie dali oni za wygraną. Gdy tylko odjedzie, rozbiorą potworną barykadę i ruszą w pościg, aby pomścić towarzyszy i zmyć hańbę. Bardzo dobrze, o to właśnie chodziło!

Conan zawrócił i odjechał, ścigany wściekłymi złorzeczeniami górali.

Karela odzyskała nareszcie panowanie nad koniem i wściekle spoglądała na kapitana, który starał się unikać jej zabójczego wzroku. Tak zastał ich Conan.

— Gdzie Aberius? — zapytał.

Przez całą drogę nie widział ani śladu chciwego tropiciela.

Sokolica zmierzyła olbrzymiego barbarzyńcę morderczym wzrokiem, ale nie było czasu na rozmowy: właśnie wyjechali zza zakrętu i ujrzeli naprzeciw siebie kolumnę zamoriańskiej kawalerii. Oficer jadący na czele zatrzymał ich zdecydowanym gestem, a kilku żołnierzy, widząc zakrwawiony miecz Cymmeryjczyka, na wszelki wypadek dobyło szabel.

— Witam, panie generale! — Conan skłonił się przed wysokim, barczystym oficerem o ogorzałej twarzy.

Nie wyglądał na generała, jego oporządzenie było zbyt zużyte, ale odrobina pochlebstwa nigdy nie zawadzi, pomyślał barbarzyńca. Czasem zaś bardzo pomaga. Co prawda w tym wypadku większą przyjemność sprawiło to drugiemu oficerowi, który — nawet brudny —

wyglądał na człowieka zarozumiałego.

— Kapitanie — skorygował starszy oficer. — Nie przesadzajmy, generałem nie jestem.

Jestem kapitan Haranides.

Conan modlił się w duchu o szybkie przybycie Kezankijczyków, gdyż ciemne oczy patrzyły na niego spod hełmu tak, jakby potrafiły przejrzeć każde kłamstwo, zanim jeszcze zostało wypowiedziane.

— Kim jesteście? I co robicie na tym odludziu?

— Nazywam się Krato, jaśnie panie — rzekł. — Do niedawna w ochronie karawany do

Sultanapury, tak jak i mój przyjaciel Klaudo. Wpadliśmy nieszczęśliwie w ręce

Kezankijczyków. Ta dama zwie się Vanya i jest córką Andiasa, kupca z Turanu, do którego należała karawana. Wydaje mi się, że tylko my troje ocaleliśmy, mam też wrażenie, że Kezankijczycy nas gonią. Kiedy przed chwilą się obejrzałem, widziałem, jak za nami jechali.

— Córka kupca, dobre, bo mocne! — prychnął młody oficer. — Z takim zuchwałym

spojrzeniem? Jak ona jest córką kupca, to ja jestem królem Turanu!

Kapitan zeszywniał, lecz nic nie powiedział. Wyraźnie obserwował reakcję Kareli. To ośmieliło młodego oficera.

— Jak tam, Krato? Ile ta twoja kucpowna bierze za godzinę?

Koniec, pomyślał Conan, Karela zaraz złapie za szablę i...

Nie docenił jej. Wyprostowała się godnie w siodle i spojrzała na zuchwałego młodzieńca jak na tłustą plamę.

— Kapitanie Haranidesie! — rzekła ostro. — Pozwalasz, żeby ten chłopiec tak się do mnie odnosił? Mój ojciec, owszem, nie żyje, ale mam dosyć innych wpływowych krewnych na dworze Yildiza. Słyszałam, że wasz Tiridates bardzo w ostatnich miesiącach zabiegał o przyjaźń Yildiza...

Kapitan milczał.

— Wybaczcie, jaśnie panie — wtrącił Conan — ale Kezankijczycy...

Gdzież się oni, do stu tysięcy demonów, podziali?!

— Żadnych Kezankijczyków nie widzę! — odezwał się znów młody oficer ostro. — I nie słyszałem też o żadnych karawanach do Sultanapury, odkąd zginęło tamtych siedem. Na mój nos sami jesteście bandytami. Nie wiem, dlaczego odłączyliście się od swoich kompanów, ale się dowiem. Powiem więcej: po pierwszym przesłuchaniu sami mi to zdradzicie. Wystarczy małe...

— Wolnego, poruczniku — upomniał go kapitan. — Uważajcie na słowa. — Spojrzał na nich z przyjaznym uśmiechem. — Przecież oni niezawodnie sami nam wszystko opowiedzą, jeżeli...

Uśmiech znikł z jego twarzy.

— Piekło i szatani! — ryknął. — Nie widziałeś Kezankijczyków?! To patrz!

Conan odwrócił się i z trudem powstrzymał od okrzyku radości, widząc Kezankijczyków o jakieś pięćset kroków od nich. Górale na widok żołnierzy zatrzymali się w osłupieniu, lecz gdy minęło zaskoczenie, ruszyli z miejsca i, wywijając szablami, z dzikim okrzykiem bojowym, runęli w kierunku kawalerii.

— Wycofujemy się? — spytał Aheranates ze źle ukrywaną nadzieją.

— Głupiec! — warknął pogardliwie kapitan. — To byłby koniec. Jeśliby zobaczyli nasze plecy, rzuciliby się na nas jak ścierwojady. Kiedy ruszę, wszyscy za mną, podaj dalej!

Szczupły oficer popędził wzdłuż kolumny, wydając komendy. Haranides spojrzał bystro na Conana.

— Chyba umiesz posługiwać się mieczem, człowieku. Bądź przy mnie, mam do ciebie parę pytań.

— Oczy... — Conan nie skończył, bo kapitan ruszył galopem, a za nim reszta kolumny.

Kezankijczycy byli już blisko. W mgnieniu oka oba oddziały splątały się w bezładną masę ludzi, koni i błyszczących kling.

Karela i Hordo nieznacznie wycofali się z miejsca walki i skręcili w ciasny wąwóz odchodzący od drogi. Conan patrzył na szalejącą bitwę. Haranides prawdopodobnie zabiłby go, gdyby wiedział, kogo ma przed sobą. Mimo to młody barbarzyńca nie cieszył się, że posłał tego człowieka na śmierć.

Hordo wyjrzał na ścieżkę.

— Conan! — zawołał. — Długo jeszcze?! Uciekajmy, zanim zauważą, że razem nam nie po drodze!  
— Zawrócił i galopem ruszył za swoją radą przywódczynią.

Conan z niechęcią popędził za nimi. Wąwóz był raczej szeroką na jednego jeźdźca skalną szczeliną. Z tyłu słyszeli oddalający się zgiełk bitwy.

Odgłosy walki dawno już umilkły — przynajmniej dla nich — a oni w milczeniu wciąż jechali przed siebie. Wąwóz rozszerzył się w szeroką dolinę, stopniowo skręcającą na wschód. Jechali teraz obok siebie — Conan i Karela pogrążeni w ponurych myślach, Hordo ze zmarszczonym czołem patrzący to na niego, to na nią. Nic z tego nie rozumiał.

— Mocny w gębie to ty jesteś, Conan — odezwał się wreszcie z wymuszoną wesołością. —

„Jaśnie panie”, dobre! Gadałeś z tym Zamorianinem tak, że jeszcze chwila, a sam bym uwierzył, że nazywam się Klaudo!

— Złodziej musi być mocny w gębie — mruknął Conan. — Bandyta zresztą też. Nawiasem mówiąc, gdzie jest ten bydlak Aberius? Nie widziałem go, odkąd po raz pierwszy

zobaczyliśmy z bliska Kezankijczyków.

Hordo spojrział nieznacznie na Karełę, ponurą jak widoczna na horyzoncie gradowa chmura.

Zmusił się do uśmiechu.

— Nadzialiśmy się na tego szmaciarza ładny kawałek drogi stąd, na drodze. Mówił, że chce nam zabezpieczyć drogę odwrotu.

Z głębi gardła Conana wydobył się złowieszczy warkot.

— Rozumiem, że... — Przeciągnął dłonią po gardle.

— Spiesz się tylko głupi... — uśmiechnął się cyklop. — Wysłałem go, żeby odnalazł

oddział i zatroszczył się, by nie czekając na nas, rozbito obóz. Gdybym znał teren, za chwilę bylibyśmy na miejscu.

— Conan! — prychnęła nagle Karela, jakby nie słyszała w ogóle słów kapitana. — To jest mój oddział i ja tu rozkazuję! Ja, Czerwona Sokolica!

— No, cóż — powiedział Conan ponuro — skoro uważasz, że Aberius nie musi płacić za swoje

tchórzostwo — twoja sprawa. Istotnie, to jest twój oddział. Ale to nie zmienia mojego zdania o tym śmieciu.

Próbowała, wyprzedzwszy go nagle, zawinąć koniem i stanąć Cymmeryjczykowi na

drodze. Kierowany tylko jedną stroną cugli ogier mógł zalewie wykonać parę tanecznych kroków na boki. Rudowłosa wydała jakiś dźwięk, który można by uznać za tłumiony szloch, gdyby pochodził od jakiegokolwiek innej kobiety.

— Ty... ty dziku z samego środka puszczy! — ryknęła wreszcie. — Jakim prawem

ośmieliłeś się wysyłać mnie — mnie! — na tyły?! Oddawać cugle tej jednookiej małpie! Bić mojego konia! Pomyliłeś mnie z kosztowną niewolnicą, którą trzeba chronić przed

niebezpieczeństwem, żeby mieć z kim spać!

— To cię tak złości? — Conan osłupiał. — Nie panując nad koniem, byłabyś łatwym łupem dla Kezankijczyków.

— Podjąłeś za mnie decyzję! Jak śmiałeś?! To ja decyduję, kiedy, gdzie i z kim walczę i na co się narażam! Ja i tylko ja!

— Różne rzeczy widziałem — zgrzytnął Conan — ale takiej niewdzięczności za uratowanie życia jeszcze nie.

Tym razem było ją chyba słycać w Shadizar.

— Nie musisz mi ratować życia! — zawyła wściekle, wymachując pięścią. — Nie chcę, żebyś mi ratował życie! Żaden mężczyzna, a zwłaszcza ty! Przysięgnij, że nigdy więcej nie będziesz próbował ratować mi życia lub wolności! Przysięgnij, ty cymmeriańska małpo!

— Przysięgam! — odparł gorąco. — Na Croma, przysięgam!

Karela skinęła głową i jechała dalej przed nimi, z trudem prowadząc swego potężnego wierzchowca. Łyse, czarne skały po obu stronach doliny doskonale harmonizowały z nastrojem Conana. Hordo zwolnił, gestem prosząc młodzieńca o to samo.

— Z początku nie lubiłem cię, Conan — wyznał półgłosem, tak by Karela nie mogła

usłyszeć, o czym mówi. — Teraz bardzo cię lubię, jednakże jedno jest pewne: musimy się rozstać.

— Proszę bardzo. — Barbarzyńca spojrział na niego ze skwaszoną miną. — To zależy tylko od was. Od niej i od waszej bandy. Co do mnie, to przyjechałem tu w konkretnej sprawie, zapomniałeś? A wy róbcie, co chcecie, ja was do niczego nie zmuszam.

— Dobrze wiesz, że ona nie zawróci ani nie skręci z drogi bez względu na to, czy natrafi na górali, żołnierzy czy nawet na demony. I to jest problem. To znaczy, to jest część problemu.



To, ta przysięga i jeszcze parę innych rzeczy. Ona zawsze kierowała się rozumem, a teraz kieruje się uczuciem. To się musi źle skończyć!

— Nie ja wymyśliłem tę głupią przysięgę — odparł Conan. — Nie zauważyłeś? A jeśli sądzisz, że cała ta wyprawa wynika z jakichś jej zachcianek, to rozmawiaj z nią, nie ze mną.

Ręce cyklopa zacisnęły się na cuglach w pięści.

— Conan, ja naprawdę bardzo cię lubię, ale ty mnie jeszcze nie znasz. Jeśli przez ciebie coś jej się stanie...

Spiął konia ostrogą i wyprzedził młodzieńca. W ponurym milczeniu przejechali przez kolejną skalną bramę.

Słońce stało już bardzo nisko, gdy wreszcie odnaleźli obóz bandytów, rozbity pośród potężnych skał u stóp ponurego granitowego urwiska. Mimo przejmującego na tej wysokości zimna, ogniska — dla bezpieczeństwa — były małe i osłonięte. Czerwony namiot

przymocowano do skalnej ściany.

— Zajdź do mego namiotu — powiedziała rudowłosa. Nie czekając na odpowiedź, podjechała do namiotu, przekazała konia jednemu z ludzi i znikła w środku.

Wokół Conana i jednookiego zebrała się spora grupa bandytów. Był wśród nich i Aberius, lecz krył się za plecami innych.

— O, Aberius! — zawołał Cymmeryjczyk z jadowitym uśmiechem. — Miło cię widzieć całego i zdrowego. A tak się bałem, że spotka cię coś złego, gdy tak odważnie zabezpieczałeś nam drogę odwrotu...

Kilku zbójów zaśmiało się rechetliwie. Aberius wyszczerzył zęby, co zapewne miało oznaczać groźbę, ale jego oczy były oczami zapędzonego w kąt szczura. Milczał.

— Znaczy się, że z Kezankijczykami mamy już spokój? — upewnił się jednouchy Kothyjczyk. — I z żołnierzami też?

— Żołnierze i Kezankijczycy spisali się świetnie — odrzekł Hordo z szelmowskim uśmiechem. — Możemy o nich nie myśleć, przynajmniej na tym świecie.

— No więc i nie będę — zaśmiał się Kothyjczyk, a z nim większość pozostałych.

Nie uszło uwagi Conana, że Aberius pozostał poważny.

— Jutro — zwrócił się Cymmeryjczyk do tropiciela — odnajdziesz ślad. Jeszcze dzień lub dwa i wszystko będzie nasze!

Aberiusowi z niewiadomych przyczyn włosy zjeżyły się na głowie. Przez chwilę oddychał ciężko.

— Nie da rady — powiedział w końcu. — Nie ma śladów. — Skulił się, czując na sobie wzrok bandy. — Nie ma! Skończyły się!

— Nie teraz i nie tu — odparł Conan. — O to ci chodzi? To dziwne. Wrócimy tam, gdzie był kezankijski obóz. Znajdziesz wtedy swój ślad.

— To nie takie proste. — Aberius przebierał niepewnie nogami. Zakłopotany skubał pancerz na piersi. — Póki idę tropem, bez trudu odróżniam, czy na przykład ślad na skale zostawił koń czy spadający kamień, i tak dalej. A kiedy zejść ze śladu, nie mam pewności, czy jak wrócę, to go jeszcze odnajdę.

— Osioł! — warknął któryś. — Jak nie odnajdziemy skarbu, to przez ciebie!

— Cała droga na nic! — dodał inny.

— Na gałąź z nim!

Na szurzej twarzy pojawił się kroplisty pot. Hordo zdecydowanym krokiem wszedł między wzburzonych bandytów.

— Dosyć! Zamknąć się! Talbor, umiesz tropić? A ty, Alwar? Może ktoś inny potrafi? —

Odpowiedziała mu głucha cisza. — Nie?! To się od niego odczepcie!

— A ja i tak wiem swoje — mruknął Talbor. — On umiałby ten ślad odnaleźć, gdyby nie robił w portki.

— Nie ma człowieka, którego bym się bał! — rzucił Aberius. — Ale podkreślam: człowieka!

— A kogo w takim razie się zląkłeś? — zapytał Conan.

Myślał, że Aberius uchylił się od odpowiedzi, ten jednak wybuchnął:

— Jak odbiliśmy od oddziału, zobaczyłem na zboczu kogoś... coś... nigdy przedtem czegoś takiego nie spotkałem!

Albo miał niezwykły talent do udawania, albo mówił prawdę.

— To było jakby wąż, a zarazem człowiek. Miało pancierz i miecz, a z pyska buchał mu ogień, długi na dwa miecze. Jak na tego stwora popatrzyłem, skinął i pojawiło się jeszcze kilka podobnych. Wtedy uciekłem, o mało co nie zajeździwszy konia na śmierć. Oni by mnie zabili!

— Jak miało ogień w gębie — powiedział Conan w zamyśleniu — to po co mu miecz?

Mimo to kilku trwożnie zamruczało, a i pozostali mieli nietęgę minę.

— I dopiero teraz o tym mówisz? — zdziwił się Hordo.

— A po co miałem mówić? Wiedziałem, że i tak stamtąd odjedziemy. Pomijając wszystko inne, tam też nie było śladów. Musieliśmy jednak odejść. Zresztą myślałem, że mi nie uwierzycie.

— Są rzeczy niezbadane... — stwierdził Conan. — Sam spotkałem w życiu parę dziwnych stworów, ale po sprawdzeniu wszystkie okazywały się śmiertelne.

Prawie, dopowiedział w myśli.

— Ile tego widziałeś, Aberius?

— Właściwie to widziałem tylko jedno — wyznał tropiciel z wyraźnym ociąganiem. — Ale ono zawołało inne, a za skałami poruszało się ich całkiem dużo. Mogło ich być równie dobrze sto, jak tysiąc.

— W każdym razie — zniecierpliwił się Hordo — widziałeś tylko jedno. Nie może ich być na świecie zbyt wiele, bo już byśmy coś o nich słyszeli. Wiadomości o takiej gangrenie rozchodzą się bardzo szybko.

— Ale... — zaczął Aberius.

— Żadne ale — przerwał mu Hordo. — Po prostu musimy się mieć na baczności. Dobrze, że nam opowiedziałeś o tych stworach. Jak je zobaczymy, to się tak bardzo nie zdziwimy.

— Ale przecież mówiłem...

— A może już nie chcecie tego skarbu? — ciągnął Hordo, jak gdyby nie słyszał słów tropiciela.

Jak było do przewidzenia, bandyci jeden przez drugiego głośno zapewniali, że niczego nie pragną bardziej niż kontynuowania wyprawy. Kapitan uśmiechnął się lekko.

— Świetnie — oznajmił. — Idę powiedzieć Czerwonej Sokolicy, że możemy ruszać o świcie. Na waszym miejscu zjadłbym coś.

Bandyci szybko rozeszli się po obozie. Aberius odszedł na końcu, obrzucając Conana posępnym spojrzeniem.

Hordo ruszył do czerwonego namiotu. Conan usiadł na ziemi, opierając się plecami o skalną ścianę w takim miejscu, że nikt nie mógł do niego podejść także z boku. Nie miał zamiaru pozwolić, by ktoś wbił mu nóż w plecy, co wydawało się wcale prawdopodobne — dość było spojrzeć w oczy odchodzącego Aberiusa.

Wyjął oselkę i zaczął ostrzyć miecz, który nieco się stępił na pancerzach Kezankijczyków.

Niebo ciemniało, słońce zachodziło krwawo. Właśnie skończył swoje zajęcie, gdy z czerwonego namiotu wypadł jednooki kapitan.

Podszedł do Cymmeryjczyka i zatrzymał się parę kroków od niego. Wyglądał na

zakłopotanego, co nie było w jego stylu. Mamrocząc coś do siebie, potarł swój bulwiasty nos i w końcu zaczął:

— To dobry odruch. Widziałem już paru tęgich chłopów, którzy stracili życie z powodu nie naostrzonej klingi. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie potrzebna.

Conan położył miecz na kolanach.

— Jak znam życie, nie przyszedłeś do mnie na pogawędkę o starych znajomych. Co powiedziała?

— W ogóle nie chciała mnie słuchać. — Hordo kręcił brodatą głową, jakby wciąż nie wierzył w to, co się stało. — Mnie, który byłem przy niej od pierwszego dnia!

— No i dobrze. Jutro wy zawrócicie, a ja pojedę dalej. Może ma i rację, że nie chce się pakować w walkę z jakimiś upiorami.

— Mitro, pomóż mi! Nie o to chodzi! Nie rozmawiałem z nią o tych stworach ani o tym, że Aberius zapomniał, jak się tropi! Nawet nie zacząłem o tym mówić! Ona miota się jak obłąkany padalec na patelni! Nie udało mi się wymówić dwóch słów naraz! — Z

zakłopotaniem skubnął brodę. — Za długo tu jestem, żeby służyć jej za chłopca do bicia...

Człowieku, to wszystko przez ciebie! Jest wściekła, bo kazała ci przyjść, a tyś się nie zjawił.

Dodam tylko, że im dłużej tu siedzisz, tym bardziej ona się wścieka.

Conan uśmiechnął się przelotnie.

— Nic nie rozumiem. Przecież jej mówiłem, że kiepsko nadaję się do słuchania rozkazów.

— Mitro, Zandru i inni bogowie, jak was tam zwa! — Kapitan westchnął ciężko i

przykucnął przed Conanem, obejmując kolana potężnymi ramionami. — W innych

warunkach najchętniej zacząłbym przyjmować zakłady, kto zwycięży, ale tu i teraz mogę przypłacić to głową. Stoję dokładnie w środku pomiędzy wami!

— Tu nie ma mowy o zwycięstwie i przegranej, nie prowadzimy wojny.

Pomarszczona twarz cyklopa pomarszczyła się jeszcze bardziej.

— Jesteś mężczyzną, a ona kobietą. W boju nie jesteś gorszy od niej, lepszy chyba też nie.

To wystarczy! Co będzie, to będzie. Ale pamiętaj, że cię ostrzegałem. Jeżeli przez ciebie coś jej się stanie, postaram się, żeby skrócono cię o głowę.

— Skoro jest wściekła na mnie, to może przekonasz ją, że trzeba zawrócić. Będziesz miał to, czego chciałeś — rozstaniemy się.

Przezornie nie dodał, że i jemu o to chodzi. Nie musiałyby wtedy odbierać skarbu bandytom.

— W tym stanie ducha raczej kazałaby cię znowu rozciągnąć i skończyć to, cośmy wtedy zaczęli.

Conan z błyskiem w lodowatych błękitnych oczach przejechał palcem po wyostrzonej klindze.

— Tym razem nie dam się zaskoczyć.

— Lepiej nic nie mów — mruknął cyklop. — Gdyby kazała... zabiłbym cię jeszcze tej

nocy. To nieistotne! Ta cała gadka o tym, co może się wydarzyć, jest gorsza niż budowanie zamków z piasku.

— To zmieńmy temat — zaproponował śmiejąc się, a mimo to nieporuszony, Conan.

Miał wrażenie, że cyklop naprawdę go lubi, nie na tyle jednak, żeby nie wykonać rozkazu Kareli.

— Myślisz, że Aberius wymyślił te potwory, aby usprawiedliwić swoje tchórzostwo? — spytał bandytę.

— Hm... Kłamać to on umie, niemniej myślę, że zobaczył coś, co naprawdę go przeraziło.

Tchórzem nie jest. Nie mówię, że to coś wyglądało dokładnie tak, jak opisał. Przeważnie strach ma duże oczy. Sam już nie wiem, Conan. Węże, które chodzą wyprostowane jak ludzie! — Kapitan pokiwał smętnie głową. — Starzeję się. Walka o królewski skarb to już nie dla mnie. Karawana ze strażnikami, z których każdy woli być przez chwilę tchórzem niż przez resztę życia trupem, do tego jeszcze się nadaję...

— Mówię ci, zawróćcie. Słuchaj, może zrobmy tak: ja się stąd wymknę w nocy, a wyda się to

dopiero rano. Wtedy chyba nie będzie problemu.

— Ty jej jeszcze nie znasz! — prychnął Hordo. — Jestem pewien, że kazałaby nam gonić już nie tyle skarb, ile ciebie, i zabiłaby każdego, kto by się jej sprzeciwił!

Kłapa namiotu uniosła się i wyszła z niego Karela.

Twarzy prawie nie było widać spod kaptura długiej do pięt szkarłatnej peleryny.

Zdecydowanym krokiem podeszła do nich przez ciemny obóz. Tu i ówdzie ogniska rzucały niesamowite błyski na skalną ścianę. Hordo wstał i wykonał ruch, jakby wycierał ręce w ubranie.

— Mu... muszę jeszcze... Najlepszego, Conan. — Odszedł pospiesznie, nie patrząc w stronę nadchodzącej kobiety.

Conan ujął w dłoń miecz i pochylił się nad klingą. Tępa nie była, ale nie było to jeszcze ostrze brzytwy. Na koleczugiach miecz tępił się bardzo szybko i jeśli od razu nie był naprawdę ostry, wkrótce stawał się metalowym łomem. Kątem oka zobaczył brzeg czerwonej peleryny, lecz nie podniósł wzroku.

— Dlaczego do mnie nie przyszedłeś? — zapytała ostro.

— Musiałem naostrzyć miecz. — Przejechał palcem po ostrzu, wstał i schował broń do pochwy.

Szmaragdowe oczy rzucały spod kaptura wściekle błyski. Conan patrzył na nią obojętnie.

— Kazałam ci do mnie przyjść. Mamy wiele do omówienia.

— Kazałaś? Chyba się pomyliłaś, Karelo. Nie jestem jednym z twoich wiernych psów.

Oddychała głośno.

— Śmiesz mi się przeciwstawiać?! Ech, gdybym wiedziała, że chcesz podważyć moje miejsce w oddziale! Niech ci się nie zdaje, że skoro dzielisz ze mną łożę, to już...

— Karela, nie bądź śmieszna. — Olbrzymi barbarzyńca starał się panować nad sobą. — Nic mi do twojej bandy. Komenderuj sobie nimi, ja się nie wtrącam. Ale rozkazuj im, a nie mnie.

— Dopóki idziesz z Czerwoną Sokolicą...

— Błąd. Idę z tobą i obok ciebie, tak jak ty idziesz ze mną i obok mnie. Nie mniej i nie więcej.

— Nie przerywaj mi, ty kupo mięsa! — Jej głos niósł się ponad obozem i odbijał echem od skalnych ścian.

Bandyci siedzący przy ogniskach odwrócili się ku nim. Nawet w ciemnościach Conan zauważył, że

Karela poczerwieniała. Zniżyła głos i dodała ostrym tonem:

— A ja sobie wyobrażałam, że jesteś mężczyzną, jakiego szukałam. Potężnym

człowiekiem, godnym towarzyszem Czerwonej Sokolicy! Niechaj Derketa porwie twoją duszę! Jesteś tylko kieszonkowym złodziejem i niczym więcej!

Złapał w powietrzu jej wyciągniętą rękę, zanim zdołała uderzyć go w twarz. Mimo oporu bez trudu utrzymał ją w dłoni. Szkarłatna peleryna rozchyliła się, ukazując nagie ciało.

— Mam niejasne wrażenie, że znowu złamałaś przysięgę. Czy aż tak lekceważysz swoją boginię, że sądzisz, iż krzywoprzysięstwo ujdzie ci płazem?

Rudowłosa najwyraźniej zdała sobie sprawę, jak pysznej zabawy dostarczają jej bandzie.

Wolną ręką owinęła się peleryną.

— Puść mnie — zażądała zimno. — Nie powiem: proszę.

Conan rozluźnił chwyt, lecz nie z powodu jej słów. Kiedy ona mu się wrywała, włosy na karku stanęły mu dęba. Znał już dobrze to niemiłe uczucie. Spojrzał na czarne niebo i na góry wokół. Gwiazdy były ostro błyszczącymi punktami, księżyc jeszcze nie wzeszedł, góry piętrzyły się wokół jak nieforemne cienie.

— Imhep–Aton wciąż włości się za nami — oznajmił spokojnie.

— Pozwolę ci jeszcze na niejedno, Cymmeryjczyku — warknęła Karela, rozcierając

obolały nadgarstek — ale gdy będziemy sami. Nie w obecności... Co? Imhep–Aton? Ten wcielony wtedy, w nocy, wymienił to imię! To jest imię czarownika!

Conan skinął głową.

— To on mi mówił o medalionach. Dla niego miałem je ukraść. Gdyby wtedy, w nocy, nie nasłał na mnie tego chłopaka, żeby mnie zabił, tobym mu je dostarczył. Wkrótce po ich zdobyciu... Za cenę, na którą się umówiliśmy. Teraz nic już mu się ode mnie nie należy.

— Skąd wiesz, że to on cię obserwuje, a nie jakiś Kezankijczyk? Może masz uraz po tamtej nocy czy coś podobnego?

— Wiem — odparł krótko.

— Ale... — Zamilkła.

Rozszerzonymi przerażeniem oczami, z odruchowo otwartymi ustami, w osłupieniu patrzyła gdzieś poza niego.

Conan odwrócił się gwałtownie i niemal jednocześnie wyrwał miecz z pochwy i odbił nim w bok oszczep tkwiący w rękach upiornej zjawy. Czerwone oczy błyszczały ogniście w ciemnej, pokrytej łuską twarzy. Ze zbrojnej w ostre kły paszczy wydobywał się przenikliwy syk. Jedynym ludzkim elementem straszliwej głowy był grzebieniasty hełm.

Barbarzyńca nie miał czasu na podziwianie nieproszonego gościa. Miecz, który odepchnął oszczep, w drodze powrotnej rozplątał korpus człekojaszczura. Upiór padł, brocząc czarną krwią.

Ze wszystkich stron wokół obozu podniósł się groźny, krzyczący syk. W obliczu ataku wielu dziesiątków koszmarnych stworów, wylaniających się z mroku, bandyci zerwali się od ognisk na równe nogi, bliscy paniki. Alwar stał w osłupieniu, z wytrzeszczonymi oczami, i wrzeszczał przeraźliwie, nie uchylając się przed godzącym w jego pierś oszczepem.

Ciemnoskóry Pers odwrócił się, by uciec, lecz potężny cios toporem, zadany szponiastą ręką, przeciął mu kręgosłup. Bandyci, jak przerażone szczury, szukali dziur, w których mogliby się schronić.

— Do boju! Crom niechaj was przeklnie! — ryknął Conan. — Naprzód! Oni są śmiertelni!

Rzucił się w wir walki, szukając wzrokiem Kareli. Odnalazł ją w największej kotłownianinie, walczącą jak rzadko który mężczyzna, przy czym zauważył, że bije się nie swoją szablą.

Zwinięta peleryna chroniła ją częściowo przed bronią jaszczurów. Miotła się po obozie z rozwianymi włosami i z szablą ociekającą czarną krwią, siejąc śmierć niczym demon ciemności.

— Walczcie, psy! — wrzasnęła! — Walczcie o swoje życie! Hordo z rykiem rzucił się za nią, otrzymując cios w udo.

Uderzenie było zapewne wymierzone w jej plecy. Jednym sztychem przebił ohydneho

napastnika, a gdy ten padł, kapitan wyrwał sobie oszczep z uda i nie zważając na krew ściekającą do butów — rzucił się w wir walki.

Przed barbarzyńcą wyrósł jak spod ziemi kolejny człekojaszczur, odwrócony do niego plecami. Potwór starał się przebić oszczepem Aberiusa, który z wytrzeszczonymi oczami i szeroko otwartymi do krzyku szczerbatymi ustami legł na ziemi. Conan wbił napastnikowi miecz w plecy i szybko wyciągnął go z powrotem.

Potwór padł dokładnie na Aberiusa, który znowu zaczął wrzeszczeć i rozpaczliwie usiłował

zrzucić z siebie odrażającego trupa. Jego wzrok dobitnie wskazywał, że żałuje, iż nie jest to trup Conana. W końcu wydobył się spod stwora, chwycił jego oszczep i w chwilę później stanął oko w oko z barbarzyńcą. Przez moment mierzyli się wzrokiem, potem Aberius odwrócił się i ruszył do walki.

— Za Czerwoną Sokolicę! — ryknął. — Za Sokolicę!



— Crom! — krzyknął Conan i także włączył się do bitwy. — Crom i Bel!

Bitwa stała się dla niego czymś na kształt stale zmieniającego się koszmarne snu, tak jak to zwykle w takich wypadkach bywa. Obudził się w nim dziki, barbarzyński atawizm i nawet potworne człekogady przed śmiercią dowiedziały się, czym jest strach, widząc jego zimne oczy i słysząc szatański śmiech.

Trwało to tak długo, aż nie było już żywych istot, w których żyłach nie płynęłaby ludzka krew.

Bojowy szal Conana zniknął. Rozejrzał się dookoła.

Gdzie nie spojrzał, wszędzie leżały pokryte łuską postacie. Niektóre jeszcze drgały w konwulsjach. Ale tu i ówdzie widać było wśród nich nieżywych bandytów. Hordo, utykając na jedną, czerwoną od krwi nogę, chodził od jednego rannego do drugiego i pomagał, komu tylko mógł. Aberius siedział w kucki przy ogniu, wsparty na zdobyczym oszczepie. Inni zbóje wyszli z mroku i także usiedli przy ogniskach.

Karela podeszła przez pobojowisko do Conana. Zrzuciła pelerynę i stała przed nim naga, z cudzą szablą w dłoni. Z ulgą zauważył, że krew na jej kształtnym biuście nie była jej krwią.

— To znaczy, że Aberius mówił prawdę — powiedziała. — I przynajmniej wiemy, czyj wzrok czuleś wtedy na sobie. Szkoda, że wcześniej nie zwróciłeś na to uwagi.

Conan pokręcił głową. Nie było jednak sensu tłumaczyć jej, że to nie wzrok jaszczurów przyprawiał go o zimne dreszcze.

— Chciałabym wiedzieć, skąd...

Coś go tknęło i pochylił się, oglądając buty jednego z zabitych stworów. Widniał na nich wzór, jakiego nigdy dotąd nie widział. Był to zwinięty wąż z podniesioną głową, czymś otoczony, jakby promieniami. Pochylił się nad następnym trupem i jeszcze nad paroma innymi. Wszystkie miały buty z takim samym wzorem.

— A tobie co? — spytała Karela. — Nawet jeśli potrzebujesz obuwia, to nie będziesz chyba chodził w butach zdjętych z czegoś takiego?

— Ci, co ukradli medaliony z pałacu Tiridatesa — wyjaśnił — mieli buty z rysunkiem węża.

Ściągnął but z wąskiej łuskowatej stopy i rzucił Kareli. Uchyliła się z obrzydzeniem na twarzy.

— Dostyc mam tych... tej ohydy! Niedobrze mi na samą myśl o nich. Conan, czy ty

naprawdę uważasz, że ci... te... to, co tam jest, że to mogło wejść do Shadizar i bez przeszkód wyjść? Strażnicy są ślepi, przyznaję, ale nie do tego stopnia!

— Mieli peleryny z kapturami, kryjące całą postać. Wyruszyli w nocy, o takiej porze, kiedy strażnikom przy bramie kleją się oczy. Mogli przybyć do miasta przed nocą i zaszyć się do czasu

włamania.

— Oczywiście, że tak mogło być — przyznała Karela niechętnie. — Jakkolwiek nie wiem, co nam to daje.

Kulejąc podszedł do nich Hordo. Spojrzał ponuro na Conana.

— Posłuchaj, Cymmeryjczyku. Z powodu twojego obłąkanego pomysłu wprowadziłem

moich ludzi w góry. Było ich czterdziestu czterech. Tej nocy straciło życie piętnastu, a dwóch prawdopodobnie nie dożyje świtu. Dziękuj swoim bogom, jak ich tam zwiesz, że wzięliśmy żywcem dwa z tych jaszczurów. Chłopcy zajmą się ich przesłuchiowaniem i może dzięki temu nie wpadną na pomysł policzenia się z tobą. Ale uprzedzam, że — przy całym uznaniu dla ciebie — jeżeli będą mieli na to ochotę, nie zamierzam ich od tego odwozić.

— Jeńcy? — spytała Karela ostro. — Ta ohyda nawet martwa jest nie do zniesienia, a co dopiero żywa. Wydać ich natychmiast chłopcom. O świcie schodzimy z gór.

— Czyli dajemy sobie spokój ze skarbem? — W głosie cyklopa brzmiała raczej ulga niż zaskoczenie. — No, Conan, bądź zdrów. To ostatnia noc we wspólnym obozie.

Karela odwróciła się powoli i obrzuciła rosnącego barbarzyńcę niezdecydowanym spojrzeniem.

— Więc się rozstajemy?

Conan rzucił kapitanowi wściekłe spojrzenie i z wahaniem skinął głową. Nie chciał, żeby tak szybko się o tym dowiedziała. Istotnie, miał zamiar odjechać po cichu pod osłoną nocy z jednym z jeńców w charakterze przewodnika.

— Ja jadę po medaliony — oświadczył.

— I dziewczynę — dodała głucho Karela.

— Mamy towarzystwo — mruknął Hordo, zanim Conan zdążył jej odpowiedzieć:

Szli na nich ci z bandytów, którzy mogli się jeszcze utrzymać na nogach. Nie było wśród nich ani jednego, który by nie miał choćby jednego krwawego opatrunku. Natomiast każdy z nich miał broń w rękę. Na czele, podpierając się oszczepem, maszerował Aberius. Wszyscy mieli twarze zacięte, tylko Aberius uśmiechał się złowrogo. Tropiciel zatrzymał się dziesięć kroków od nich.

Hordo chciał ruszyć na nich, ale Karela położyła mu rękę na ramieniu. Stał więc przy niej, lecz jego groźne oblicze obiecywało wyrównanie rachunków. Czerwona Sokolica spokojnie patrzyła na bandytów. Jedną rękę oparła na biodrze, a w drugiej trzymała opuszczoną wzdłuż nogi szablę.

— Mam nadzieję, że nie jesteś ciężko ranny, Aberiusie? — zainteresowała się z nagłym uśmiechem.

Tropiciel spojrział na nią w osłupieniu. Miał zadrapanie na policzku i jakiś gałgan owinięty wokół lewego ramienia.

— A ty, Talbor? — zwróciła się do następnego, zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć.

— Wyglądasz zdecydowanie lepiej niż po napadzie na karawanę z Zambouli. Wtedy, gdy nie wiedzieliśmy, że podwoili strażę, bo bali się niewolników, których prowadzili do kamieniołomów w Keta. Pamiętam, jak na moim własnym koniu wyniosłam cię ze strzałą w piersi w bezpieczne miejsce...

— To było dawno — przerwał Aberius ponuro. Hordo chciał się na niego rzucić, ale Karela powstrzymała go. Tropiciel odruchowo odetchnął z ulgą, lecz jego uśmiech stał się jeszcze bardziej złowrogi. — To się teraz nie liczy!

— A co się liczy? — spytała przywódczyni.

Aberius zamrugał oczami.

— Czyżby Czerwona Sokolica straciła nagle swoje ostre spojrzenie? — Kilku zaśmiało się, ale reszta patrzyła gniewnie. — Dziś w nocy zginęło nas więcej niż jedna trzecia, a nie zarobiliśmy jeszcze ani grosza. Mieliśmy ukraść paru pielgrzymom pięć medalionów.

Ścigamy ich do tych przeklętych gór i możemy ich gonić aż do Wendii, dalej nic z tego nie mając. Kezankijczycy, żołnierze, a teraz demony! Czas wrócić na równiny; tam, gdzie jesteśmy u siebie.

— To ja zdecyduję, kiedy wrócimy! — Głos Kareli po dawnemu brzmiał jak chłaiście biczem. — Wyciągnęłam was z dna, z błota! Ze wszystkich was, którzy w najlepszym razie mogliby ukraść przechodniom parę miedziaków, zrobiłam bandytów! Bała się was każda karawana od Ihandizar po Aghrapur! Ze ścierwojadów zrobiłam wojowników! Dzięki mnie wiecie, co to znaczy mieć złoto, nabraliście dumy, która usuwa wam mężczyzn z drogi, a kobiety czyni powolnymi. Jam jest Czerwona Sokolica! I ja wam mówię: pójdziemy dalej, po skarb, który król ofiarował królowi; po skarb, na który połakomił się czarownik!

— Długo nas prowadziłaś, ale już wystarczy, Karelo! — odezwał się Aberius.

Rudowłosa się zachłysnęła. Hordo dziwnie, gardłowo zawarczał. Nagle nieustraszona Sokolica stała się po prostu kobietą. Nagą kobietą. Aberius oblizał się łakomie. Oczy stojących za nim błyszczały lubieżnie.

Karela cofnęła się o krok. Na jej twarzy malowały się wszystkie uczucia, które nią miotały: gniew, wstyd, bezsilność, wreszcie determinacja, by drogo sprzedać swoje życie.

Mocniej ujęła rękojeść szabli. W tym czasie i Hordo dyskretnie wyciągnął broń.

Gdybym miał kroplę oleju w głowie, pomyślał Conan, tobym teraz zniknął. Nic jej nie jestem winien. Mało tego, przysiągłem, że nigdy nie będę jej ratował.

Spojrzał w zamyśleniu na bandytów. Niewiele dla nich w tej chwili znaczył. Mógł

rozpląnąć się w mroku, zabrać ze sobą jednego z jeńców i zanim ktokolwiek by się spostrzegł, ruszyć z nim po medaliony i Velitę... Wysunął się naprzód.

— Dotrzymam przysięgi — odezwał się półgłosem do Kareli. — Sam chcę ujść z tego z życiem.

Zbliżył się nieco do Aberiusa i innych z przyjaznym uśmiechem, ale jego ręka spoczywała na rękojeści miecza.

— Nie myśl, że możesz być jednym z nas, Conan — rzekł tropiciel z jakąś dziwną satysfakcją na twarzy. — Baw się razem z nimi.

— My? Wy? Oni? Myślałem, że nam po drodze ze sobą — rzucił Cymmeryjczyk. —

Zapomniałeś, po cośmy tu przyszli? Po skarb Yildiza, no nie?

Tropiciel splunął tuż obok butów barbarzyńcy.

— To już przeszłość. Naprawdę nie odnajdę tego śladu.

Uśmiech Conana stawał się coraz szerszy.

— To bez znaczenia. Te stwory, co nas napadły, miały takie buty jak ci, co ukradli medaliony i całą resztę z pałacu Tiridatesa. Możesz być spokojny. One służą temu samemu panu.

— Demony! — prychnął Aberius. — Ten osioł myśli, że dla głupiego skarbu będziemy walczyć z demonami!

Rozległy się groźne pomruki. Conan je zlekceważył.

— Jakie znowu demony? Te stwory są ze skóry węzów. To mają być demony? — Mówił

szybko i coraz głośniejsze, zagłuszając słowa protestu. — Przecież wyróżniliście ich tej nocy, nie? — Potoczył wzrokiem po zgromadzonych. — Dzięki swojej odwadze zabiliście ich.

Czym je zabiliście? Żelazem. A czy demon ginie od żelaza? Dwa wzięliście żywcem. Czy wypowiedziały straszne zaklęcia i zaczarowały was? Czy odfrunęły w dał, gdyście je otoczyli? — Spojrzał koso na Aberiusa i wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. — A może zionęły ogniem?

Bandyci zaczęli się śmiać. Tropiciel poczerwieniał.

— To nie ma znaczenia! Nie ma znaczenia, uwierzcie mi! Nie odnajdę śladów, a od tych potworów nie wydobyliśmy dotąd ani jednego słowa w jakimkolwiek ludzkim języku.

— Już wam powiedziałem, że tamten ślad jest nam do szczęścia niepotrzebny — odparł

Conan. — O świecie pozwolimy im uciec. Będziesz miał ślady.

— Są ranni — protestował rozpaczliwie Aberius. — Daleko nie zajdą...

— Zawsze jest jakaś szansa. A jest się o co bić. — Barbarzyńca podniósł głos. — To szansa, by zdobyć złoto i klejnoty, królewski skarb. Kto za złotem? Kto za Czerwoną Sokolicą? — Wyciągnął miecz z pochwy i uniósł nad głową. — Złoto! Czerwona Sokolica!

Już po chwili ujrzał las kling. Tylko Aberius nie przyłączył się do nich.

— Złoto! — krzyczeli.

— Złoto!

— Czerwona Sokolica!

— Złoto!

Aberius zagryzł wargi.

— Złoto! — zawołał w końcu i wzniosł w górę swój oszczep. — Czerwona Sokolica!

Szczurze oczy patrzyły na Conana z nienawiścią.

— Dobrze — ryknął Cymmeryjczyk, przekrzykując harmider. — Wypijcie jeszcze jedną kolejkę i idźcie spać. Jutro o świecie ruszamy!

— Złoto! — zawyli chórem i cofnęli się.

Gdy dochodzili do ognisk, Conan wrócił do Kareli. Spojrzała na niego ponuro. Położył rękę na jej ramieniu. Rudowłosa strząsnęła ją i bez słowa odeszła do swojego namiotu. Popatrzył

na nią w osłupieniu.

— Powiedziałem, że jesteś mocny w gębie — rzucił Hordo, chowając szablę. — To było za słabo powiedziane, Conanie z Cymmerii. Nie zdziwię się, jeśli pewnego pięknego dnia zostaniesz generałem lub wręcz królem. Oczywiście, jeśli ujdiesz z tej przygody cało. Jeżeli w ogóle ktoś z nas przeżyje.

— Co ją ugryzło? — spytał młodzieniec, zmieniając

temat. — Mówiłem przecież, że nie robię tego dla niej, lecz dla siebie. Nie złamałem przysięgi, do której mnie zmusiła.

— Ona myśli, że chcesz zająć jej miejsce i zostać wodzem bandy.

— To głupio z jej strony. Hordo jakby go nie słyszał.

— Mam nadzieję — dodał — że ona nieprędko zrozumie, iż to, co się dzisiaj stało, nigdy się już nie odстане. Niech Mitra da jej czas, aby się uspokoiła, zanim to pojmie.

— Co tam bredzisz, jednooki zbroju? Czy dostałeś w czasie walki czymś ciężkim po łbie?

— Nie rozumiesz? — Głos cyklopa brzmiał ponuro. — Rozbity dzban można skleić, ale rysy zostają. Pęknie znów i znów, aż kiedyś nie da się go już naprawić.

— Póki będzie złoto, będą jej służyli równie wiernie jak dotąd, taka jest prawda. Jutro rano musimy pochować naszych i sprzątnąć to ścierwo, żeby nie stanowiło ostrzeżenia dla tych, co je wysłali.

— Jasne — westchnął Hordo. — Śpij dobrze, Conanie, i módl się, byśmy dożyli następnej nocy.

— Dobranoc, Hordo.

Gdy cyklop odszedł ku ogniskom, Conan spojrzął na namiot Kareli. W blasku lampy widać było zarys jej ciała. Myła się. Niedługo potem zdmuchnęła lampę.

Klnąc pod nosem, młodzieniec owinał się peleryną. Dobranoc! Ech, kobiety, kobiety...

Imhep–Aton opuścił swoją kryjówkę na zboczu góry opodal obozu bandytów i ruszył przez mrok. W miejscu gdzie cienie na skałach jakby ciemniały, wszedł w skalną ścianę i znalazł

się w wielkiej, rzęsiście oświetlonej pieczarze. Pod przeciwległą ścianą stał uwiązany koń, a obok niego muł. Nad ogniskiem skwierczał nadziany na włócznię zajac, a dalej, na rozestanej na ziemi derce, stała szkatuła zawierająca rekwizyty niezbędne do tajemnego rzemiosła.

Czarownik przetarł oczy i wyciągnął się na podłodze, masując sobie kark. Do tej chwili używał jednocześnie trzech czarów: jednego — aby patrzeć na świat oczami sokoła; drugiego

— aby dla tych oczu noc stała się jasnym dniem; trzeciego — aby słyszeć każde słowo wypowiedziane w obozie. Posługiwanie się tymi trzema czarami naraz wywoływało potworne napięcie, świdrujący ból od głowy aż po krzyż.

Ale to, czego się dowiedział, warte było takiego wysiłku. Ci głupcy wyobrażali sobie, że o czymkolwiek decydują. Zastanawiał się, co pomyślą, gdy zobaczą, że są tylko psami, które wystawiły niedźwiedzia i padły. A on, myśliwy, przyjdzie i przejmie zdobycz.

Zaśmiał się i zasiadł do kolacji.

Amanar siedział na swoim złotym tronie i cieszył oczy widokiem czterech tancerek, które zwinnie gięły się i obracały w takt muzyki, wkładając całą duszę w to, by go zadowolić. Choć

— wyjąwszy dzwoneczki na złotych łańcuszkach u nadgarstków i kostek — były nagie i choć w sali nie było zbyt ciepło, ich delikatna skóra błyszcziała od potu. Ich nowy pan cieszył się z tego, wiedząc, że sprawił to strach przed nim. Bardzo dobrze.

Przygrywało im na fletach czterech ludzi. Wszyscy mieli wzrok wlepiony w podłogę.

Niewiele osób służyło w zamku, a żadna z nich nie odważyłaby się podnieść oczu w obecności czarownika.

Amanar czuł swoimi zmysłami strach bijący od czterech kobiet. Przynosiło mu to nie mniejszą rozkosz niż widok kształtnych nagich ciał, bezwstydnie obnażonych dla jego uciechy. Piątą tancerkę, złotooką Yasmen, otrzymał syczący z zadowolenia Sitha — groźby działają skuteczniej, jeżeli wiadomo, że zostaną spełnione. Niestety, jakimś cudem zdołała poderżnąć sobie gardło mieczem potężnego S'tarra.

Amanar z największym wysiłkiem utrzymał ją przy życiu na tyle długo, żeby przynajmniej móc ją ofiarować Morath–Aminee. Ale przez niezbędny pośpiech bóg ciemności nie był

zbyt zadowolony z ofiary. W każdym razie czarownik przedsięwziął niezbędne środki ostrożności, aby już żadna z dziewcząt nie zdołała pójść w ślady swej towarzyski.

Spojrzał na pozostałe cztery. Dawały z siebie wszystko, by uniknąć czegoś, co wydawało im się gorsze od śmierci.

— Mistrzu!

— Tak, Sitha? — zapytał czarownik, nie odwracając się ku niemu.

Muskularny S'tarra stał ze spuszczoną głową z boku jego tronu i ukradkiem spoglądał pożądliwie na dziewczęta.

— Mapa, mistrzu. Ona miga.

Amanar uniósł się z tronu i wyszedł z sali, a za nim podążył Sitha. Dziewczęta tańczyły nadal. Nie pozwolił im przecież przestać, a same nigdy by się na to nie odważyły.

W pomieszczeniu przylegającym do sali tronowej znajdowały się tylko dwa przedmioty. Na jednej ścianie, wśród szarej skały, lśniło srebrne lustro, na drugiej, w ramie z polerowanego drewna, wisiała płyta z przezroczystego kryształu z wyrzeźbioną mapą otaczających zamek gór.

Wzdłuż jednej z dolin poruszał się czerwony punkcik. Musieli się tam znajdować ludzie — mechaniczni strażnicy Amanara nie sygnalizowali obecności zwierząt ani S'tarra.

Czarownik obrócił się powoli twarzą do lustra, wypowiedział parę tajemniczych słów i uczynił w powietrzu jakieś znaki. Zwierciadło rozjarzyło się czerwono, po czym stało się tak przejrzyste jak szyba. Przez przedziwne okno widać było z dużej wysokości grupkę ludzi powoli sunących przez dolinę.

Jeden z jeźdźców pokazywał drugiemu coś na ziemi. Widocznie posuwali się po śladach.

Amanar wypowiedział parę następnych dziwnych wyrazów i ludzie widoczni w lustrze jakby gwałtownie się przybliżyli. Zatrzymał obraz na chwilę, potem przybliżył ich jeszcze bardziej.

Zobaczył ciężko rannego S'tarra, który właśnie się potknął, upadł, wstał i powlókł dalej.

Oddalił obraz na tyle, by objąć jeźdźców podążających za jego służbą, oddzielonych od niego dwoma zakrętami doliny.

Ze trzydziestu dobrze uzbrojonych mężczyzn i jedna kobieta. Trudno było wyczuć, kto prowadził oddział — dziewczyna czy wysoki, mocno zbudowany chłopak o błyszczących niebieskich oczach. Amanar w zamyśleniu potarł dłonią podbródek.

— Tancerka Velita — powiedział. — Wprowadzić.

Sitha w pokłonach opuścił komnatę. Czarownik patrzył dalej na obraz widoczny w lustrze.



S'tarra, nie mogąc wyleczyć swoich rannych, zjadali ich jako świeże mięso. Nikt nie pozwoliłby temu tutaj zejść z posterunku. A więc patrolowi coś się przytrafiło i przestał istnieć.

Ten oddział szedł za nim. Najprawdopodobniej ci ludzie zdołali rozbić oddział S'tarra, co samo w sobie już było interesujące. Skoro deptali temu rannemu po piętach, to raczej nie bez powodu.

— Dziewczyna, mistrzu. — Sitha wprowadził Velitę. Trzymał ją za włosy tak, że musiała iść na palcach, z rękami bezwładnie zwieszonymi po bokach. Tancerka drżała ze strachu przed jaszczurem, który ją tu przywlókł, i przed czarownikiem, który wpatrywał się w nią dziwnym wzrokiem.

— Puść ją! — rzucił Amanar niecierpliwie. — Chodź no, panienko, i spójrz w lustro.

Szybciej!

Potknęła się, choć przy jej zwinności wyglądało to raczej na taneczny krok, i ujrzała ruchomy obraz. Zachłysnęła się. Przez chwilę czarownik myślał, że coś powie, ona jednak zacisnęła zęby i zamknęła oczy.

— Coś mówiłaś pierwszego dnia, skarbie — odezwał się Amanar z jadowitą słodyczą — o jakimś Conanie, który cię uwolni. Czy widzisz go tutaj?

Milczała, nie poruszając się.

— Nie zrobię mu nic złego. Pokaż mi go albo każę cię wychłostać!

Z jej ust wydobyło się ciche westchnienie, lecz nic poza tym. Ze zgrozą spojrzała na stojącego w drzwiach olbrzymiego Sithę.

— Nie ma go tutaj — wydyszała.

Drżała na całym ciele, łzy ciekły po jej twarzy w bezgłośnym szlochu, ale nie wydała Conana.

— Głupia! — prychnął Amanar z irytacją. — Jemu nie pomożesz, a ja i tak się tego dowiem! Sama chciałaś. Sitha, dwadzieścia batów!

Ciężki S'tarra obnażył kły w szerokim uśmiechu. Złapał ją za włosy i wyniósł z komnaty.

Rzeka łez płynęła z jej oczu, ale i teraz trwała w milczeniu.

Czarownik wnikliwiej przyjrzał się jeźdźcom. Swoim zachowaniem Velita przynajmniej częściowo odpowiedziała na jego pytanie, nawet jeśli jej się zdawało, że ochroni tamtego.

Ale z tego, co Surassa mówił, wynikało, że ten Conan był złodziejem. A złodziei z reguły nie widuje się na czele plutonu zbrojnych jeźdźców.

Z fałd zdobionej ornamentem czarnej szaty wydobył wszystko, czego potrzebował do tak prostej pracy. Czerwoną kredą narysował na kamiennej podłodze pięcioramienną gwiazdę. W

rogu każdego ramienia rozsypał szczyptę proszku. Wyciągnął rozcapierzoną lewą dłoń nad gwiazdą. Z każdego palca strzeliła w dół iskra, zapalając proszek. Pięć smug czerwonego gryzącego dymu uniosło się ku sklepieniu komnaty.

Amanar wypowiedział jeszcze parę słów w martwym języku i zacisnął lewą dłoń w pięść.

Gwiazda jakby wessała w siebie cały dym. Falowała i łopotała jak chłostana sztormowym wiatrem, ale nie wydzielala już dymu. Jeszcze jedno zakłęcie — i pośrodku gwiazdy wykwitł

szary obłok, który zaraz z hukiem zniknął. Na jego miejscu zjawila się szara bezwłosa istota, sięgająca czarownikowi co najwyżej do kolan. Podobne to było do małpy. Miało cofnięte czoło i długie do ziemi ręce. U ramion rosły mu kościste skrzydła, skąpo obciążone szarą skórą.

Demon podskoczył, obnażył długie jak pół jego twarzy kły i ruszył w kierunku czarownika.

Gdy jednak dotarł do czerwonej linii, zaskrzeczał i jak szarpnięty niewidzialną dłonią wrócił

na środek gwiazdy. Kucnął. Po chwili wstał, zataczając się i drapiąc pazurami kamienną posadzkę. Nietoperzowate skrzydła trzepotały, jak gdyby usiłował wzbić się w powietrze.

— Ty mnie uwolnić! — zaskrzeczał.

Amanar zatrząsł się ze wstrętu i irytacji. Od dawna już nie potrzebował oglądać tych nędznych demonów. To, że dziewczyna zmusiła go do tego, odczuł jako zniewagę, za którą będzie musiała drogo zapłacić.

— Ty mnie uwolnić! — skrzeknął znowu demon.

— Milcz, Zath! — rozkazał mu czarownik.

Mała szara postać natychmiast się skuliła. Amanar uśmiechnął się kwaśno.

— Tak, tak. Znam twoje imię, Zath! I jeśli nie wypełnisz moich rozkazów, okażę ci całą swoją moc. Tacy jak ty nie raz i nie dwa ściągali na siebie mój gniew. Otrzymywali za to solidniejsze ciała, ciała z litego złota. — Zaniósł się szyderczym śmiechem.

Małpiasty stwór zadrzał. Spojrzał na Amanara tępyimi szarymi oczami, w których malowała się nienawiść i bezsilność.

— Co Zath zrobić? — zapytał.

— Widzisz tych dwoje? — Czarownik stuknął dłonią w obraz Conana i Kareli. — Chcę wiedzieć, jak się nazywają i dlaczego idą za moim S'tarra.

— Jak? — zaskrzeczał demon.

— Nie przeciągaj struny! — prychnął Amanar. — Nie ze mną takie sztuczki! Jesteś na tyle podobny do śmiertelnych, że słyszysz ich głos, więc bez trudu zdołasz też odczytać ich myśli.

I nie próbuj czytać moich! Wiesz, że to bezcelowe!

Demon zgrzytnął wściekle zębami.

— Zath iść!

Rozległ się huk podobny do grzmotu i zjawa znikła. Z posadzki powiał przeciąg, przelotnie wzdymając obszerną szatę Amanara.

Czarownik strzepnął rękami, jak gdyby dotknął czegoś wstrętnego, i spojrzał w lustro.

Zbrojni jechali dalej naprzód, aż jeden z nich wskazał ręką w górę. Wszyscy w zdumieniu spojrzeli we wskazanym kierunku, a kilku uniosło kusze i strzeliło w powietrze.

Buchnęło, zaszumiało i zgasło. Demon znowu zjawił się w gwieździe. Złożył skrzydła i wyrwał ze swojego korpusu strzałę od kuszy.

— Chcieć zabić Zath! — zachichotał i dodał pogardliwie: — Żelazo.

Dla zabawy wepchnął sobie strzałę w korpus, przebił się nią na wylot i wyciągnął z drugiej strony.

— Jak się nazywają? — spytał Amanar niecierpliwie. Demon obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

— Duży człowiek — Conan, kobieta — Karela. Nazywać ją Czerwoną Sokolicą. Chcieć dziewczyna. Medaliony. Ty mnie puścić!

Amanar uśmiechnął się i spojrzał w lustro. Oddział otrząsnął się po spotkaniu z Zathem i pomaszerował dalej.

A więc miał przed sobą ukochanego pięknej Velity i osławioną Czerwoną Sokolicę z jej bandą. Całe towarzystwo bardzo mu się przyda.

— Przed tym człowiekiem — rzekł, nie odrywając wzroku od lustra — ucieka jeden z moich S'tarra. Jest ranny. Możesz się nim pożywić. Skąd uszedłeś i jak uszedłeś, idź tam i tamtędy.

Wiele dałoby się powiedzieć o uśmiechu czarownika, ale miły to on nie był na pewno.

Zbocza krętego wąwozu stopniowo stawały się coraz bardziej strome i odpychające. Conan uważnie lustrował kolczaste zarośla, tutaj już o wiele rzadsze niż wcześniej. Skarłowaciałe, poskręcane

wyglądały, jakby w powietrzu lub ziemi było coś, co czyniło je brzydką karykaturą roślin. Jak okiem sięgnąć, zbocza były porośnięte czymś takim.

— Paskudny kraj — mruknął Hordo tak, że nikt oprócz Conana nie mógł go usłyszeć.

Obserwował Karełę jadącą samotnie na czele. — Najpierw jaszczury, teraz to latające. Mitra wie co...

— Krzywdy nikomu nie zrobiło — odparł barbarzyńca z udaną obojętnością — i zaraz uciekło.

Nie chciał mówić nic, co by mogło skłonić bandytów do zawrócenia z drogi, ale miał jakieś bardzo niedobre przeczucie, które nie dawało się tak łatwo odpędzić.

— Dostało — zauważył sceptycznie cyklop. — Dostało co najmniej dwoma strzałami i nawet nie drgnęło. Szczęście, że chłopcy nie zaczęli uciekać.

— Może naprawdę powinniście zawrócić, Hordo.

Conan omal nie skręcił sobie karku, oglądając się na jadących za nim po krętej ścieżce bandytów. Gnała ich naprzód chciwość, ale odkąd zobaczyli przed sobą to dziwne stworzenie, miny im zrzedły, jakby zobaczyli co najmniej anioła śmierci. Od czasu do czasu ten i ów z troską obmacywał swoje obandażowane rany i ukradkiem spoglądał w zamyśleniu na drogę powrotną.

Cymmeryjczyk gwałtownie odwrócił się z powrotem ku kapitanowi.

— Słuchaj, Hordo. Jeżeli Karela wyda rozkaz odwrotu, wykonają go aż nazbyt chętnie.

Jeżeli zaś tego nie zrobi, zaczną po kolei zostawać w tyle.

— Kto jak kto, ale ty powinieneś zdawać sobie sprawę, że ona nie zawróci. W każdym razie dopóty, dopóki ty tu jesteś — odparł cyklop.

Krzyk Aberiusa oszczędził Conanowi odpowiedzenia na te słowa. Tropiciel, który jechał

śladem zbiegłego jaszczura dość daleko przed nimi, zatrzymał konia przy osłoniętym zakręcie i przyzywał ich do siebie niecierpliwym gestem.

Karela szybko podjechała do niego.

— Mam nadzieję, że zgubił ślad — mruknął Hordo.

Conan spiął konia ostrogami. Cyklop nie dał mu się wyprzedzić. Po chwili byli na zakręcie.

Karela zjechała na bok. Barbarzyńca spojrzał na to, co Aberius próbował jej pokazać.

Człekojaszczur, za którym szli, leżał na wznak w cieniu. Był martwy. Na piersi miał

rozdarty pancerz.

— Już się nim zajęły, ścierwojady — mruknął Hordo. — Drugi pewnie gdzieś się zaszył i czeka na śmierć. Kiepsko. — W głosie kapitana nie czuło się zmartwienia.

— Nigdzie nie widziałem sępów — powiedział Conan w zamyśleniu. — A nie słyszałem, żeby szakale wyżerały serce i zostawiały resztę nietkniętą.

Aberius odruchowo szarpnął za wodze, aż koń zadrżał z bólu.

— O, Mitro! Dobrze mówi! Kto wie, co go zabiło?! Pewnie ten latający potwór, co to kusze go nie ruszały! — Szczurze oczy myszkowały wokół, jakby tropiciel spodziewał się, że potwór wychyli się zza którejś skały.

— Zamknij się, szmaciarzu! — prychnęła Karela. — Umarł od ran i wyczerpania. Szakal albo inny borsuk zaczął go zżerać, a tyś go spłoszył i tyle!

— To nie ma znaczenia — powiedział Aberius. — Tym razem już naprawdę nie ma śladów.

Ruda spojrzała na niego z mieszaniną rozbawienia i pogardy.

— No, toś już mi niepotrzebny! Złoto przeciwko miedziakom, że i tak się dowiem, dokąd szedł.

— Najwyższy czas zmykać z tych parszywych gór. — Szczurza twarz obróciła się ku pozostałym bandytom, oczekującym w przyzwoitej odległości.

Ci jednak czuli jeszcze zbyt duży respekt przed Czerwoną Sokolicą, by odzywać się nie pytani. Karela jakby nie słyszała jego błagalnego głosu.

— Odkąd to ścierwo nam uciekło, jak mu się przynajmniej zdawało, trzymało stały

kierunek, z odchyleniami wynikającymi tylko z przebiegu ścieżki. Będziemy po prostu utrzymywać dalej ten sam kierunek.

— Ale... — Aberius spojrzał w oczy kapitana i głos uwiązał mu w gardle.

Jeszcze mu życie nie zbrzydło. Przywódczyni patrzyła przed siebie.

— Nic nie rozumiem — powiedziała, nie patrząc na niego. — Przecież spłoszyłeś

ścierwojada. Jeżeli jeszcze raz usłyszę jakieś bajki, to następnym razem pożywi się tobą. Już ja się o to postaram.

Conan i Hordo spojrzeli sobie w oczy.

— Dopóki będzie miała choć jednego wiernego psa... Dalej, Aberius! — Hordo obejrzał się za

siebie. — Naprzód, psy! — ryknął.

Jeszcze raz spojrzął na barbarzyńcę i ruszył dalej galopem. Conan stał przed zakrwawionym trupem jaszczura i patrzył na twarze mijających go bandytów. Jedni zamykali oczy, inni spluwali przez ramię, a wszyscy klęli w powietrze. Nadal jednak na ich twarzach dominowała chciwość.

Cymmeryjczyk także zaklął siarczyście, a potem ruszył za Karelą i kapitanem.

Ruchem zmęczonej ręki Haranides zatrzymał jadącą za nim kolumnę wyczerpanych ludzi.

Wyraźnie widać było ślady obozowiska pośród skał. Co prawda próbowano je zatrzeć, ale tu i ówdzie z byle jak zasypanego pogorzelska unosił się jeszcze dym.

— Każ ludziom zsiąść z koni, Aheranatesie — polecił i zsunął się z siodła.

Przez jego zmęczoną twarz przebiegł skurcz bólu. Kezankijska lanca pozostawiła mu szeroką ranę między żebrami, którą jeszcze długo będzie musiał leczyć.

— Weź dziesięciu ludzi i spróbuj ustalić, w jakim kierunku odjechali tamci. Postaraj się nie zatrzeć śladów.

— Tak jest, panie. — Zawrócił i ruszył dobierać ludzi. Haranides westchnął. Jego stosunki z adiutantem nie były szczególnie dobre. Znaczyło to, że nie zostanie zbyt dobrze opisany jego ojcu, co z kolei znaczyło... Odpędził od siebie niepożądane myśli. Ręka w dziwny sposób, jakby sama z siebie, zacisnęła się na leżącym wciąż w torbie flakoniku. Bijąca od niego woń coś mu przypomniwała... Kiedyś ją poczuł mocniej, nie od flakonika. Tak. Tak pachniała kobieta, z którą rozmawiał przed walką z Kezankijczykami.

Rudowłosa panna w towarzystwie dwóch olbrzymów, ta która ostrzegła go przed Kezankijczykami, była Czerwoną Sokolicą.

Co gorsza, Aheranates też to wiedział. I niepodobna zaprzeczyć, że w czasie rozmowy z tymi trojgiem ludzi, to on miał rację. Mieli Czerwoną Sokolicę w garści i pozwolili jej uciec.

Gdy tylko opatrzone rannych po bitwie — na ile to w tych warunkach było możliwe —

Haranides ruszył ze swymi ludźmi w pościg.

— Dowódco? — spytał Resaro. — Co z więźniami? Po bitwie, wśród trupów na

pobojowisku, znaleźli jednego żywego Kezankijczyka, zaledwie ogłuszonego ciosem w głowę. Haranides zamierzał dowiedzieć się od niego, skąd się tam wzięło tylu górali. Nie mieli przecież w zwyczaju łączyć się w duże grupy, zazwyczaj chodzili na rozbój małymi grupkami. I czy w okolicy są jeszcze inne tak liczne oddziały.

— Przesłuchaj go, Resaro.

— Tak jest, dowódco. Jeżeli pozwolisz, kapitanie, to powiem, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Tych paru, którzy zdołali ująć z życiem, pewnie jeszcze zmyka, nie oglądając się za siebie.

— Martw się lepiej o tego jednego — westchnął Haranides.

Resaro odpowiedział mu wojskowym pozdrowieniem i odszedł.

Dobra robota... Miał chłop prawo tak uważać i w normalnych warunkach nie myliłby się.

Ale to nie był zwyczajny patrol. Wyprowadził przez Bramę Płatnerzy dwustu dobrych kawalerzystów z konkretnym zadaniem. Teraz, gdy pochował zabitych, gdy odesłał w drogę powrotną ciężko rannych i dodał im rozsądną liczbę zdrowych do ochrony, zostało mu do dalszych działań zaledwie osiemdziesięciu trzech żołnierzy. Nie ujął Czerwonej Sokolicy i nie odbił klejnotów Tiridatesa. Tylko to się liczyło — i to całkowicie pogrążyło go w oczach króla i jego doradcy.

Nad obozowiskiem rozbrzmiał zdławiony krzyk. To zapewne wrzeszczał przesłuchiwany Kezankijczyk.

— Niech piekło pochłonie Tiridatesa i Czerwoną Sokolicę — mruknął kapitan.

Obszedł obozowisko, szczególnie wnikliwie studiując teren pośród wysokich skał — trochę w nadziei znalezienia czegoś, co mu pomoże w dalszych działaniach, a trochę dlatego, że jęki Kezankijczyka działały mu na nerwy.

Stał właśnie przy śladach namiotu, gdy podszedł do niego Aheranates.

— Stąd widzimy tyle, co i ona — mruknął Haranides, nie patrząc na swojego adiutanta. —

Coś mi się tu nie podoba. Co tu się stało?

— Bitwa, dowódcu. — Porucznik uśmiechnął się z wyższością. Oto wiedział więcej niż Haranides. — Co najmniej duża bójka. Kezankijczycy napadli bandytów i zadali im znaczne straty. No, to z Czerwoną Sokolicą mamy spokój. Jeżeli jeszcze żyje, w co wątpię, to właśnie bandyci mszczą się na niej za doznaną klęskę.

— Kusząco to wygląda, poruczniku. Jak się tego domyśliłeś?

— Groby. Jeden zbiorowy, co najmniej czterdziestoosobowy, i siedemnaście pojedynczych.

Na północnym zboczu, trochę w górze.

— Gdyby... — powtórzył Haranides i się zamyślił. Górskie szczepy na ogół się nie łączą.

W ich języku słowa „wróg” i „człowiek nie z mojego szczepu” brzmią tak samo. Może mieli jednak jakieś ważne powody, żeby się połączyć.

— Co?

Kapitan podniósł głowę.

— Dobrze jest znać zwyczaje nieprzyjaciela... Górale nie grzebią zabitych wrogów. Żaden szczep. A swoich poległych zabierają do wsi, żeby ich duchy nie tułały się pośród obcych.



Jeżeli zaś zwyciężyli bandyci, to dlaczego pochowali Kezankijczyków?

— Bandyci nie chowaliby górali! — zaprotestował Aheranates.

— Właśnie. Dlatego proponuję, żebyś wziął paru ludzi i sprawdź, kto leży w tych grobach.

Teraz Haranides na widok głupiej miny swego adiutanta uśmiechnął się z lekką wyższością.

Gdy Aheranates, jękając się, tłumaczył mu, że jest oficerem Gwardii, a nie hieną cmentarną, nadbiegł niemłody już krzywonogi kawalerzysta i zasalutował im, ciężko dysząc. Spod hełmu wystawał mu skrwawiony bandaż.

— Kapitanie — sapał, nerwowo drepcząc w miejscu. — Dowódco... tam... chyba

powinniście to obejrzeć... jakieś... — Zakrztusił się, jakby mu się zbierało na wymioty. —

Lepiej, jak sam zobaczysz, kapitanie.

Haranides zmarszczył czoło, zachodząc w głowę, co tak zbulwersowało tego dzielnego żołnierza.

— W porządku. Wracaj, Narses. Zaraz tam przyjdę. Żołnierz znowu się zakrztusił i z wyraźnym ociąganiem ruszył z powrotem. Aheranates poszedł za nim. Najwyraźniej

porucznik uznał, że lepiej przyjrzeć się czemuś, co przestraszyło zahartowanego w bojach kawalerzystę, niż przez parę dni rozkopywać stare groby.

Obok wyrastającego ze szczeliny w skale kolczastego krzaka stali dwaj żołnierze. Starali się nie patrzeć w wąską szparę w ziemi. Byli podobni do Narsesa, mieli taki sam obłęd w oczach, a na twarzach również byli lekko zieloni.

Narses, patrząc w bok, ręką wskazał szczelinę.

— Tam, w środku... Zobaczyłem krew na ziemi; ślad, który tam prowadził, dowódco, więc zajrzałem i... — Smętnie wzruszył ramionami i urwał.

Trop łatwo było rozpoznać. Krew rozlała się po kamieniach w szerokie plamy. Ślad prowadził w krzaki.

— Wyciąć krzaki — rozkazał Haranides. — Pewnie bandyci albo Kezankijczycy

torturowali kogoś, a potem porzucili zwłoki ptakom na pożarcie.

Miał jeszcze mniejszą ochotę na oglądanie ofiary tortur niż na słuchanie jej krzyków. Wyraz twarzy tych ludzi dobitnie świadczył, że zobaczyli coś potwornego. Teraz też raczej czesali krzaki, starając się pracować jak najwolniej.

— Dość tego! — warknął. — Pracować!

— Tak jest, panie — westchnął Narses.

Klnąc pod nosem, machali szablami niczym maczetami. Długie kolce zaczepiały się o kolczugi, wbijały w skórę. Wreszcie zdołali odciąć krzaki od korzeni i wyciągnęli kolczaste gałęzie ze szczeliny. Haranides stanął na jakimś pieńku i nachylił się nad rozpadliną. Z

wrażenia omal nie wpadł do środka.

Patrzyły na niego martwe, czerwone, bez wątpienia nieludzkie oczy. Osadzone były w upiornej twarzy pokrytej wężową łuską. Uchylona paszcza z ostrymi kłami zastygła jakby w szyderczym uśmiechu. Nienaturalnie długa, szponiasta ręka, z przeciętym powrozem u nadgarstka, spoczywała na pokrytym zakrzepłą krwią rozdarciu kolczugi, odsłaniającym długą, szeroką ranę.

Obrażeń było więcej. Wszystkie zadane szablami i mieczami lub jakąś inną ludzką bronią.

Żaden szanujący się ścierwojad nie spojrzalby drugi raz na coś takiego, pomyślał Haranides.

— Co tam jest? — zapytał Aheranates.

Kapitan opuścił zajmowane miejsce, aby porucznik także mógł dokładnie obejrzeć wstrętnego stwora.

— Widzieliście jeszcze coś ciekawego? — zwrócił się dowódca do trzech żołnierzy.

Z ust Aheranatesa wydobył się przeraźliwy krzyk. Adiutant omal nie poleciał w ramiona łuskowatego trupa. Patrzył dziko na dowódcę i trzech żołnierzy, lewą ręką trzymając się za usta.

— Mitro! — sapnął. — Co to jest?!

— W każdym razie nie Kezankijczyk — odpowiedział Haranides sucho. — Na bandytę też nie wygląda.

Porucznik odszedł parę kroków, zatoczył się, zgiął w pół i zaczął wymiotować. Haranides pokiwał głową i znów zwrócił się do żołnierzy.

— Zauważyliście jeszcze coś interesującego?

— Tak jest, kapitanie. — Narses był wyraźnie rad, że może mówić o czymś innym niż stwór w szczelinie. — Ślady koni, dowódco. Dwudziestu lub więcej. Wyjechali z obozu tam w dole, o tędy — pokazał ręką — i skręcili w tym kierunku. — Wyciągnął rękę na południe.

— Pościg? — mruknął kapitan do siebie.

— Musimy zawracać! — odezwał się słabym głosem Aheranates. — Nie będziemy przecież walczyć z demonami!

— Pierwsze słyszę, żeby demona zabito szablą — powiedział Haranides zimno.

Z ulgą stwierdził, że Aheranates nie wywołał paniki swymi słowami.

— Wyciągnijcie stąd tego trupa! — W oczach żołnierzy malowała się zgroza. — Spytajmy naszego kezankijskiego przyjaciela, czy tu w okolicy jest więcej podobnych.

Mieląc w zębach przekleństwa, kawalerzyści zeszli do szczeliny i wytaszczyli z niej sztywne zwłoki. Tymczasem kapitan wrócił do obozu.

Kezankijczyk z rozkrzyżowanymi rękami i nogami leżał na ziemi, przywiązany do kołków.

Stojący wokoło żołnierze robili zakłady, czy kolejna próba skłonienia go do mówienia zakończy się sukcesem.

Z żaru niewielkiego ogniska wystawały uchwyty paru żelaznych narzędzi. Woń spalonego mięsa i oparzenia na podbiciach stóp oraz na pozbawionej włosów piersi wskazywały na to, że narzędzia te były już używane.

Siedzący w kucki obok Kezankijczyka Resaro ostrożnie wsunął jedno z narzędzi w płomień.

— Jeszcze nic nie powiedział, kapitanie — zameldował. — Ale powie.

— Psy niewierne! — wychrypiął więzień. Czarne oczy patrzyły na Haranidesa z nienawiścią i pogardą. — Gnój parszywych wielbłądów! Bękarty...

Resaro kopnął go w twarz. Więzień umilkł, tylko cicho jęczał.

— Przykro mi, panie. Ale w ich wsi spotkalibyśmy się z o wiele gorszym traktowaniem.

Ten młody człowiek wyraźnie poczytuje sobie za zniewagę to, iż chcemy z nim porozmawiać, zamiast od razu go zabić.

— Nie będę mówił! — odezwał się znowu Kezankijczyk. — Odrąbcie mi ręce! Nie będę mówił! Wyłupcie mi oczy! Nie będę mówił! Urwijcie mi...

— To są bardzo ciekawe propozycje — przerwał mu Haranides — ale mam w stosunku do ciebie inne plany.

Czarne oczy spojrzały na niego z obawą.

— Idę o zakład, że przynajmniej jeden z twoich kumpli patrzy na nas z tych gór. Pewnie ktoś z innego szczepu też, ale to bez znaczenia. Jak myślisz, co będzie, jeśli tamten ktoś zobaczy, że z uśmiechem przecinamy ci więzy, pomagamy wstać, klepiemy przyjaźnie po ramieniu ewentualnie dajemy jeszcze

konia i puszczaamy wolno?

— Zabijcie mnie! — wrzasnął Kezankijczyk. — Nie będę mówił!

Haranides się roześmiał.

— Po co mamy cię zabijać? Oni to zrobią za nas. Zapewnią ci wspaniałą, powolną śmierć w męczarniach. Taką, na jaką my nie moglibyśmy patrzeć. Ale nie to jest najgorsze. — Głos kapitana stwardniał. — Przeklną cię jako zdrajcę. Twój duch po wsze czasy będzie się błakał

zawieszony pomiędzy tym a tamtym światem. Będiesz zupełnie sam, otoczony tylko innymi zdrajcami i demonami.

Kezankijczyk nadal milczał, lecz mina mu zrzędła. Jest gotów, pomyślał Haranides.

— Narses! Przynies tu tę padlinę i pokaż ją naszemu gościowi.

Żołnierze odwracali wzrok, spluwali przez lewe ramię i odmawiali modlitwy na odegnanie złego. Narses i jeszcze jeden kawalerzysta wlekli po ziemi zeszywniałego trupa. Haranides nie spuszczał więźnia z oka.

Ten szybko odwrócił wzrok od martwego jaszczura, lecz po chwili zaczął wpatrywać się w niego z nienawiścią.

— Znasz go dobrze, czyż nie? — Raczej stwierdził niż zapytał kapitan.

Kezankijczyk z wahaniem skinął głową i spojrzał morderczym wzrokiem na Haranidesa.

— Nazywają ich S'tarra. — Wzdrygnął się ze wstrętem i splunął w bok. — Krocie z tych po trzykroć przeklętych padlinożerców służą złemu, który mieszka w ciemnym zamku na południu. Wielu naszych ludzi, a nawet kobiet i dzieci znika na wieki za jego grubymi murami. Nie ma nawet ciał, które moglibyśmy pogrzebać, by zapewnić spokój ich duszom.

Nie mogliśmy dłużej znieść tych obrzydliwości. Więc zjednoczyliśmy się... — Spragnione usta zacisnęły się, a więzień zapatrzył się ponuro w dal.

— Kłamiesz! — zakpił Haranides. — Znasz prawdę lepiej niż twoja matka imię twojego ojca! Górskie hieny nie atakują zamków. Wy boicie się nawet swoich kobiet, a za parę miedziaków sprzedalibyście swoje dzieci, gdybyście oczywiście znaleźli kogoś, kto je od was kupi!

Na ciemnej twarzy jeńca odmalowała się wściekłość.

— Rozwiąż mnie! — zawył Kezankijczyk. — Rozwiąż mnie, ty, który pijesz mocz szakali, a udowodnię ci moją odwagę! Szkoda tylko, że nikomu nie będziesz mógł o tym

opowiedzieć!

Kapitan roześmiał się pogardliwie.

— Z siłami, które jesteście w stanie zebrać bez kłótni, nie zdobylibyście nawet lepianki bronionej przez starą babę z wnuczkami!

— W słusznej sprawie potrafimy się zjednoczyć — twardo oświadczył więzień. — A wtedy jesteśmy warci tysięcy! Każdy z nas zwyciężyłby dwa tuziny tego ścierwa!

Haranides spojrział uważnie w zamglone wściekłością oczy Kezankijczyka i nieznacznie skinął głową. To był najlepszy dowód, że nie ma już więcej górali na wojennej ścieżce.

— Mówisz, że te stwory atakują ludzi? Czy interesują się klejnotami? Złotem? Drogimi kamieniami?

— Nie! — przerwał mu Aheranates. Haranides odwrócił się do niego z gniewem w oczach, ale młody oficer ciągnął dalej: — Nie będziemy gonić tych... tych potworów! Mitro!

Wysłano nas w pościg za Czerwoną Sokolicą, a jeżeli te stwory ją zabiją, tym lepiej!

— Niech cię Erlik porwie, Aheranatesie! — zaklął Haranides.

Do rozmowy włączył się Kezankijczyk.

— Ja was poprowadzę, a wy zabijecie te potwory! Będę waszym najwierniejszym przewodnikiem. — Z jego twarzy znikła dzika nienawiść, a pojawiło się... trudno powiedzieć, co to było za uczucie.

— Na czarny tron Erlika! — Haranides zgrzytnął zębami. Szarpnął Aheranatesa za ramię i wciągnął go za załom skalny, gdzie nie widzieli ich żołnierze. Kapitan rozejrzał się, czy nikt za nimi nie poszedł. Mówił cicho, ale ostro i z naciskiem.

— Znoszę cierpliwie twoją bezczelność i obłudę. Twoją głupotę też, choć jeden Mitra wie, ile mnie to kosztuje. I twoją drażliwość, gorszą niż humory dziesięciu haremowych kobiet razem wziętych. Jest jednak coś, czego nie zniosę. Zwłaszcza u mężczyzny, a tym bardziej oficera. Tą rzeczą jest tchórzostwo.

— Tchórzostwo! — Aheranates zatrzęsł się z oburzenia. — Moim ojcem jest Manerkses, przyjaciel...

— Już ci mówiłem, że to mnie nie wzrusza. Nie wzruszyłoby mnie nawet to, gdyby Mitra był twoim ojcem. Na Hanumana, twój strach czuję na milę pod wiatr. Mamy dostarczyć do stolicy Czerwoną Sokolicę, żywą lub martwą, a nie pogłoskę, że mogła znaleźć śmierć w górach.

— Więc chcesz się pchać w te góry, kapitanie?

Haranides zgrzytnął zębami. Ten bęcwał może mu narobić niemałych kłopotów, gdy wróca do

Shadizar.

— Tak. Przynajmniej jeszcze trochę, poruczniku. Może dogonimy tych bandytów. A jeżeli ci, jak im tam — S'tarra, ich rozgromili, to... Może dla Kezankijczyków ten zamek jest twierdzą, ale skoro zamierzali go atakować w niespełna dwustu ludzi, to zupełnie możliwe, że osiemdziesięciu prawdziwych żołnierzy w pełni wystarczy. Cokolwiek nas czeka, nic wróć do Shadizar, nie wykonawszy zadania. Chyba że będę miał całkowitą pewność, iż nie mogę go wykonać.

— Oszalałeś — powiedział Aheranates nienaturalnie zimno i spokojnie, patrząc na kapitana dziwnym, lodowatym wzrokiem. — W takim razie nie mam wyboru. Nie mogę pozwolić, żebyś prowadził nas na pewną śmierć.

Błyskawicznym ruchem wyrwał szablę. Zaskoczony Haranides w ostatniej chwili uchylił się przed dzikim ciosem. Skoczył w bok i upadł. Kolejny cios trafił w skałę tuż obok jego głowy, ale teraz i on trzymał w garści szablę. Nie wstając, zadał potężne pchnięcie. Szabla utkwiała w piersi młodzieńca.

Aheranates z niedowierzaniem popatrzył na stalowe ostrze.

— Moim ojcem jest Manerkses — rzęził. Czubek szabli kapitana wystawał mu spomiędzy łopatek. — On... — Krew popłynęła mu z ust. Po chwili, martwy, padł na wznak.

Haranides wstał. Klnąc wyciągnął broń z piersi swojego adiutanta. Stojąc nad nim, usłyszał za sobą zgrzyt kamieni.

Resaro podszedł do niego i patrzył na zwłoki porucznika.

— Ten głupiec... — zaczął Haranides, ale kawalerzysta mu przerwał.

— Przepraszam, że przeszkadzam, panie. Myślę jednak, że śmierć porucznika była dla ciebie, kapitanie, wielkim ciosem. Nie chciałbym więc, żebyś pod wpływem tego wstrząsu powiedział coś, czego nie powinienem słyszeć.

Kapitan osłupiał.

— Co masz na myśli?

Resaro spojrzał mu głęboko w oczy.

— Porucznik był dzielnym człowiekiem. Bojąc się, że zostanie odesłany na tyły, zataił

ciężkie rany, które odniósł w walce z Kezankijczykami. Kiedy odkryliśmy ten fakt, było już za późno. Jego ojciec będzie z niego dumny, panie.

Wyciągnął z kieszeni kapitana chustkę.

— Niech pan wytrze szablę, dowódco. Chyba panu wypadła i zabrudziła się krwią porucznika.

Po chwili wahania Haranides sięgnął po chustkę.

— Przyjdź do mnie, jak wrócimy do Shadizar. Kiedy obejmę następną funkcję, będę potrzebował dobrego sierżanta. A teraz wsadź tego Kezankijczyka na konia porucznika.

Zobaczmy, może uda nam się odnaleźć Czerwoną Sokolicę.

— Tak jest, dowódco. Dziękuję panu.

Resaro zasalutował i odszedł. Haranides przez chwilę jeszcze patrzył ponuro na zwłoki Aheranatesa. Jeżeli pozostała mu jakakolwiek szansa powrotu do Shadizar bez klejnotów i Czerwonej Sokolicy — i ujścia z tego z życiem — to stracił ją z chwilą śmierci tego zarozumiałego małego półgłówka.

Klnąc pod nosem wrócił do swoich żołnierzy.

Rozciągnięta kolumna bandytów płynęła przez kręty wąwóz. Conan bystrym wzrokiem

omiatał górskie grzbiety. Obok niego jechał Hordo, gadając ponuro do siebie. Karela, w szmaragdowozielonej pelerynie odrzuconej w tył, z jedną ręką wspartą na biodrze, jak zawsze podążała na czele. Aberius nie musiał już odczytywać śladów, jechał więc wśród pozostałych bandytów.

— Zachowuje się jak na paradzie — mruknął Hordo.

— W pewnym sensie ma rację — odparł Conan, wysuwając nieco miecz z pochwy.

Nie patrząc na rozmówcę, wciąż spoglądał w góry.

— Publiczność w każdym razie mamy.

Hordo napiął się, nie był jednak takim nowicjuszem, żeby zacząć nagle się rozglądać.

— Gdzie? — zapytał.

— Po obu stronach, na graniach. Nie wiem ilu.

— Nie trzeba wielu — zauważył jednooki, z udaną obojętnością spoglądając na zbocza. —

Powiem Czerwonej Sokolicy.

— Razem jej to powiemy — wtrącił Conan szybko. — Tylko powoli, tak jakbyśmy chcieli się z nią zrównać, żeby sobie porozmawiać.

Kapitan skinął głową. Wyciągniętym kłusem dogonili Karełę.

Gdy usłyszała ich przy swoim boku, w jej oczach odmalowało się zaskoczenie i jakby lekki przestрах. Otworzyła usta.

— Śledzą nas — oznajmił pośpiesznie Hordo, zanim zdążyła się odezwać. — Są na graniach.

Spojrzała przelotnie na Conana.

— Jesteś pewien? — zwróciła się do cyklopa.

— Całkowicie — odpowiedział za niego Cymmeryjczyk.

Ostentacyjnie popatrzyła wprost przed siebie.



— Przed chwilą kątem oka zauważyłem, że na zboczu coś się rusza. Myślałem, że to jakieś zwierzę, ale potem dostrzegłem jeszcze dwie inne postacie na wschodzie i trzy na zachodzie.

— Na Hanumana! — mruknęła, nie patrząc na niego.

Właśnie mijali zakręt... i wszystko, co chcieli powiedzieć, straciło ważność wobec tego, co zobaczyli.

Ze dwadzieścia kroków przed nimi stało osiem człekokształtnych jaszczurów. Podobne były do tych, które ich napadły: potwory w hełmach i kolczugach. Na ramionach niosły potężne nosze. Na nich stał bogato zdobiony tron, na nim zaś siedział mężczyzna w szkarłatnym płaszczu. W jego czarnych włosach wił się srebrny kosmyk. W prawej ręce dzierżył długie złote berło. Sztywno ukłonił się samą głową, nie unosząc się z miejsca.

— Jam jest Amanar. — Jego głos odbił się echem od stromych ścian. — Witam was w moich progach.

Conan zauważył, że odruchowo wyciągnął miecz z pochwy. Kątem oka spostrzegł, że

Hordo i Karela uczynili to samo. Amanar uśmiechnął się, lecz wyraz jego czarnych oczu z czerwonymi, świecącymi punkcikami się nie zmienił. Nieomylny instynkt Cymmeryjczyka —

dziedzictwo jego barbarzyńskiej przeszłości — podpowiadał mu, że choć istota ta przypomina człowieka, jest w niej stokroć więcej zła niż we wszystkich jej upiornych sługach razem.

— Nie bójcie się — z dziwnym naciskiem wyrzekł ów mężczyzna.

Osuwające się po zboczach kamienie odwróciły uwagę Conana od gospodarza. Dopiero teraz barbarzyńca spostrzegł, że ze zboczy schodzą setki jaszczurów z oszczepami i kuszami.

Bandyci z tyłu, widząc, że wpadli w pułapkę, przeklinali go najgorszymi słowami.

— Szczury w wiadrze — mruknął Hordo. — Conan, jeśli znajdziesz się w piekle przede mną, dobrze ci radzę, zaszyj się w najdalszy kąt.

— Co to ma znaczyć? — zapytała Karela ostro. — Kimkolwiek jesteście, jeżeli sobie wyobrażacie, że nas tak łatwo...

— Nic nie rozumiecie — przerwał jej człowiek na tronie miękkim głosem, jakby z nutą rozbawienia.

— S'tarra są moimi sługami. Rzadko miewam gości, a jeśli już ich mam, to witam ich równie serdecznie jak was. Są jednakże tacy, którzy za moją uprzejmość odpłacają mi przemocą. Dlatego uważam za wskazane mieć przy boku odpowiednio liczną obstawę. Nie dlatego, żebym wam nie ufał.

Conan był pewny, że słyszy sarkazm w jego głosie.

— Kim jest człowiek, który ma takich służących jak te oto łuskowate jaszczury? — Pytanie jest

właściwie zbędne, pomyślał, prawdziwa odpowiedź może być tylko jedna: jest

czarownikiem.

Zamiast odpowiedzi usłyszał jednak ostry głos Kareli.

— Zapominasz, kto tu dowodzi, Cymmeryjczyku?! — Rzuciła mu mordercze spojrzenie i z błyskiem w zielonych oczach spojrzała na człowieka w szkarłatnym płaszczu. — Niemniej i ja chciałabym znać odpowiedź na to pytanie. Czy jesteś czarownikiem? Musisz nim być, skoro posługujesz się takimi potworami.

Przerażeni bandyci wstrzymali oddech, poszeptując coś między sobą. Także i Conan skulił

się odruchowo — z doświadczenia wiedział, jak niebezpieczne jest otwarte przeciwstawianie się czarownikom. A to niewątpliwie był czarownik.

Ale Amanar uśmiechnął się tak, jakby byli tylko niepoprawnymi dziećmi.

— S'tarra nie są potworami — wyjaśnił. — Są ostatnimi przedstawicielami starej rasy, która była bardzo rozpowszechniona na Ziemi, jeszcze zanim człowiek zaczął się budzić do życia. Mimo groźnego wyglądu są łagodnego usposobienia. Kiedy tu przybyłem, górale ścigali ich i mordowali jak dzikie zwierzęta. Doprawdy, tych tutaj nie trzeba się bać. Mnie też nie. Są jedynie pewne szczepy S'tarra, które nie służą mi i nie zawsze umieją odróżnić Kezankijczyków, których nienawidzą, od innych ludzi.

— Spotkaliśmy jednego takiego — powiedziała Karela.

Conan spojrzał z ukosa na rudowłosą, ale nie wiedział, czy uwierzyła człowiekowi na tronie, czy chciała swoimi słowami coś osiągnąć.

— Dziękujemy bogom, że przeżyliście to spotkanie — rzekł Amanar. — Zechciejcie przyjąć gościnę w moim zamku. Wasi ludzie mogą stanąć obozem opodal. Będę zaszczycony,

uważając was za gości. Rzadko kto mnie odwiedza, ponadto pragnę porozmawiać z wami o czymś, co przyniesie nam dużą korzyść.

Conan objął spojrzeniem zwarte szeregi człekojaszczurów, stojących na zboczu, i

zastanawiał się, czy ktokolwiek kiedykolwiek odważył się odrzucić zaproszenie Amanara.

Karela w każdym razie nie zwlekała z odpowiedzią.

— Z wdzięcznością przyjmuję twoje wielkoduszne zaproszenie!

Choć Amanar się uśmiechnął, jego oczy i tym razem pozostały nieruchome. Sztywno skinął

głową i klasnął w dłonie. Ośmiu S'tarra z tronem ostrożnie zawróciło i ruszyło naprzód. Za tronem

jechała Karela, a za nią Conan i Hordo. Na szczycie ścian wąwozu i w poprzek zboczy, równoległe do nich, maszerowali niezliczeni S'tarra. Gwardia honorowa czy straż?

— myślał Conan.

— Do jakiego stopnia mu wierzysz? — spytał półgłosem Hordo.

Młodzieniec spojrział na człowieka na tronie. Odległość była spora, ale on nauczył się nie lekceważyć dobrego słuchu czarowników. Amanar wydawał się nie zwracać na nich uwagi.

— W ogóle mu nie wierzę — odparł. — Ten ranny S'tarra, czy jak on ich nazwał, wracał tutaj.

Twarz cyklopa stała się ponura.

— Gdybyśmy teraz nagle skręcili, pozbylibyśmy się towarzystwa tych jego pacholków, zanim zdążyliby zrobić nam coś złego...

— Tak, ale po co? — odrzekł Conan, śmiejąc się cicho. — Przecież przyszliśmy tu po medaliony i po coś jeszcze. On nas prowadzi do swojego zamku. I tak się tam wybieraliśmy.

— O tym nie pomyślałem — przyznał Hordo i przyłączył się do śmiechu barbarzyńcy.

Karela spojrzała na nich przez ramię z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Hej tam, myślenie zostawcie mnie — rzuciła ostro.

Nastąpiło ciężkie milczenie.

Wąski i kręty wąwóz przeszedł w szeroką dolinę i oczom bandytów ukazał się zamek Amanara. W niebo strzelały okrągłe wieże o ścianach tak czarnych, że zdawały się wsysać popołudniowe słońce. Wprost ze skał wyrastały czarne blanki ze strzelnicami. Ścieżka prowadziła do solidnej bramy, chronionej potężną wieżą, z której w razie potrzeby można było przywitać nieproszonych gości wrzącym olejem. Nie rosło tu nic, nawet cierniste krzewy.

— Każcie waszym ludziom stanąć obozem, gdzie wam się podoba — rzekł Amanar, zataczając ręką wokoło — i chodźcie do zamku. Porozmawiamy sobie.

— Znajdź dobre miejsce dla moich psów, Hordo — powiedziała Karela.

Zsiadła z konia i oddała cyklopowi wodze. Conan także zeskoczył z konia. Sokolica spiorunowała go wzrokiem.

— A ty co?

— Już raz mówiłem, że nie jestem jednym z twoich psów — przypomniał jej miękko.

Ruszył w górę ścieżki, uważnie obserwując rozstawienie strażników na murach.

Włamywacz nie miałby tu łatwego zadania.

Usłyszał za sobą kroki. Dysząc ciężko, dogoniła go Karela. Sapała bardziej ze złości niż ze zmęczenia.

— Conan — prychnęła. — Co ty tu robisz?!

— Karela, muszę zobaczyć tę fortecę od środka. O otwartym ataku nie ma mowy. Te mury powstrzymałyby całą armię. Jeśli chcemy zdobyć medaliony, pewnie będę musiał wejść tam w nocy. No, chyba że Amanar ze swoimi gadami wybił ci to z głowy.

— Skąd ten pomysł? Nie pozwolę, żebyś mnie posądzał o tchórzostwo!

Drogę zagroziła im opuszczona krata. Zza żelaznych sztab patrzyły na nich czerwone oczy człekojaszczura. W półmroku zdawały się świecić własnym światłem. Z bocznych wież, z lancami w rękach, wyszli inni S'tarra.

— Amanar czeka na nas — powiedział Conan.

— Na mnie — skorygowała Karela.

S'tarra podniósł rękę i krata ze zgrzytem łańcuchów ruszyła do góry.

— Mitra mówi, żebyście weszli oboje. Pójdźcie za mną.

Odwrócił się i ruszył w głąb ponurego zamczyska.

— Skąd wiedział, że przyjdziemy oboje? — mruknęła Karela, gdy szli w głąb zamku.

— Podobno to ty jesteś od myślenia — odparł nieco zgryźliwie Cymmeryjczyk.

Krata opadła z trzaskiem. Olbrzymi barbarzyńca mimo woli pomyślał, że dobrze by było wyjść stąd równie łatwo, jak weszli.

Znaleźli się w wyłożonej granitem sieni. Pomieszczenia dla służby i komnaty z czarnego kamienia czyniły zamek równie ponurym od wewnątrz, jak i od zewnątrz. Przez ciężkie, kute dwuskrzydłowe drzwi S'tarra wprowadził ich do serca zamku — potężnego bazaltowego trzonu, z którego wyrastała najwyższa wieża.

Weszli do wielkiej hali o marmurowych ścianach i mozaikowej podłodze, zdobionej

tęczową arabeską. W srebrnych uchwytych płonęły srebrne lampy w kształcie smoków, oświetlając wysokie sklepienie, wypełnione wykutymi w marmurze postaciami jednorożców i pegazów. Conan uśmiechnął się z zadowoleniem. Kto tak bogato zdobi nawet sień, bez wątpienia rozporządza ogromnym majątkiem. Nie zawadzi ulżyć mu trochę. A poza tym gdzieś blisko musi być Velita, którą przysiągł uwolnić.

S'tarra zatrzymał się przed wysokimi drzwiami z pokrytego patyną mosiądzu i zapukał.

Nadstawił ucha, jakby nasłuchując, potem — jakkolwiek Conan nic nie usłyszał — otworzył

jedno skrzydło ciężkich wrót, zza których rozlegały się dźwięki fletu i harfy. Skłonił się głęboko i gestem zaprosił ich do środka.

Conan wszedł zdecydowanym krokiem. Karela wyciągała nogi, aby iść obok niego, a nie —

co zrobiłoby niewłaściwe wrażenie — za nim. Uśmiechnął się do niej. Gniewnie

wyszczrzyła zęby.

— Witam! Zechciejcie spocząć!

Amanar rozparł się na bogato rzeźbionym krześle za niskim hebanowym stołem, ze złotym berłem w rękach. Po drugiej stronie stały dwa podobne krzesła.

Na poduszkach pod ścianą siedzieli ze skrzyżowanymi nogami czterej ludzie z

instrumentami. Grając nie spoglądali na siebie nawzajem, cały czas patrząc w podłogę. Zza kotary wyszła kobieta z winem na srebrnej tacy. Ona też miała oczy wlepione w cenny dywan. Postawiła tacę na stole, skłoniła się głęboko przed Amanarem i bezszelestnie opuściła pomieszczenie.

Czarownik chyba jej w ogóle nie zauważył. Nieruchomymi oczyma

wypełnionymi czerwonymi iskierkami patrzył na Karełę.

— A więc masz na swe usługi i ludzi — odezwał się Conan. Siedział na krawędzi krzesła, bacząc, by w każdej chwili móc szybkim ruchem dobyć miecza.

Amanar spojrzał na młodzieńca, który starał się nie unikać jego wzroku. Przychodziło mu to z trudem, bo czerwone ogniki zdawały się z przemożną siłą wciągać go w czarną otchłań oczu czarownika. Conan zacisnął zęby i wytrzymał jego spojrzenie.

— Kilku — odpowiedział Amanar. — Mało pożyteczne stworzenia, a zupełnie

bezużyteczne, gdy nie mam ich na oku. Od dawna zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej po prostu wyrzucić ich z zamku, aby zajęli się nimi górale.

Mówił głośno, najwyraźniej nie zwracając uwagi na to, czy muzykanci go słyszą. A oni grali dalej, ani na chwilę nie gubiąc rytmu, obojętni na wszystko.

— Dlaczego nie zastąpisz ich S'tarra? — zainteresował się Conan.

— Bo ich użyteczność też jest ograniczona. Tak jest. — Zatarł nagle ręce. — No, napijmy się!

Żadne z gości nie sięgnęło po kryształowy kielich.

— Nie macie do mnie zaufania? — W głosie czarownika brzmiała nuta drwiny. —

Wskażcie mi którykolwiek kielich, a wypiję z niego.

— To śmieszne — prychnęła Karela i wyciągnęła rękę po wino.

Conan żelaznym chwytem złapał ją za przegub ręki.

— Po łyku z każdego — zażądał.

Amanar wzruszył ramionami.

— Puść mnie! — rozkazała dziewczyna drżącym z tłumionej wściekłości szeptem.

Conan puścił jej nadgarstek. Przez chwilę go rozcierała.

— Złości mnie twoje grubiaństwo — powiedziała i znów sięgnęła po kielich.

Wyrwał jej naczynie z ręki. Amanar przyszedł jej z pomocą.

— Skoro nasz przyjaciel mi nie ufa...

Pociągnął po łyku ze wszystkich kielichów po kolei.

— Widzicie? — uśmiechnął się, odstawiając ostatni na tacę. — Jeszcze żyję. Po co miałbym was

tutaj truć, skoro tam, w wąwozie, spokojnie mogłem kazać moim S'tarra, żeby was zlikwidowali.

Karela Spojrzała złym okiem na Conana. Wzięła kielich i odchyliwszy głowę do tyłu, opróżniła go. Jej towarzysz ostrożnie spróbował zawartości jednego z pozostałych.

Aromatyczny smak zaskoczył go. Kielich zawierał ciężkie aquilońskie wino. W tej części świata było ono tak drogie, że praktycznie nieosiągalne.

— Zresztą — ciągnął Amanar — po cóż miałbym czynić krzywdę Conanowi, sławnemu złodziejowi rodem z Cymmerii, albo Kareli, noszącej dumne imię Czerwonej Sokolicy?

Z ust dziewczyny wydobył się krzyk. Conan z rykiem rannego lwa zerwał się na równe nogi. Wyrwał miecz, strącając na dywan cenny kielich. Amanar nie zwracał na niego uwagi.

Cały czas bacznie obserwował Karełę. Także i ona wstała i chwyciwszy wysadzaną kamieniami szablę, rozglądała się dokoła z błyskiem w oku, jakby czekając na atak.

Ciemnowłosey gospodarz patrzył na nią półotwartymi oczami, oddychając tak, jak gdyby rozkoszował się wonią jej perfum.

Muzykanci grali jak zakłęci.

— Taak... — mruknął czarownik i poprawił się na krześle. Wydawał się delektować widokiem miecza w dłoni Conana, tak jakby zauważył go dopiero teraz.

— Po co wam to żelastwo? Jesteśmy tu sami. Gdybyście mnie zaatakowali gołymi rękami, to też byście mnie zwyciężyli. Berłem bym się nie obronił. — Wyciągnął berło i wskazał nim na miecz Conana. — Schowajcie to i usiądźcie. Nie zagraża wam żadne niebezpieczeństwo.

— Dziękuję, postoję — oświadczył barbarzyńca ponuro — dopóki nie dostanę odpowiedzi na parę pytań.

— Conan ma rację — poparła go Karela. — Cokolwiek by powiedzieć, jesteś przecież czarownikiem.

Amanar machnął lekceważąco ręką.

— A tak. Takich jak ja niektórzy nazywają czarownikami. Osobiście jednak uważam się za poszukiwacza wiedzy, który chce uczynić świat lepszym. — Najwyraźniej podobało mu się to, co mówił. — Uczynić świat trochę lepszym — powtórzył.

— Jakie masz zamiary w stosunku do nas? — zapytała Karela i mocniej zacisnęła palce na rękojeści szabli. — Po co nas tu sprowadziłeś?

— Zamierzam wam złożyć pewną propozycję. Wam obojgu. — Czarownik, uśmiechając się, bawił się berłem.

Sokolica zawahała się, potem schowała szablę i usiadła. Conan nie zmienił pozycji.

— Zanim schowam miecz, muszę znać odpowiedź na jedno pytanie — oznajmił. — Znasz nasze imiona. Co jeszcze wiesz o nas?

— Kiedy już poznałem wasze imiona, przypadkiem dowiedziałem się, że szukacie pięciu tancerek i pięciu medalionów. Skądinąd wiedziałem, że skradziono je z pałacu Tiridatesa w Shadizar. Nie wiem tylko, choć chciałbym wiedzieć, po co ich szukacie, a przede wszystkim, dlaczego właśnie w Górach Kezankijskich?

Uśmiechnął się łagodnie. Na twarzy Kareli odmalowała się niepewność.

Ty mu wierzysz, biedna dziewczyno? — pomyślał Conan. Skoro on tyle wie, myślał dalej, to można mu jeszcze trochę powiedzieć. Niczego to nie zmieni.

— Przyszliśmy tu, bo mamy informację, że medaliony i tancerki skradli S'tarra.

Amanar roześmiał się z wyższością.

— Wybacz, Conanie z Cymmerii, ale sama myśl, że S'tarra mogliby przedostać się choćby do Shadizar, jest po prostu śmieszna. Strażnicy zabiliby ich natychmiast, nawet nie dopuszczając pod bramę. Zresztą, drogi przyjacielu, S'tarra nie opuszczają gór. Nigdy.

Conan nie ustępował.

— Ci, co wtargnęli do pałacu Tiridatesa, mieli takie buty jak S'tarra, z charakterystycznym węzowym wzorem.

Amanar przestał się śmiać. Jego wzrok stwardniał. Conan miał wrażenie, że patrzy na niego żmija. W końcu czarownik wzruszył ramionami.

— Kezankijczycy — oświadczył nienaturalnie lekko — często używają butów zdartych z zabitych S'tarra. Równie dobrze strażnik karawany mógł zobaczyć takie buty na zabitym Kezankijczyku i je sobie zabrać. To są dobre buty... Kto wie, jak daleko mogą trafić, przechodząc z rąk do rąk, i ile jest ich w obiegu na nizinach? — W głosie Amanara nie słychać było zdenerwowania, ale z jego oczu wyzierała groźba: tylko spróbuj mi nie uwierzyć...

W napiętej ciszy brzmiała muzyka.

— Na Hanumana! — wykrzyknęła Czerwona Sokolica. — Conan, czy gdyby on miał medaliony, to choć słowem wspomniałby o nich?



Młodzieniec uświadomił sobie nagle, jak głupio musi wyglądać. Karela ze świeżo

napelnionym kielichem dobrego wina w dłoni, rozparty na krześle Amanar, dobrotliwie głaszczący się po brodzie, flety, harfy — a w środku tego wszystkiego on, z mieczem w dłoni, gotowy do walki.

— Na Croma! — mruknął.

Schował broń, padł na krzesło i rozwalił się na nim ostentacyjnie i niedbale.

— O ile pamiętam, była mowa o jakiejś propozycji, Amanarze — powiedział sucho.

Czarownik skinął głową.

— Proponuję wam obojgu... hmm... hmm... schronienie. Gdyby kiedyś straże miejskie

zbyt gorliwie szukały Conana albo wojsko stało się zbyt uciążliwe dla Czerwonej Sokolicy, zawsze znajdziecie gościnę w moim zamku. Tutaj górale nie dopuszczą wojska, a grube mury

— górali.

— Wszystko to, oczywiście, z czystej sympatii do nas — dodał ironicznie młody

barbarzyńca.

Karela spojrzała na niego z wyrzutem.

— Co chcesz w zamian? — spytała. — Nie mamy ani wiedzy, która by mogła interesować czarownika, ani pożytecznych dla niego właściwości.

— Wiedzy może nie — odparł Amanar — ale właściwości owszem. Mam oto przed sobą

niezwykle uzdolnionego złodzieja i sławną od Karpash po Morze Vilayet Czerwoną Sokolicę, o której mówią, że gdy da słowo, to zapuści się aż do samego piekła, a jej ludzie bez szemrania pójda za nią. Miałbym dla takiej spółki od czasu do czasu parę zleceń —

uśmiechnął się szeroko. — Nie muszę dodawać, że będę wam dobrze płacił złotem i nie zamierzam w żadnym razie przeszkadzać wam w uprawianiu waszego... hmm... rzemiosła.

Karela wyszczerzyła zęby w wilczym uśmiechu.

— Szlak do Sultanapury przechodzi niecałe pół dnia drogi stąd, no nie?

— Dokładnie — zaśmiał się cicho Amanar. — Nie mam nic przeciwko temu, żebyście

robili tam... hmm... interesy. Owszem, przy okazji ja też wam coś zlecę. Zresztą nie musicie się decydować od razu. Jedzcie, pijcie, odpoczywajcie po długiej drodze. Możecie mi dać odpowiedź jutro czy nawet pojutrze. — Wstał. — Pozwólcie, że teraz pokażę wam swój zamek.

— O tak, tak! Bardzo chętnie go obejrzę — poderwała się Karela.

Conan nawet nie drgnął.

— Możesz wziąć ze sobą miecz — powiedział Amanar kpiąco. — Oczywiście, jeśli nie przewidujesz konieczności obrony, możesz go tu zostawić.

— Już dobrze — zerwał się rozdrażniony młodzieniec. — Pokaż nam ten zamek, czarowniku.

Amanar spojrział na niego badawczo. Conan miał dziwne wrażenie, że on i Karela leżą na dwóch szalach wagi tego dziwnego człowieka. Czarownik skinął głową i podpierając się berłem jak laską, wyprowadził ich z sali. Muzykanci niestrudzenie grali dalej.

Najpierw zaprowadził ich na zewnętrzną linię murów, wznoszącą się dobre pięćdziesiąt stóp ponad zboczne góry. Na widok Amanara uzbrojeni w lance i ubrani w kolczugi S'tarra upadli na kolana, ale czarownik zdawał się w ogóle ich nie zauważać. Stamtąd przeszli na mury wewnętrzne, których blanki i strzelnice pozwalały straży trafić każdego, kto jakimś cudem zdołałby sforsować mury zewnętrzne. Stały tu również katapulty do miotania kamieni. Na basztach murów wewnętrznych znajdowały się balisty, których długie na chłopa strzały mogły przebić na wylot konia i jeźdźca znajdujących się w głębi doliny. Następnie minęli wybudowane z kamiennych bloków pomieszczenia dla setek S'tarra. Na widok Amanara człekojaszczury klękały, a ich czerwone oczy spoglądały łakomie na Conana i Karełę.

W sercu góry czarownik powiódł ich z piętra na piętro przez kolumnowe komnaty, z kosztownymi dywanami na posadzkach i złocistymi tkaninami na ścianach. Na meblach wyłożonych różową masą perłową i głęboko błękitnym lapis-lazuli stały kunsztownie rzeźbione jaspisowe i bursztynowe naczynia z dalekiego Khitaju oraz rozmaite srebrne drobiazgi, wysadzone drogimi kamieniami.

Ludzi widywało się tutaj bardzo niewiele. Żaden z nich ani razu nie podniósł wzroku.

Amanar zwracał na nich jeszcze mniejszą uwagę niż na S'tarra.

Mniej więcej na poziomie głównego wejścia uwagę Conana przykuł tajemniczy, łukowato sklepiony korytarz. Wykonany z surowego, lekko obrobionego kamienia wykusz

zdecydowanie wyróżniał się spośród wszystkiego, co dotychczas zobaczyli.

— Czy to jest zejście do twoich lochów? — Młodzieniec brodą wskazał kamienny hak.

— Nie! — odparł Amanar ostro. Z widocznym trudem wrócił do swojego ujmującego

uśmiechu. — Tędy prowadzi droga do pomieszczeń, w których prowadzę swoje... hhm...

prace badawcze. Nikt poza mną nie ma tam wstępu. — Głos czarownika stwardniał. — Są tam takie zabezpieczenia, że dla nieproszonego gościa wejście skończyłoby się śmiercią.

— Jeśli o mnie chodzi — zaśmiała się z przymusem Karela — to co jak co, ale pracownia czarownika zupełnie mnie nie interesuje.

Amanar przeciągle spojrział na nią.

— Może pewnego dnia zabiorę was na dół. Ale myślę, że nieprędko. Sitha poprowadzi was do wyjścia.

Conan najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się od odruchowego wydobywania miecza, gdy z bocznego korytarza wyszedł równy mu wzrostem i podobnie zbudowany S'tarra.

Ciekawe, pomyślał, czy on potrafi porozumiewać się z tymi fagasami bez słów. Jeżeli tak, to mogą wynikać z tego duże kłopoty.

Wysoki S'tarra wyciągnął długą, szponiastą rękę.

— Tędy — zasyczał.

W jego zachowaniu nie czuło się uległości. Przeciwnie, zdawał się patrzeć na nich z pewną wyższością.

Odchodząc Conan wyraźnie czuł na plecach oczy czarownika.

Sitha niemym gestem polecił strażnikowi przy bramie unieść kratę. Ze zgrzytem łańcuchów podjechała ona w górę nie wyżej niż na wysokość piersi Kareli, po czym — na ponowny znak

— zatrzymała się. Obnażywszy w szyderczym uśmiechu kły, olbrzymi S'tarra wskazał im drogę.

— Nie wiesz, że jesteśmy gośćmi twego pana?! — fuknęła Karela. — Ja...

Conan złapał ją za ramię i trzymając przy sobie, dzikim susem prześliznął się pod kratą.

Żelastwo z trzaskiem spadło tuż za nimi.

— Ciesz się, że w ogóle wyszliśmy z tej budowli — powiedział i ruszył w dół ścieżką. Z

daleka dojrzał czekającego na nich kapitana.

Karela szła obok niego, masując sobie ramię.

— Ty kupo mięsa! — napadła na niego. — Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu! Swoją drogą trzeba pogadać z Amanarem, żeby ukarał tego... mastodonta. Muszą traktować nas z należyтым szacunkiem. Moi chłopcy wciąż mają ochotę bić się z tymi S'tarra. A z tym Sithą to ja zatańczę...

Conan spojrział na nią zdumiony.

— Co ja słyszę?! Czy to ja tak zgłupiałem, czy cały świat oszalał? Czerwona Sokolica chce nosić

barwy jakiegoś magika, może jeszcze zamierza kłaniać mu się w pas?! Czas umierać!

— Ślepy jesteś, Conanie? On ma na swych usługach co najmniej pięćset tych maszkaronów, a może i dużo więcej. Choćby nas było dziesięć razy tyle, nie zdobędziemy tego zamku. Ani myślę stracić swoich ludzi na próbach przebicia muru głową. Gdybyśmy zebrali do kupy całe złoto, które w życiu widzieliśmy — ty, ja i cała moja banda, to byłaby to mniej więcej jedna setna tego, co jest w tym zamku.

— Widziałem w życiu mnóstwo złota. — W głosie Conana zdumienie mieszało się z

przerażeniem. — Ile z tego przylepiło mi się do rąk, a ile zdołałbym wynieść stąd, to dwie różne sprawy. Ten Amanar mówił coś o lepszym świecie, ale nie słyszałem o czarowniku, który nie służyłby ciemnym mocom. Teraz zastanów się, jakie będzie miał dla nas zlecenia!

— Bezpieczna kryjówka tuż przy szlaku, czy ty wiesz, co to znaczy? Nie będę musiała rozpuszczać ludzi, żeby dekowali się po karczmach. Nie będę musiała udawać wróżki i czekać miesiącami, aż będziemy się mogli zebrać! To jest warte tych wszystkich pieniędzy!

— A ty wiesz, co to znaczy dla mnie?! — Cymmeryjczyk warczał jak wilk. — Dokładnie nic. Dla mnie pustynia jest bezpiecznym ukryciem. Ona mi wystarczy. Przyszedłem tu po pięć medalionów, a nie po stałą pracę, i to w dodatku u czarownika!

Zeszli do podnóża pagórka. Hordo spojrzał na nich kwaśno.

— Znowu się kłóćcie? — spytał. — Czego ten Amanar chce?

Tamci nie zwrócili na niego uwagi. Patrzyli na siebie roziskrzonym wzrokiem. Karela zagryzła wargi.

— Mówię ci, że on nie ma tych medalionów. Zwróć uwagę, że pierwszy o nich wspomniał.

A kobiet tam widziałam może z pięć i przyznasz chyba, że żadna z nich nie wyglądała na tancerkę.

— Rozmawiacie o medalionach — zdumiał się Hordo. Barbarzyńca w dalszym ciągu

zdawał się nie zauważać obecności kapitana.

— O święta naiwności! Wierzysz temu czarownikowi? Wmawia nam, że w tych górach roi się od S'tarra różnych szczepów. Ale ten, za którym szliśmy, był stąd, to nie ulega wątpliwości. Tak samo ci, których zabiliśmy. A o medalionach wie, bo skradli je jego słudzy.

— Czarownik? — zakrztusił się Hordo. — To jest czarownik?!

Karela zauważyła wreszcie obecność cyklopa, ale jej oczy rzucały tak dzikie błyski, że kapitan wolał się trzymać o krok za nimi.

— Pokaż mi, gdzie założyliście obóz! Chcę zobaczyć, jak się mają moje psy. — Odeszła, nie

czekając na odpowiedź.

— Polecę za nią — powiedział z wahaniem Hordo. — Poszła w złym kierunku. Jeszcze pogadamy — i pobiegł za rudowłosą.

Conan odwrócił się i przyjrzał zamkowi. Przez zamykającą wejście kratę dostrzegł dwóch wyraźnie go obserwujących S'tarra. Choć z tej odległości nie widać było szczegółów, przysięgłby, że jednym z nich był Sitha.

Odtwarzając w pamięci rozkład pomieszczeń zamku, szukał wzrokiem innych obserwatorów.

Dopełniający się księżyc powoli wędrował nad doliną opodal zamku Amanara. Zmrok już dawno przeszedł w czarną, naprawdę czarną, noc. Jedyne światła dawały ogniska, przy których sennie kołysali się bandyci. Nikły blask księżycyca oświetlał szczyty skał, lecz nie docierał do dna doliny.

— Jak żyję, nie pamiętam tak ponurej nocy — mruknął Hordo i pociągnął duży łyk kilu.

Conan siedział po drugiej stronie ogniska, naprzeciwko cyklopa. On nie rozpałałby tak ognia, ale zbóje najwyraźniej usiłovali zapomnieć o nocy.

To nie sprawa nocy, pomyślał. To miejsce i... człowiek.

Spojrzał na Karełę, chodzącą od ogniska do ogniska. Przy każdym chwilę rozmawiała z ludźmi, wypijała łyk kilu i śmiejąc się szła dalej. Conan miał wrażenie, że śmiech tych, którzy się do niej przyłączali, był dosyć nerwowy.

W każdym razie wyglądała pociągająco: umalowana, w złotym napierśniku,

szmaragdowozielonej spódnicy, karmazynowej pelerynie i szkarłatnych wysokich butach...

Młody barbarzyńca zastanawiał się, czy ubrała się tak ze względu na swoich ludzi, czy dlatego, że i ją przygnębiała otaczająca ich, niemal namacalna, ciemność.

Hordo otarł usta wierzchem dłoni i dorzucił do ognia nieco wyschniętego końskiego łajna.

— Nie, no, to już przesada! Czarownik! Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie tego, że będę służyć jakiemuś kabalarzowi! W dodatku mam nikomu o tym nie mówić. To znaczy, mam nie mówić, że on jest czarownikiem, a nie że dla niego pracuję.

Znowu dorzucił do ognia. Conan odsunął się nieco od żaru.

— Chłopcy tylko wyglądają tak głupio. Prędzej czy później sami na to wpadną.

Rozejrzał się za księżycem i mimo woli się uśmiechnął. W tej dolinie każda noc wydawała się bezksiężycową. Wymarzony czas dla włamywaczy.

— Jeszcze łyk, Conanie! Nie? Jak chcesz, sam wypiję. — Cyklop przechylił dzban i nie odejmując go od ust, wyłopał wszystko do końca. — Jakbym wypił całą beczkę, to może by mi pomogło. Czarownik, ha! Widzisz oczy Aberiusa? Przy pierwszej okazji się ulotni. Talbor stwierdził otwarcie, że gdyby zdołał zbierać chociaż garść miedziaków, już by go tu nie było.

— Po co mu miedziaki? — spytał Conan. — A ujście z tej przygody z życiem to mało? —

Tym razem był szczery. Nikogo nie chciał straszyć. Naprawdę obawiał się, że jutro bandyci mogą poznać Amanara od jego gorszej strony. — Bądźmy szczerzy. Tobie cała ta zabawa podoba się nie

bardziej niż Aberiusowi i Talborowi. Dlaczego więc się jutro nie wycofacie?

Jeżeli ktoś może ją do tego namówić, to tylko ty. Myślę, że ta noc już w połowie ją przekonała.

— Nie znasz jej — odparł Hordo, unikając wzroku swego nowego przyjaciela. — Kiedy raz coś postanowi, za wszelką cenę musi doprowadzić to do końca. Nic nie zdoła jej

powstrzymać. A co ona zrobi, zrobię i ja. — Bandyta nie wyglądał na uszczęśliwionego tym stwierdzeniem.

— Chyba pójdę się przejść. — Conan wstał.

— Przejść się? — Hordo spojrzał na niego niedowierzająco. — Człowieku, za kręgiem światła jest ciemno jak w sercu Arymana!

— A tu, w kręgu światła, jest gorąco jak w piekle. Jeszcze trochę, a zaczniesz skwierczeć i wszystkich obudzisz — odparował Conan i zniknął w mroku, zanim kapitan zdążył coś powiedzieć.

Kiedy znalazł się poza zasięgiem światła, zatrzymał się, żeby przyzwycząić oczy do mroku.

Sprawdził, czy karpazyjski sztylet pewnie tkwi na swoim miejscu, i przewiesił sobie miecz przez plecy. Nie miał co prawda liny ani kotwicy, ale nie sądził, żeby mu były potrzebne.

Po chwili zdał sobie sprawę, że noc nie jest aż taka ciemna, jak mu się przedtem wydawało.

Blady księżyc był w pełni. Jaśniał na niebie i właściwie powinien zupełnie dobrze oświetlać teren. Tu jednak docierała zaledwie wąska, słaba poświata, w dodatku nienaturalnie migocząca. To, co w ogóle dawało się w niej zauważyć, miało postać czarnych nieforemnych brył, które w tym niesamowitym oświetleniu zdawały się poruszać i drżeć.

Szybko ruszył w stronę zamku. Z trudem tłumił przekleństwa, gdy kamienie uciekały mu spod nóg i staczały po zboczach lub gdy natykał się na skalne bloki, o których istnieniu dowiadywał się dopiero w chwili zderzenia. W końcu jego oczom ukazały się mury zamku —

tak jakby noc przybrała kształt i zeszywniała.

Potężne ogrodzenie wyglądało na gładką, jednolitą pionową płaszczyznę, lecz dla kogoś obeznanego ze złodziejskim rzemiosłem było jeśli nie ścieżką, to przynajmniej wygodną drabiną.

Starając się zapomnieć o mrocznej otchłani za plecami i nie myśleć, co by było, gdyby odpadł od ściany, Cymmeryjczyk wspinał się po zewnętrznym murze.

Tuż pod szczytem zatrzymał się i rozpląszczył na ciemnej ścianie. Nad sobą słyszał

zbliżające się i oddalające kroki wartowników. Wyczekawszy na stosowny moment,

wskoczył między blankami na ganek, przewinał się na drugą stronę muru i zaczął po nim schodzić.

Było to dużo łatwiejsze niż poprzednia wspinaczka, ponieważ twórca tej konstrukcji nie przewidywał ataku od wewnątrz.

Poczuwszy pod stopami bruk międzymurza, Conan przycisnął się do ściany, lustrując teren.

Tu i ówdzie mrok rozjaśniały mosiężne lampy, przeważnie w kształcie węży, z knotem pomiędzy kłami. Okute wrota w murze wewnętrznym stały otworem, najwyraźniej nie

strzeżone, ale jednak coś kazało mu nie dowierzać temu ułatwieniu. Poszukał więc wzrokiem dogodnego miejsca do wspinaczki.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch z lewej strony.

Ktoś wybiegł spod muru, przecinając międzymurze. Przez chwilę znajdował się w świetle jednej z lamp i wtedy Conan poznał w nim Talbora. A więc zdania o garści miedziaków nie należało traktować zbyt dosłownie. Można było tylko mieć nadzieję, że nikt nie zauważy niewysokiego w końcu bandyty i nie podniesie alarmu, co utrudniłoby barbarzyńcy zadanie.

Talbor wbiegł przez otwartą bramę.

Conan czekał. Jeżeli teraz złapią zbrojnego, nie byłoby zbyt dobrze, gdyby on sam znajdował się właśnie w połowie muru. Nic się jednak nie stało. Czekał dalej — cisza.

Odsunął się od muru i ruszył powoli przez międzymurze, starannie omijając światła mosiężnych węży.

Nie spieszył się. Jeżeli wartownik spostrzeże niezbyt szybki ruch, przypisze to ruchomym cieniom. Natomiast każdy gwałtowny ruch z pewnością zwróciłby jego uwagę.

Spojrzał jeszcze raz na otwartą bramę. Istotnie, nie było przy niej strażników. Nie przyspieszając kroku, Conan wszedł przez bramę na wewnętrzny dziedziniec. W oddali za sobą słyszał miarowy krok wartowników na murach zewnętrznych.

Zbliżył się do masywnej wieży głównej i przyglądał się, którędy mógłby się na nią wspiąć.

Najlepiej byłoby oczywiście wejść od zewnątrz aż na szczyt czarnego komina, ale już w dzień zauważył, że między precyzyjnie obrobionymi blokami naprawdę nie ma najmniejszej szpary.

W nieprzyjemny sposób przypomniało mu to wieżę z kości słoniowej, należącą do czarownika Yary. Tyle że tamta błyszczała w ciemności, a ta tutaj zdawała się roztopiać w mroku.

Ściany szerokiej podstawy wieży nie nastroczały natomiast żadnych trudności. Wkrótce był

już pod cokołem, przy strzelnicach — na szczęście szerszych niż zazwyczaj. Wcisnął się do wnętrza i natychmiast dobył miecza, rozglądając się uważnie w nikłym blasku jedynej lampki oliwnej.



Nie potrafił określić przeznaczenia tego pomieszczenia. W obitym tkaninami pokoju znajdował się duży rzeźbiony fotel z kości słoniowej i wbudowana w podłogę stupolowa szachownica z wysokimi do kolan figurami o kształtach nie znanych mu zwierząt. Conan podniósł jedną z nich i sapnął z wysiłku. Pokręcił ze zdumieniem głową i ostrożnie postawił

przedmiot na ziemi. Myślał, że jest tylko pozłacana, tymczasem ciężar wskazywał, iż w całości jest odlana ze złota. Gdyby wyniósł stąd dwie, trzy takie figury, mógłby zrezygnować z medalionów. Właściwie to i jedna by wystarczyła.

Z zalem spojrział na figurę skrzydlatego, podobnego do małpy stwora, z zębami wyszczerzonymi w bezsilnej wściekłości. Najpierw trzeba było znaleźć Velitę. Musiałby oszaleć, żeby obciążać się teraz tym maskaronem.

Ostrożnie uchylił drzwi. Jasno oświetlony srebrnymi lampami korytarz był pusty. Conan wyszedł z komnaty.

Marmurową posadzkę pokrywał obłędny, przyprawiający o oczopląs, biało–czerwony

ornament. Już po chwili patrzenia rozboleły go oczy. Jeszcze coś nie podobało mu się tutaj: niesamowita, dudniąca w uszach cisza. Nie raz i nie dwa zakradał się do uspijonych domów, ale zawsze coś tam było słychać. Tu zaś miał wrażenie, że znalazł się w katakumbach, w których jeszcze ludzka noga nie stanęła. Istotnie, wszystkie pomieszczenia, do których zaglądał, były puste. Ani śladu S'tarra, Velity czy w ogóle człowieka. Przyspieszył kroku i po stromych schodach przeszedł na następne piętro.

Przeszukał dwa dalsze piętra. W porównaniu z tym, co tu zobaczył, komnata z szachownicą nie była warta wzruszenia ramion. Przelotnie spojrział na srebrną statuetkę kobiety o oczach z szafirów, rubinowych sutkach i paznokciach z przepołowionych pereł; na stół wysadzany szmaragdami i brylantami, rozbłyskujący w blasku srebrnych lamp oraz na złoty tron, zdobiony czarnymi opalami, za który mógłby chyba kupić królestwo.

Kolejna komnata wydawała się wręcz skromna. Miała tylko ściany wykładane kością

słoniową i bursztynem. Pierwszym, co rzuciło mu się w oczy, były kształtne kobiece pośladki.

Ich całkiem naga właścicielka klęczała plecami do drzwi, z twarzą przy ziemi. Conan wyszczerzył zęby i zgrzytnął wściekle, lecz zmusił się do myślenia o istotniejszych sprawach.

Miał przed sobą pierwszą żywą istotę, jaką spotkał w tej budowli. Co więcej, nie był to S'tarra.

Była to natomiast Velita.

Podkradł się bezszelestnie, zatkał jej usta dłonią i postawił dziewczynę na nogi. Patrzył jej w oczy, czekając, aż ochłonie z zaskoczenia.

— Wreszcie jesteś! — powiedział i puścił ją. — Już się bałem, że cię nie znajdę.

Velita objęła go ramionami, przyciskając mokrą od łez twarz do jego szerokiej piersi.

— Conan! Tak marzyłam, żeby cię jeszcze zobaczyć! Ale już jest za późno. Uciekaj stąd szybko, zanim wróci Amanar. — Wzdrygnęła się ze strachu na samo wspomnienie tego imienia.

— Przysięgłem, że cię uwolnię — przypomniał szorstko. — Dotrzymam słowa. A tak w ogóle, to dlaczego, będąc sama, klęczysz nago w pustej komnacie? Nie widziałem tu żywej duszy ani nawet S'tarra.

— S'tarra nie mają tu wstępu, chyba że z Amanarem. Jak ludzie nie są mu potrzebni, to ich zamyka. — Dziewczyna zadarła głowę i spojrzała mu w oczy, zniżając głos. — Nie

zdradziłam cię, Conanie. Nawet wtedy, gdy skatował mnie Sitha. To nie ja powiedziałam Amanarowi, kim jesteś.

— Nie bój się, Velito. — Poglądził ją delikatnie po włosach. — To już się skończyło i nigdy nie wróci.

Jakby tego nie słyszała.

— To bardzo go rozgniewało. Za karę muszę kilka razy przychodzić tutaj i klęczeć tak długo, aż pozwolą mi wstać. Kiedy słyszę kroki, nigdy nie wiem, czy odeślą mnie na dół, czy to znowu przyszedł Amanar. Bo czasami po prostu staje za mną i słucha, jak płaczę.

Nienawidzę go za strach, jaki we mnie budzi, i nienawidzę siebie za to, że płaczę, ale nic na to nie mogę poradzić. Niekiedy mnie bije, a jeśli się choć trochę poruszę, bije jeszcze mocniej.

— Zabiję go! — powiedział Conan zimno. — Przysięgam na moje życie, zabiję go! Chodź, zabieramy medaliony i wiejemy. Tym razem nie będę zwlekał. Zabiorę cię stąd jeszcze tej nocy.

— Nie da rady, Conanie. — Piękna dziewczyna smutnie pokręciła głową. — Jestem zaczarowana.

— Zaczarowana?

— Tak. Raz próbowałam uciec, lecz stopy wbrew mojej woli zaniósły mnie do Amanara, a język sam z siebie wyznał mu, co chciałam zrobić. Kiedy indziej chciałam popełnić samobójstwo, ale gdy dotknęłam piersi sztyletem, moje ramiona skamieniały i nie mogłam nimi poruszyć nawet tyle, żeby upuścić nóż. Musiałam jeszcze potem pokornie błagać Amanara, żeby mnie odczarował.

— Musi być jakiś sposób... Przecież mogę cię stąd wynieść! — Zdał sobie sprawę z bezsensu tego pomysłu, zanim usłyszał smętny śmiech dziewczyny.

— I co dalej? Mam kazać się gdzieś przykuć łańcuchem na resztę życia, żeby pewnego dnia nie powrócić tu mocą czarów? A swoją drogą, po co próbowałam odebrać sobie życie? —

westchnęła ciężko. — Przecież Amanar i tak niedługo mnie zabije, jestem tego więcej niż pewna. Z nas pięciu żyje jeszcze tylko Zuzi i ja, reszta znikła bez śladu.

Cymmeryjczyk pokiwał głową.

— Ciężko zabić czarownika. Wiem to niestety z własnego doświadczenia. Ale jak się go już unicestwi, wszystkie czary przestają działać. Śmierć Amanara cię uwolni.

— Lepiej, byś zabrał medaliony i uciekał. Wiem, gdzie się znajdują. Cztery są na starym miejscu, w szkatule stojącej w komnacie, do której nie mogę cię zaprowadzić. Piąty, ten, który ja nosiłam, jest u niego w pracowni. — Zmarszczyła czoło i wzruszyła ramionami. —

Na wszystkie pozostałe patrzył jak na świecidełka bez wartości, a ten jeden owinał w jedwab i włożył do specjalnej kryształowej szkatułki.

Conan bez trudu przypomniał sobie wygląd tego kamienia. Czarny owal, długości niespełna cala, w którym tańczyły czerwone punkciki...

Złapał Velitę za ramiona i potrząsnął, aż się przeraziła.

— Jego oczy! — wykrzyknął. — Ten kamień przypomina jego oczy. Musi być między nimi jakiś związek. Nie wiem, jaki, ale wkrótce się dowiem. Na pewno raczej cię uwolni, niż pozwoli na zniszczenie tego kamienia. Zaraz zejdziemy do jego pracowni...

— Jak to: zejdziemy? Ona jest na szczycie wieży, dokładnie nad nami. Conan, puść mnie wreszcie, ramiona mi drętwieją!

Puścił ją.

— Dokąd w takim razie prowadzi korytarz za kamiennymi drzwiami niedaleko wrót wieży?

— Nie mam pojęcia — odparła. — Wiem tylko, że nikt nie ma tam prawa wstępu. W

każdym razie pracownia mieści się tam, gdzie ci powiedziałam. Byłam tam. Bogowie, dlaczego on nie lubi chłopców, tak jak Tiridates!

— Jeśli jest na górze, to chodźmy tam — zaproponował młody barbarzyńca.

Znowu pokiwała głową.

— Conanie, schody na wieżę też są zabezpieczone czarem. Gdy Amanara nie ma w wieży, nikt się tam nie dostanie. Kiedyś udał się do was, a jeden z ludzi spróbował wejść na te schody. — Zadrżała i mocniej przytuliła się do niego. — Krzyczał bez końca, jak gdyby płonął żywcem, a zaklęty krąg nie pozwalał nikomu podejść do niego i skrócić jego męki.

Barbarzyńca machinalnie pogłaskał ją po głowie.

— Krótko mówiąc, muszę najpierw zobaczyć się z Amanarem. Jeśli nie ma go w wieży, to gdzie jest?

— W obozie u bandytów. Mówił, że trochę ich tej nocy nastraszy, a potem podrzuci im sporo drogiego wina i różnych innych frykasów.

Conan wzniósł ręce. Miał wrażenie, że bogowie sprzysięgli się przeciwko niemu i przeszkadzają mu na każdym kroku.

— Velita, muszę wracać do obozu. Jeżeli domyśli się, że tu jestem...

— Wiem — odrzekła spokojnie. — Nie możesz mnie zabrać. Od początku wiedziałam, że tak będzie.

— Velita! — jęknął błagalnie. — Czy moja obecność tutaj nie świadczy o tym, że dotrzymam słowa? Zabiję Amanara i uwolnię cię.

— Nie! — zaprotestowała. — Nie doceniasz jego mocy. Zginiesz, nic nie wskórawszy.

Zwalniam cię z przysięgi. Opuść te przeklęte góry i zapomnij o mnie.

— Nie możesz mnie zwolnić z przysięgi, bo przysięgałem na imiona bogów — odparł

Conan. — A nikt nie zwolni mnie z innego przyrzeczenia — z przysięgi na moje życie, którą tu złożyłem.

— Jeśli się będziesz przy tym upierał, zginiesz! Mogę się tylko modlić, żebyś coś wymyślił.

Idź już. Muszę czekać tutaj na powrót Amanara, a nie chcę, żeby mnie znowu widział... —

Urwała, zwieszając głowę na piersi w bezgłośnym szlochu.

— Dotrzymam słowa! — zgrzytnął Conan.

Gdy wychodził z komnaty, niemal pragnął spotkać czarownika.

Dochodząc do obozu, Conan usłyszał głośne śmiechy, śpiewy i okrzyki radości. Potykając się wszedł w krąg światła i osłupiał. Znalazł się w środku libacji, jakiej dawno nie widział.

Reza trzymał oburącz wielki kawał pieczeni, raz po raz wbijając weń mocne zęby. Chwiejący się na nogach Aberius, z odchylną do tyłu głową, wlewał sobie do gardła zawartość kryształowej butli. Większość wina lała mu się po piersi, lecz on, który zawsze żałował

każdej kropli, śmiał się z tego. W końcu rzucił kosztownym naczyniem w skalisty grunt, aż rozprysnęło się na drobne kawałki. Hordo, z szablą w jednej ręce, ze złotym kielichem w drugiej, wył do księżycy, co zapewne miało być radosną pieśnią. Wszyscy śpiewali, pili, jedli i śmiali się, tarzając się po ziemi. Folgując swej dzikiej naturze, wycierali tłuste paluchy w spodnie i żłopali drogie aquilońskie wino jak najgorszą, zaprawianą mętną wodą, lurę w przydrożnym szynku.

Manewrując zręcznie wśród pijanego tłumu, Karela i Amanar podeszli do Conana. Sokolica trzymała w prawej ręce kryształowy kielich i ze swą dumną twarzą wyglądała jak wielka dama, lecz niepewny chód mącił nieco ten obraz. Na jednym z jej wąskich ramion

spoczywała długa ręka maga. Czarownik odrzucił do tyłu jej szkarłatną pelerynę i gestem pożądania szponiastymi palcami głaskał jej aksamitną skórę.

Cymmeryjczyk przypomniał sobie Velitę, która właśnie w tej chwili... Gniew walczył w nim z odrazą. Musiał jednak panować nad sobą, póki nie będzie miał w ręku medalionów.

— Zaczęliśmy już niepokoić się o ciebie — powiedziała rudowłosa. — Patrz, jakie dobre rzeczy dostaliśmy od Amanara! Od razu moim psom poprawił się humor.

Oczy czarownika były nieprzeniknione.

— Tutaj nawet w biały dzień mało co widać, Conanie z Cymmerii — odezwał się dziwnym głosem. — Pomysł spacerowania tu nocą jest co najmniej osobliwy. Co w tym widzisz ciekawego?

— Pochodzę z Północy i było mi za gorąco przy ogniskach, które chłopcy rozpalili dziś w nocy — odparł Conan.

Długie palce zacisnęły się kurczowo na ramieniu Kareli.

— To jest ramię kobiety, magu — zwrócił mu uwagę ostrzej, niż zamierzał — a nie ciasto na chleb.

Dziewczyna jakby się zmieszała.

— Eech... gorąca krew młodych — Amanar uśmiechnął się pobłaźliwie. — Ile ty właściwie masz lat, Cymmeryjczyku? — zapytał, ale nie cofnął ręki.

— Jeszcze nie skończyłem dziewiętnastu — odpowiedział z dumą Conan.

Zirytował go zmienny wyraz twarzy Kareli. Widział go już na twarzy innych kobiet —

kobiet, które uważały, że osobnik w tym wieku nie jest prawdziwym mężczyzną.

— Niecałe dziewiętnaście! — Amanar aż się zakrztusił ze śmiechu. — Masz jeszcze mleko pod nosem, choć mięśnie niczego sobie. Coś takiego! Czerwona Sokolica — postrach karawan, splądrowała kołyskę!

Karela z niebezpiecznym błyskiem w zielonych oczach strząsnęła ze swego ramienia rękę czarnoksiężnika.

— Barbarzyńcy dojrzewają szybciej — zauważyła cicho. — Przemyślałam twoją propozycję, Amanarze — dodała głośniejszym głosem. — Wchodzę w ten interes.

— Doskonale. — Czarownik uśmiechnął się z zadowoleniem. Wsparł się oburącz na berle i w zamyśleniu spojrzął na Conana. — A ty, młody człowieku, lubiący nocne spacerować? Mimo twego młodego wieku podtrzymuję swoją ofertę, bo słyszałem o tobie wiele dobrego.

— Prosiłem o trochę czasu do namysłu. Tak jak mówiliśmy na zamku, o dzień lub dwa. —

Młodzieniec zmusił się do uśmiechu. — To trudna decyzja. Wkrótce dam ci odpowiedź.

Sam zauważysz, jaką podjąłem decyzję — pomyślał.

— Dobrze, Conanie — skinął głową Amanar. — Za kilka dni rozstrzygnie się twoja przyszłość.

Oczy z czerwonymi znamionami patrzyły na Karele z taką czułością, że barbarzyńca dostał gęsiej skórki.

— Taak... — zamyślił się czarownik. — A więc jutro moja droga Karela pójdzie na zamek, rozumie się bez młodego człowieka, który jeszcze nie podjął decyzji. Musimy omówić szczegóły moich planów.

Conan miał wielką ochotę wyrznąć pięścią w ciemne oblicze. Pohamował się jednak.

— Może zechcielibyście powiedzieć nam wszystkim o tych planach — odrzekł ze sztucznym spokojem. — To mogłoby przyspieszyć decyzję, moją i jeszcze paru innych osób.

Czerwona Sokolica, która dotąd w zamyśleniu wodziła oczami od zbója do zbója, zeszywniała i wyprostowała się dumnie.

— Moje psy zrobią, co im każę, barbarzyńco!

W tej samej chwili w obozie umilkły śmiechy i śpiewy, jak gdyby bandyci nagle

wytrzeźwieli. Conan rozejrzał się, zdumiony.

W krąg światła wszedł Sitha.

Do piersi przyciskał potężny obosieczny topór. Czerwone oczy żarzyły się słabo, jakby grożąc ludziom przy ogniskach. Ci niespokojnie rzucali na ziemię jadło i napitki lub sięgali po broń. S'tarra ułożył swoją twarz w grymas uśmiechu, a może szyderstwa lub pogardy.

— Sitha! — ostro zawołał Amanar.

Nie patrząc na boki, olbrzymi człekojaszczur ruszył przez obóz i padł na kolana przed swoim panem. Na niecierpliwy gest czarownika wstał i zaczął szeptać mu coś do ucha.

Conan nie zdołał podsłuchać ani słowa z tego meldunku czy choćby odczytać czegokolwiek z twarzy Amanara. W każdym razie czarownik zacisnął dłoń na berle, aż zbieleły mu kostki.

A więc Sitha nie przyniósł dobrej nowiny. Talbor, pomyślał Cymmeryjczyk. Amanar gestem nakazał jaszczurowi milczenie.

— Niestety, muszę już iść — zwrócił się do Kareli. — Potrzebna jest moja obecność w zamku. Sprawa nie cierpiąca zwłoki.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego — powiedziała.

— Kłopotliwe, ale niegroźne — uspokoił ją mag, lecz jego wargi zacisnęły się nad krótko przystrzyżoną brodą w cienką kreskę. — A więc czekam jutro. Śpij dobrze. — Potem zaś zwrócił się do Conana: — Przemyśl dokładnie tę sprawę, Cymmeryjczyk. Dobrze ci radzę, wykorzystaj mój dobry humor... Sitha! — zawołał i opuścił obóz razem ze swym wstrętnym sługą.

Gdy tylko łuskowaty stwór zniknął z kręgu światła, w obozie znów zaszumiał pijacki gwar.

Hordo podtoczył się do Conana i Kareli.

— Nie lubię tych jaszczurów — oświadczył niepewnym głosem. Nadal trzymał w ręku

szablę oraz pusty już kielich. Chwiał się na nogach. — Kiedy opuścimy tę przeklętą dolinę i zajmujemy się czymś, na czym się naprawdę znamy? Kiedy wrócimy na szlak?

— Jesteś pijany, mój dobry, stary psie — rzekła niemal czule Karela. — Prześpisz się, wytrzeźwiejesz, to pogadamy.

— Byłem tej nocy w zamku — oświadczył Conan spokojnie.

Czerwona Sokolica spojrzała na niego, jakby roziskrzonym wzrokiem chciała wypalić mu oczy.

— Ty głupcze! — syknęła.

Hordo patrzył na nich z otwartymi ustami.

— On ma te medaliony — ciągnął lodowato barbarzyńca. — Tancerki też. Przynajmniej dwie, bo pozostałe trzy zniknęły bez śladu. Jestem pewien, że je zabił.

— Niewolnice?! — zawołał ze zgrozą Hordo. — Kto by zrobił coś takiego? Nawet czarownik...

— Nie krzycz tak głośno — ostrzegła Karela. — Przecież mówiłam, żeby nie używać tego słowa, dopóki nie pozwolę ci wtajemniczyć ludzi, czyż nie? Conan, co ty bredzisz? Skoro tancerki zniknęły, to pewnie je sprzedał. Twoją kochaną Velitę też?

— Nie — warknął Conan. — Nawiasem mówiąc, co ona cię tak obchodzi? Przecież między nami nic nie ma, czego nie da się powiedzieć o tobie i o Amanarze. On cię pieści wzrokiem, a ty jesz mu z ręki.

— Niemożliwe! — zawołał Hordo z przerażeniem i położył jej rękę na ramieniu. —

Amanar? Z tobą? Tylko nie to! Wyznaję, cieszyłem się, że bierzesz sobie Conana, ale...

— Milcz, stary ośle! — przerwała mu z gniewem w oczach i wypiekami na twarzy. — Co robię i z kim, to wyłącznie moja sprawa! — Wbiła w Conana mordercze spojrzenie płonących oczu, przypominających dwa zielone sztylety. Po czym odwróciła się i odeszła, wrywając po drodze zdumionemu Aberiusowi butelkę z rąk i wypijając ją do dna.

Cyklop spojrział za nią i pokręcił głową.

— Dlaczego nic nie zrobiłeś, Conan? Dlaczego jej nie zatrzymałeś?

— Może robić, co chce, i rozkazywać, jak chce, każdemu, kto jest jej posłuszny — odrzekł

chłodno barbarzyńca. Wciąż cierpiała jego duma: ona zносиła rękę Amanara na swoim ramieniu! — Jest wolna, a w każdym razie tak jej się zdaje. Nie mam prawa ani możliwości jej rozkazywać. A czemu sam jej nie zatrzymałeś?

— Jestem za stary na to, żeby mieć ochotę na szablę w żołądku — parsknął Hordo. —

Powiadasz, że twoja Velita faktycznie jest w zamku? W takim razie, u licha, czemu nie mogłeś jej wykraść i prysnąć? — Machnął szablą w kierunku, z którego przybyli.

— Nie mogłem, bo jest zaczarowana — westchnął Conan i zdał kapitanowi relację ze swego spotkania z tancerką.

— Aha... — mruknął brodac. — Czyli pan Amanar kłamie. A skoro nie wyjawiał prawdy o



medalionach i tancerkach, to ciekawe, o czym jeszcze?

— Myślę, że mniej więcej o wszystkim. Zamierzałem opowiedzieć Kareli, co zrobił z Velitą, żeby wreszcie do niej dotarło, z kim ma do czynienia. Ale w tym stanie ducha pewnie uznałaby, że wszystko to zmyśliłem na poczekaniu.

— Jasne. A jutro powtórzyłaby to jeszcze Amanarowi i razem naśmiewaliby się z twojej zazdrości. Tak by to odebrała — dodał szybko, widząc wściekłą minę olbrzyma. — Co zrobimy, Conanie? Przecież jej nie opuszczę, nawet teraz.

Barbarzyńca wyciągnął miecz na parę cali z pochwy i wsunął go z powrotem.

— Miej głowę na karku, oczy otwarte i szablę pod ręką. — Przejechał wzrokiem po

pijanych bandytach, leżących wokół ognisk. — I dopilnuj, żeby jej psy były gotowe w każdej chwili kogoś pogryźć. Aha, postaraj się nie zwrócić przy tym uwagi Amanara. Ani jej, bo to chwilowo na jedno wychodzi.

— Drobiazg, co, Cymmeryjczyku? Coś ty wymyślił? Co chcesz zrobić?

Conan spojrział przez czarną noc w kierunku zamku. Nawet wśród bijącej w oczy ciemności mury rysowały się tylko jako ciemniejszy cień.

— Zabić Amanara — odparł — uwolnić Velitę, ukraść medaliony i wrócić do Shadizar. To wszystko.

— Wszystko?! — jęknął Hordo. — W takim razie muszę się jeszcze napić.

— Ja też sobie łyknę — dodał cicho Conan.

Noc ciężko kładła się na jego ramionach. Nie miał ochoty ginąć w takim miejscu.

Czerwony świt budził się w dolinie z nocnego uśpienia. Upiorna ciemność z niechęcią przechodziła w bladą szarówkę. Dzień nastawał tu dopiero późnym przedpołudniem.

Conan był na razie jedyną osobą w obozie, którą to obchodziło. Cała reszta spała zdrowym pijackim snem. Kiedy skąpe promienie słońca zaczęły omiatać dno doliny, młodzieniec ruszył

do źródła, bijącego ze skalnej szczeliny niedaleko obozu.

Nabrał rękami wody i zaczął pić. Parsknął z niesmakiem. Woda, owszem, była chłodna, ale za to już u źródła zatechła. Czyż jednak można się było spodziewać czego innego w tej łysej, ponurej dolinie? Łyk owej wstrętnej cieczy wystarczył mu w zupełności. Resztę zużył do mycia. Potem rozejrzał się po okolicy.

S'tarra jak zwykle krążyli po murach. W oddali pod niebem kołowało parę sępów. Poza tym wszystko trwało w doskonałym bezruchu.

Barbarzyńca z dreszczem grozy zastanawiał się, co też spotkało Velitę po powrocie Amanara na zamek. Najwyraźniej czarownik nie dowiedział się, dokąd młodociany

przestępca dotarł w czasie nocnego spaceru, na zamku bowiem panował spokój, a w obozie jeszcze nie zjawily się człekojaszczury, żeby go ująć lub ukarać na miejscu. To jednak wcale nie znaczyło, że dziewczyny nie spotkało nic złego.

— Dziś w nocy — poprzysiągł młody Cymmeryjczyk. Przy źródle pojawił się Aberius.

Zaszczyciwszy Conana przelotnym, obojętnym spojrzeniem, ukląkł przy szczelinie w skale.

Kac po nocnej pijatyce najwyraźniej przesłonił mu świat, każąc zapomnieć o wrogości do barbarzyńcy. Chlusnął sobie wodą w twarz, wylał parę garści na głowę i bez słowa chwiejnym krokiem wrócił do obozu.

Po chwili przy źródle pojawił się Hordo. Rozciągnął się na skale i zanurzył głowę w wodzie. Trwał tak na tyle długo, że Conan chciał już podejść i wyciągnąć z wody brodaty łeb, którego właściciel najwyraźniej nie zamierzał sam się o niego zatroszczyć. W końcu jednak cyklop wyjął głowę, wyprostował się i otrząsnął.

— Czy ja mam aż takiego kaca — zamruczał, maślanymi oczami patrząc na młodzieńca przez zasłaniającą mu twarz gęstwą mokrych włosów — czy też ta woda naprawdę zajeżdża zgnilizną?

— I jedno, i drugie — wyszczerzył zęby Conan. Hordo jęknął i znów wsadził głowę do wody, tym razem jednak tylko po to, żeby się napić. — Widziałeś dzisiaj Talbora, Hordo?

— Dzisiaj widziałem głównie mgłę przed oczami. Zostaw mnie w spokoju. Muszę się

zastanowić, czy chcę jeszcze żyć.

— W nocy widziałem Talbora w zamku.

Brodacz chlusnął sobie wodą w twarz i oparł się wygodnie na łokciach.

— Mówisz mi to akurat teraz, gdy jestem nie do życia! Myślisz, że dlatego ten gad wywołał

Amanara z obozu?

Conan skinął głową.

— Talbora nie ma w obozie. Sprawdziłem, jak tylko się trochę rozwidniło.

— Równie dobrze mógł rąbnąć, co się dało, wziąć konia i być już w tej chwili w połowie drogi do szlaku karawany — zauważył Hordo. — W odróżnieniu od ciebie, on szukał

zarobku, a nie konkretnie zabawek Tiridatesa i panienki na dodatek.

— Niby mogło tak być. — W głosie barbarzyńcy brzmiało powątpiewanie.

— Mogło — westchnął jednooki brodac. — Ale coś mi mówi, że nie było. Czyli albo nie żyje, albo jest w lochach u tego bydlaka. W bezpośrednim starciu wiele nie zdziałamy.

Z bramy zamku wyszedł Sitha — bez miecza czy topora, o ile Conan z tej odległości mógł

zauważyć. Od podnóża zbocza ruszył szybkim krokiem przez pokryte granitowymi blokami łożysko doliny ku obozowi bandytów. Conan wstał, aby wyjść mu na spotkanie. Hordo z wysiłkiem podniósł się także i poszedł za nim.

Kiedy barbarzyńca doszedł do obozu, Sitha był już na miejscu. Ludzie Kareli stali dookoła niego, ale, co Conan zauważył z pewną ulgą, żaden z nich nie miał broni w ręku, chociaż bynajmniej nie patrzyli na gościa z sympatią.

Hordo przecisnął się obok młodego osiłka i stanął przed sługą Amanara.

— A ty tu czego? — spytał. — Czy twój pan ma nam coś do powiedzenia?

— Przyszedłem tu, bo tak mi się podobało — zasyczał S'tarra. Był o pół głowy wyższy od cyklopa i nawet nieco wyższy od Conana. Jego twarz, jak zwykle, pozbawiona była wyrazu, ale w głosie bez wątpienia dźwięczała pogarda. Miał na sobie długą do kolan, pięknie wypolerowaną kolczugę, lecz nie włożył hełmu. — Jam jest Sitha, starszy wśród S'tarra.

Przybywam, aby wyzwać was na pojedynek.

Stojący za Conanem Aberius zaśmiał się niepewnie.

— Toż nie masz nawet sztyletu! Sitha obnażył w uśmiechu ostre kły.

— Mój mistrz byłby niezadowolony, gdybym zabił choć jednego z was. Do zmierzenia się posłużą nam kamienie.

— Kamienie?! Jakie znowu kamienie?

S'tarra odwrócił się na pięcie, gestem wskazując ludziom, by poszli za nim. Mruczając pod nosem, ruszyli gęsiego wzdłuż doliny. Daleko od zamku ujrzeli miejsce, gdzie skalne bloki wyznaczały krąg o średnicy mniej więcej stu kroków. Grunt wewnątrz kręgu był wyrównany i wygładzony, a pośrodku leżały dwa niemal kuliste kamienie. Mniejszy na oko mógł mieć wagę dwóch ludzi, większy — ważyć gdzieś o połowę więcej.

— Podnieście jeden z tych kamieni — powiedział Sitha. — Nie wszyscy razem, rzecz jasna, tylko jeden z was. — Znowu obnażył ostre zęby. — Albo dwóch razem.

— Hordo! — zawołał któryś. — Hordo jest najsilniejszy! Aberius obrzucił posępnym spojrzeniem głazy, a potem brodatego kapitana.

— No? — wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. — Kto sądzi, że stary Hordo dźwignie mniejszy kamień?

— Co? — warknął cyklop. — Stary Hordo?! Podeszedł do lżejszej kuli i pochylił się nad nią, podczas gdy Aberius przyjmował zakłady. Cyklop objął ramionami granitową kulę,

zahaczając palcami o niewielką nierówność na jej powierzchni. Blizna na jego twarzy nabiegła krwią. Jedyne oko zdawało się wychodzić z orbity. Granitowy głaz drgnął. Nagle ręce brodacza ześlizgnęły się z niego i Hordo klnąc zatoczył się do tyłu.

— Mitro! — sapnął. — Nie ruszę tej zarazy z miejsca!

Aberius chichotem zadowolenia pokwitował swój zarobek.

— Najlepszy z was nie poradził sobie z tym ciężarem — syknął Sitha. — Może zatem dwóch da mu radę? — Patrzył pogardliwie na Cymmeryjczyka, ten jednak nie zwrócił na niego uwagi.

Reza i drugi Pers imieniem Bandir podeszli do kamienia. Aberius znowu przyjmował zakłady. Najchętniej zakładali się ci, którzy stracili pieniądze przy pierwszej próbie.

Persowie chwilę naradzali się między sobą, po czym ustawili się naprzeciw siebie po obu stronach głazu. Wsunęli przedramiona pod spodnią wypukłość kuli, łapiąc się nawzajem za łokcie. Stojąc tak przy samym kamieniu, musieli schylić się i rozstawić nogi. Przez chwilę kiwali się — jeden w przód, drugi w tył — odliczali po persku, po czym zaczęli się prostować. Żyły pulsowały im pod skórą. Głaz oderwał się od podłoża na grubość palca... na szerokość dłoni...

Bandir krzyknął. Kamień rozgiął ich ramiona, uwalniając się tym sposobem z uchwytu, i upadł na

ziemię. Persowie odskoczyli na boki.

Bandyci kłócili się między sobą, czy można to uznać za podniesienie głazu.

— Nie! — przerwał im Sitha. — Nie o to chodziło. To się nazywa podnieść. — Pochylił się nad większą kulą, objął ją ramionami i wyprostował się z taką łatwością, jakby trzymał w objęciach piłkę.

Bandyci zastygli z otwartymi ustami, a on ruszył na nich. Przezornie odskoczyli na boki.

Pięć kroków. Dziesięć. Rzucił kulę na ziemię i odwrócił się od osłupiałych zbójów.

— To się nazywa podnieść! — zaśmiał się szyderczo.

— Dobrze wiedzieć — stwierdził Conan sucho. — Może ja spróbuję?

S'tarra przestał się śmiać. Czerwone oczy patrzyły na młodzieńca ze zdumieniem i niedowierzaniem.

— Ty, człowieku? Odniesiesz ten kamień na stare miejsce?

— Zobaczymy — odparł młody barbarzyńca i pochylił się nad większą kulą.

— Dwa do jednego, że nie podniesie! — zawołał szybko Aberius. — Trzy do jednego!

Bandyci taksowali wzrokiem szeroką pierś i mocne ramiona barbarzyńcy. Interes Aberiusa szedł dalej.

Conan ukląkł i złapał kamień w najszerszym miejscu. Splatając palce, poczuł na sobie ponure spojrzenie Sithy.

Zaklął siarczyście i powoli oderwał głaz od podłoża. Mięśnie grały na jego plecach, bicepsy napięły się do granic wytrzymałości. Podniósł się, z oczami wlepionymi w S'tarra. Sitha cofnęła się o krok. Wyężając wszystkie siły, odchylony nieco do tyłu, Conan zrobił krok.

Potem drugi.

— Conan! — niemal z czcią powiedział jeden z bandytów.

— Conan! — powtórzył głośniejszy inny.

Zaciskając zęby z wysiłku, Cymmeryjczyk szedł dalej. Wzrok miał wlepiony tylko w kamień.

— Conan! — ozwały się jeszcze dwa głosy...

— Conan! — jeszcze pięć... Dziesięć...

— Conan! Conan! Conan! — huczało wśród gór dwadzieścia gardeł, coraz głośniejsze za każdym jego krokiem.

Doszedł do mniejszego głazu, uszedł jeszcze jeden krok i rzucił kulę na ziemię, aż ta jęknęła. Wyprostował się powoli i przeciągnął przy akompaniamencie trzasku stawów barkowych, po czym spojrzał na Sithę.

— Odniesiesz ten kamień na poprzednie miejsce? — zapytał.

Rozradowani bandyci rzucili się na Aberiusa. Stracił wszystko, co poprzednio zarobił, i jeszcze dołożył do interesu. Inni ściskali Conanowi rękę lub po prostu długo wpatrywali się w niego z uwielbieniem. S'tarra przycisnęła ręce do piersi, jakby pragnęła poczuć w nich stylisko topora.

Nagle od zamku rozległ się dźwięk potężnego gongu, niosąc się ponuro nad doliną. Na ten odgłos Sitha błyskawicznie odwrócił się i puścił biegiem w kierunku czarnej fortecy. Gong odzywał się raz po raz, odbijając się echem wśród gór.

— Atak? — zdziwił się Hordo.

Bandyci skupili się wokół jednookiego kapitana. Atmosfera euforii prysła. Niektórzy dobyli broni. Conan pokręcił głową.

— Brama jest otwarta, a katapulty i balisty nie napięte. Nie mam pojęcia...

Zamilkł. Dzikim galopem nadjechała Karela. Podparła się pod boki i spojrzała na nich wściekle.

— Co tu się dzieje? — zapytała surowo. — Słyszałam wasze potępińcze ryki, a zaraz potem ten piekielny gong.

Gong zamilkł już, ale wszyscy mieli jeszcze w uszach jego przenikliwy dźwięk.

— Nie pytaj mnie. Wiem tyle co ty — zapewnił ją Hordo.

— Sprawdź, co się dzieje — oświadczyła.

— Karela — zaczął Conan łagodnie — nie wydaje ci się, że lepiej poczekać?

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem, bez słowa zawinęła konia i puściła się galopem z powrotem do zamku. Podkowy karego ogiera krzesły iskry na skalistej ścieżce. Przy bramie na krótko ją zatrzymano, lecz zaraz potem wpuszczono do środka.

Krata w bramie opadła za jej plecami. Po chwili uniosła się znowu i wyjechał z niej galopem Sitha w pełnym rynsztunku wojennym, z potężnym toporem w dłoni, a za nim podwójna kolumna S'tarra. Długi, najeżony lancami wąż wślizgiwał się do odchodzącego na północ doliny wąwozu. Conan patrzył za nimi i liczył.

— Trzystu — powiedział, gdy stracił z oczu ostatniego jaszczura. — Jak myślisz, o co chodzi tym razem?

— Wszystko jedno, byle im nie chodziło o nas — odrzekł Hordo.

Bandyty stopniowo wrócili do swoich dawno wygasłych ognisk i rozbiwszy się na małe grupki, zabawiali się grą w karty i podobnymi rozrywkami. Aberius rozłożył na płaskim głazie trzy karty i jął zwabiać kompanów, by choć w części odegrać się po niefortunnych zakładach. Conan oparł się plecami o lekko pochylony występ skalny, skąd mógł widzieć zarówno zamek, jak i wąwóz, w którym zniknął Sitha ze swymi S'tarra. Mijały godziny, a on wciąż trwał na swoim posterunku. Raz tylko zmienił pozycję, gdy Hordo przyniósł mu mięso, ser i manierkę słabego wina.

Słońce krwawo zachodziło za górskimi szczytami, kiedy jaszczury zjawiły się u wylotu tego samego wąwozu, w którym poprzednio zniknęły.

— Chyba bez strat — zauważył cyklop, który stanął obok Conana, gdy tylko usłyszał tętent kopyt.

Barbarzyńca policzył wzrokiem lance.

— Zgadza się — skinął głową. — Jeszcze się obłowili. Pomiedzy rzędami S'tarra

galopowało dwadzieścia koni bez jeźdźców, każdy z podłużnym pakunkiem na grzbiecie.

Conan zwrócił uwagę na blade światło na wschodzie — nikły poblask wśród zapadającego zmroku. Pojawiało się i znikało. Znowu. Barbarzyńca zmarszczył czoło, i zaczął uważniej lustrować góry. Na północnym stoku, gdzieś bardzo wysoko, zobaczył podobny błysk.

— Myślisz, że Amanar wie, iż dolina jest pilnowana? — spytał Hordo.

— Pewnie od dawna — wzruszył ramionami Conan. S'tarra zbliżali się już do zamku.

Brama uniosła się ze zgrzytem, a jeźdźcy wpadli przez nią, nie zatrzymując się. — Myślę raczej o tym, kto jej pilnuje.

Cyklop gwizdnał przez zęby.

— W rzeczy samej, kogo tu jeszcze przyniosło? Ja nie podejmuję się tego zgadnąć.

Conan wiedział w każdym razie, kogo trzeba brać pod uwagę: Kezankijczyków,

zamoriańskich lub turańskich żołnierzy oraz Imhep–Atona. Ale nie miał pojęcia, kogo by sobie i bandytom najmniej życzył spotkać — może zresztą nie było to istotne. Czas naglił.

— Muszę dziś w nocy wydostać Velitę z pałacu, Hordo. Możecie z tego powodu mieć

kłopoty, ale muszę to zrobić.

— Coś mi się wydaje, że wczoraj mówiłeś to samo — mruknął Hordo. Od strony zamku nadjeżdżała Karela. — Powiem więcej: liczyłem na to. Może dzięki temu zdołalibyśmy wyrwać Sokolicę z mocy czarownika.

Rudowłosa zjechała ze wznesienia i skierowała się do obozu. Z jedną ręką na biodrze, pozwalała

nieść się koniowi. Ostatnie promienie ledwo widocznego zza gór krwawego słońca rzucały złoty blask na jej twarz.

— A jeżeli to się nie uda, to pójdiesz za nią, gdzie cię poprowadzi, nawet na koniec świata.

Tam, gdzie jej przyjdzie fantazja, choćby na stos ofiarny Kezankijczyków albo w diabelską niewolę Amanara.

— Nie. Już nie — odparł głucho brodac. — Jeżeli inaczej się nie da, to ostatnia przysługa, jaką oddam Czerwonej Sokolicy, będzie polegała na przywiązaniu jej do siodła i wywiezieniu przemocą w bezpieczne miejsce — stwierdził. — Ale to zrobię ja, Conan. Póki żyję, nikt nie podniesie na nią ręki. Nawet ty.

Barbarzyńca z udaną obojętnością spojrzał na zawzięty wyraz twarzy cyklopa. I tak przysięgł Kareli, że nie kiwnie palcem w jej obronie. Z drugiej jednak strony honor Cymmeryjczyka nie pozwoliłby mu patrzeć tak po prostu na jej śmierć. I tak źle, i tak niedobrze. Wolał więc milczeć.

Rudowłosa zatrzymała się przy nich. Osłoniła oczy ręką i spojrzała w kierunku zachodzącego słońca.

— Zupełnie nie wiem, dlaczego tak długo siedziałam u Amanara — mruknęła do siebie, po czym zwróciła się do nich. — Co się dzieje? Wyglądacie, jakbyście się mieli zaraz pozabijać.

A zdawało mi się, że jesteście jak bracia.

— W zasadzie miałaś rację — odparł Conan i wyciągnął rękę.

Tamten złapał ją i pomógł mu wstać.

— Nie damy się tak łatwo, co, Cymmeryjczyku?

— Będziemy jeszcze w Aghrapurze pili wino ze złotych kielichów — odrzekł Conan poważnie.

— O czym wy właściwie mówicie? — zdziwiła się Karela, ale nie czekała na odpowiedź.

— Hordo, zwołaj moje psy. Muszę z nimi pomówić, zanim nastanie ta przeklęta noc.

Cyklop skinął głową i odszedł, by spełnić jej polecenie. Czerwona Sokolica spojrzała na Conana, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale najwyraźniej się rozmyśliła. Dużo mielibyśmy sobie do powiedzenia, pomyślał, lecz nie zamierzał zaczynać rozmowy. Poszedł za

kapitanem.

Dopiero po chwili usłyszał spokojny stukot kopyt jej konia. Nie próbowała go dogonić.



— Chcecie złota?! — zawołała Karela. — No jak, chcecie?

Stała na wysokim bloku skalnym, trzymając się pod boki, z szeroko rozstawionymi nogami w wysokich czerwonych butach, a wiatr rozwiewał jej włosy niczym czerwony sztandar.

Wygląda urzekająco, pomyślał Conan, stojąc za półkolem bandytów, słuchających z wyczekiwaniem. Sam jej wygląd mógł skłonić do pójścia za nią.

— Pewnie, że chcemy! — warknął Reza.

Paru innych poparło go niemrawo, lecz pozostali patrzyli na nią w milczeniu. Aberius zamyślił się głęboko, przez co jego szczerze oczy wydawały się jeszcze bardziej złośliwe niż zwykle. Hordo z troską spoglądał to na Karełę, to na bandytów. Płonące wokół ogniska powstrzymywały nadchodzącą noc.

— Lubicie być ścigani przez wojsko i kryć się, każdy na własną rękę?! — zawołała Czerwona Sokolica.

— Nie! — odpowiedziało kilka głosów.

— Lubicie żyć pół roku z nędznego żołdu strażników karawan?

— Nie! — krzyknęło już kilkunastu.

— A wiecie, że niecałe pół dnia drogi stąd przebiega szlak karawan i że właśnie zbliża się tu karawana zmierzająca do Sultanapury? Wiecie, że za trzy dni od dzisiaj ta karawana będzie nasza?

Rozległ się zbiorowy ryk zachwytu. Conan dostrzegł, że tylko jeden Aberius nie przyłączył się do niego. Gdy inni wymachiwali szablami i klepali się nawzajem po ramionach, oblicze tropiciela stawało się coraz bardziej pochmurne.

— Wojsko nic nam nie zrobi! — ciągnęła Karela. — Bo wrócimy tutaj, a oni nie będą nas tak daleko ścigać. Zamoriańscy żołnierze nie należą do mężczyzn, którzy by się tu zapuszczali.

Zbiorowe podniecenie sięgnęło zenitu. Bandyci byli tak zajęci rozpamiętywaniem, jak to zamoriańscy żołdacy nie dorastają im do pięt, że nie przyszło im do głowy zastanawiać się, jak sami się spisywali podczas tej wyprawy. Karela podniosła ręce i wygrzewała się w ciepłe uwielbienia swoich psów. Hordo podszedł ciężkim krokiem do Conana.

— Znowu jemy jej z ręki. Myślisz... — urwał z wahaniem.

Barbarzyńca wrzucił ramionami.

— Ja ci radzę — powiedział — rób, jak uważasz.

Brodacz dalej patrzył na niego niepewnie. Conan westchnął. Wcale nie chciał, by tego potężnego bandytę spotkała śmierć.

Zmrok gęstniał już w czarną noc. Wydawało się, że powietrze staje się duszącą masą.

— To ja znikam — oznajmił młodzieniec. — Mam nadzieję, że tego nie zauważą.

— Powodzenia — mruknął Hordo.

Conan wycofał się z kręgu światła i ruszył w górę po skalistym zboczu. Wiatr gnający chmury odsłonił księżyc. Za wszelką cenę chciał się znaleźć jak najbliżej zamkowych murów, zanim noc całkiem spowije dolinę.

Nagle zatrzymał się i bezszelestnie dobył miecza. Żaden dźwięk nie dotarł wprawdzie do jego uszu ani bystre oczy nie zarejestrowały żadnego ruchu, ale wyczulone zmysły barbarzyńcy zasygnalizowały, że w ciemnościach przed nim coś jest.

Ciemność jakby zgęstniała, pofałdowała się i wybrzuszyła w podłużny cień.

— Skąd wiedziałeś? — rozbrzmiał cichy głos Imhep–Atona. — Zresztą, to nieważne.

Doprawdy, nie potrzebuję cię już. Twoje żałosne starania są daremne. Lecz jak szczur, który płacząc się pod nogami walczących wojowników może spowodować upadek jednego z nich i przyprawić go o śmierć, tak i ty możesz narazić na poważne kłopoty tych, którzy są więksi od ciebie.

Ciemna postać ruszyła na Conana. Ujrzał jej wyciągniętą, ale bezbronną rękę.

Nagle za jego plecami zgrzytnął nadepnięty ciężkim butem kamień. Przykucnął i raczej wyczuł, niż dojrzał, lancę, przeszywającą powietrze nad jego głową. Ujął miecz oburącz i uderzył tam, gdzie musiał się znajdować korpus ukrytego w ciemności napastnika, nieco poniżej czerwonych ogników. Poczul opór kolczugi i ciała pod sztychem. Lanca uderzyła go po ramieniu, czerwone oczy zgasły. Wyciągnął miecz z padającego kadłuba.

Błyskawicznie się odwrócił. W każdej chwili oczekiwał ciosu Imhep–Atona lub

przynajmniej jego stalowego spojrzenia, zamiast tego jednak ujrzał trzy niewyraźne postacie, splątane w śmiertelnej walce. Syczący krzyk zamarł i jeden z cieni upadł. Pozostałe dwa walczyły nadal.

Zsuwające się po zboczu kamyki zapowiadały przybycie dalszych S'tarra. Na zamkowych murach rozbrzmiewał dźwięk wielkiego gongu. Krata w bramie ze zgrzytem ruszyła do góry.

Conan ujrzał zbliżające się, jeszcze w dość znacznej odległości od niego, dwie pary żarzących się oczu. Przez chwilę zastanawiał się, czy jaszczury widzą w ciemności i czy mogą go rozpoznać. Widząc oczy, był w stanie ustalić, gdzie powinny być lance.

Modląc się w duchu do Bela, boga złodziei, Cymmeryjczyk skoczył naprzeciw tego S'tarra, który znajdował się bliżej. Miecz świsnął tam, gdzie według jego obliczeń powinna być lanca.

Klinga z głośnym trzaskiem przecięła cienkie drzewce. Kopnął niewidoczną postać.

Odpowiedział mu syk bólu. Zakręcił mieczem nad głową i ciął tam, gdzie, jak się spodziewał, przeciwnik ma szyję.

Druga lanca ugodziła go w żebra. Konający S'tarra w ostatnim odruchu złapał go za nogę i przewrócił na ziemię. Inny stał już nad nim. Oczy płonęły mu z radości... Nagle zawył

straszliwie, gdy stal turańskiego miecza przecięła mu nogę w kolanie. Padł obok

poprzedniego. Conan zerwał się, miecz znów świsnął w powietrzu — i trafił pomiędzy świecące oczy.

Od strony zamku słychać było pospieszne kroki. Barbarzyńca szybko wyciągnął miecz z głowy konającego jaszczura i uciekł w mrok.

W obozie wszyscy już byli na nogach i zbierali się na brzegu kręgu światła. Każdy patrzył

na zamek, z którego wciąż dochodził dźwięk gongu. Conan zatoczył łuk wokół obozu, oderwał kawałek płótna od przepaski biodrowej, wytarł klingę miecza, schował go do pochwy i dołączył do bandytów.

Z ulgą stwierdził, że nikt oprócz kapitana nie zauważył jego odejścia i powrotu. Wszyscy patrzyli na zbliżających się S'tarra. Młodzieniec wrzucił zakrwawiony strzęp do ognia, wziął

z posłania swoją pelerynę i, żeby ukryć długą ranę między żebrami, narzucił ją sobie na ramiona.

— Co się stało? — spytał szeptem Hordo. — Jesteś ranny!

— W ogóle nie dotarłem do zamku — odpowiedział równie cicho Conan. — Aha, już

wiem, kto nas śledzi. — Przypomniał sobie o drugim błysku i dodał: — Tak mi się

przynajmniej wydaje.

Cyklop chciał go o coś zapytać, ale zrezygnował. Do obozu wkraczali S'tarra, z Sithą na czele.

Bandyci cofnęli się nieco, groźnie szemrząc. Jaszczury weszły w krąg światła.

Nieporuszona Karela stała na dawnym miejscu. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z pogardą patrzyła na Sithę.

— Czego chcecie? — spytała ostro. — I to jeszcze z bronią!

— Dziś w nocy zabito kilku S'tarra — odrzekł Sitha, z wyższością mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. — Przeszukam twój obóz i przesłucham twoich ludzi, żeby sprawdzić, czy któryś z nich nie miał z tym coś wspólnego.

Rozległ się pomruk protestu, a tu i ówdzie trzaskanie szabel.

— Nie radzę — zimno odparła Sokolica. — Może to was kosztować życie. Coś takiego jak wy nie będzie przeszukiwało mojego obozu. Wybij to sobie z głowy. A jeżeli wasz mistrz ma jakieś pytania, to mogę z nim porozmawiać. Ale — dodała z pogardą — z nim, a nie z jego bydłem!

Sitha zadrżał z wściekłości. Szponiaste palce zacisnęły się na stylisku potężnego topora.

— Możesz się łatwo przekonać — zasyczał złym głosem — że rozmowa z moim mistrzem jest o wiele mniej przyjemna niż ze mną! — Odwrócił się na pięcie i wyszedł z kręgu światła, a za nim reszta S'tarra.

Gdy ostatni jaszczur rozplynał się w mroku, Czerwona Sokolica zwróciła się do swoich ludzi:

— Jeśli któryś z was miał z tym coś wspólnego — rzekła ostro — obetnę mu uszy!

Roztrącając ich na boki, wyszła z kręgu ludzi i zniknęła w czerwonym namiocie.

Hordo odetchnął głęboko i odciągnął Cymmeryjczyka na stronę.

— Conan, o co tu chodzi?

Także pozostali bandyci, podzieliwszy się na mniejsze grupki, próbowali odgadnąć, co się stało. Aberius stał na uboczu, patrząc na Conana i cyklopa.

— Zabiłem trzech S'tarra — odrzekł barbarzyńca. — A Imhep–Aton dwóch innych. Albo zabił jednego i sam zginął, w co jednakże nie wierzę.

— Ten sam Imhep, który nasłał na ciebie Kratona? — przestraszył się Hordo. — Jeszcze tylko brakowało nam w tej zapowietrzanej dolinie drugiego czarownika! Trzeba o tym powiedzieć Kareli...

— Lepiej nie! — przerwał mu prędko Conan, chwytając go za ramię. — Po co? Żeby o tym doniosła Amanarowi? Wydaje mi się, że ci dwaj zbyt się nie kochają. Jeśli się wezmą za łby, każdy z nas ma szansę wyzwolić swoją kobietę z mocy Amanara.

— Myślisz o czymś takim, jak to było z żołnierzami i Kezankijczykami... — zamyślił się Hordo. — To by nie było złe. Niech się zmierzają ze sobą, a my przeczekamy gdzieś w bezpiecznym miejscu. Ale tam, gdzie walczy dwóch czarowników, może być gorąco —

zaśmiał się gorzko. — W każdym razie powtarzam to, co już mówiłem: jeżeli nie zginiesz zbyt wcześnie, zostaniesz co najmniej generałem, a może nawet i królem. Osiągali to dużo słabsi od ciebie.

— Nie mam zamiaru próbować — uśmiechnął się Conan. — Jestem złodziejem. A Imhep—

Aton przynajmniej nie ma nic do was i Kareli. — Czego nie mógł niestety powiedzieć o sobie. — Za długo mnie nie ma w zamku — dodał. — Coś mi mówi, że Velita musi

wytrzymać u Amanara jeszcze jeden dzień. Chodź, pomożesz mi znaleźć niepostrzeżenie jakiś opatrunek na to draśnięcie. Poza tym napiłbym się czegoś...

Tak półgłosem rozmawiając, weszli w głąb obozu. Aberius spojrzął za nimi i w zamyśleniu oblizał wargi. Potem wybiegł w ciemną noc.

Conan spojrział na niebo.

Słońce było już wysoko. Wstawał kolejny dzień po walce ze S'tarra. Karela od rana przebywała u Amanara. Bandyty spali, pili lub grali w kości, próbując w promieniach słońca zapomnieć o nienaturalnej ciemności nocy.

Cymmeryjczyk siedział ze skrzyżowanymi nogami na ziemi i ostrząc miecz, spoglądał na czarny zamek. Aby ukryć swoją zabandażowaną ranę, włożył długą do kostek czarną pelerynę. Ujrawszy przechodzącego jaszczura, położył miecz na kolanach.

— Czy to ty jesteś Conan z Cymmerii? — zasyczał gad.

— Tak, to ja.

— Wzywa cię ta, którą zowią Karela.

Po nocnej wizycie S'tarra nie było już dalszych prób wypytywania bandytów o zdarzenia na zboczu góry. Conan nie sądził więc, by zaproszenie, czy raczej wezwanie do zamku, miało z tym jakiś związek. Wstał i schował miecz do pochwy.

— Idź przodem! — zażądał.

Gdy wchodził głównym wejściem do zamku, był bardziej zdenerwowany, niż kiedy w ciemną noc przełaził przez mur. Straże jednak ledwo rzuciły na niego okiem.

W potężnej głównej wieży S'tarra zaprowadził go do dużych dwuskrzydłowych drzwi, wykonanych, ku zdumieniu Conana, z poczernionego złota. Na każdym skrzydle wisiała głowa węża, otoczona wieńcem promieni. Jaszczur uderzył w mały srebrny gong na ścianie.

Barbarzyńca poczuł lekki dreszcz, gdy drzwi same się otworzyły. S'tarra gestem ręki zaprosił go do środka.

Conan zdecydowanym krokiem minął potężny próg i ruszył w głąb pomieszczenia. Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem, sugerującym coś wielkiego i nieodwracalnego.

Ostrołukowe sklepienie ogromnej sali wspierało się na wyrastających z marmurowej mozaiki potężnych kolumnach z rzeźbionej kości słoniowej. W sporej odległości od drzwi, na złotym tronie, siedział Amanar. Zza jego pleców wyrastał złoty wąż, przenikliwie patrzący na przybysza rubinowymi oczami. Nawet płaszcz czarownika był złoty — tysiące zachodzących na siebie łusek błyszczało w świetle lamp.

Gdy Conan wszedł do sali, muzykanci opuścili ją przez boczne wejście. W pomieszczeniu pozostały

trzy osoby: siedzący na tronie Amanar, Cymmeryjczyk pośrodku sali oraz stojąca obok tronu z kielichem w dłoni Karela.

Dziewczyna na widok Conana odstawiła puchar.

— A ty tu po co? — spytała ostro. W wielkiej komnacie nie było za ciepło, lecz na jej twarzy perlił się pot. Miała przyspieszony oddech.

— Sprowadzono mnie, bo chciałaś ze mną porozmawiać — odrzekł barbarzyńca i na wszelki wypadek położył rękę na mieczu.

— Nie posyłałam po ciebie!

— Pozwoliłem sobie zaprosić go tutaj w twoim imieniu — wyjaśnił Amanar — aby mieć pewność, że przyjdzie.

— Pewność? — Spojrzała ze zdumieniem na czarownika. — A dlaczego miałby nie przyjść?

Amanar wyduł wargi i przejechał po nich berłem.

— Dziś w nocy — powiedział, patrząc z rozbawieniem na Conana — zabito pięciu moich S'tarra.

Młodzieniec zastanawiał się, z której strony może się spodziewać katowskich pacholków.

Za lasem kolumn mógł przecież znajdować się tuzin drzwi.

— Myślisz, że to Conan ich zabił? — zdumiała się Czerwona Sokolica. — Przecież rano już o tym rozmawialiśmy. Wtedy nic takiego nie twierdziłeś...

— Czasami — odparł czarownik — lepiej jest trochę poczekać, aby sprawca poczuł się pewniej. Ale widzę, że potrzebujesz dowodów... — Lekko uderzył berłem w kryształowy dzwon, zawieszony obok tronu na srebrnym uchwycie.

Drzwi, przez które przedtem wyszli muzykanci, otworzyły się i stanął w nich Aberius.

Wszedł do środka z wyraźnym ociąganiem. Spoglądał to na Amanara, to na Conana, jakby próbował ocenić dzielącą go od nich odległość. Wytarł ręce w swą żółtą kurtkę.

— Mów! — rozkazał czarownik.

Szczurza twarz Aberiusa zadrżała. Głośno przełknął ślinę.

— Zeszłej nocy, długo przed gongiem, widziałem Conana, jak wychodził z obozu. —

Bandyta starał się nie patrzeć na Karełę. — Zaskoczyło mnie to, ponieważ ciemność tutejszych nocy

wywiera na nas niesamowite wrażenie. Nikt bez ważnego powodu nie wyszedłby z obozu. I nikt inny tego nie zrobił w ciągu obu ostatnich nocy. Po alarmie Conan powrócił z raną w boku. Idę o zakład, że pod tą peleryną ma bandaż.

— Dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie, Aberiusie? — zapytała z gniewem Karela.

Spojrzała na barbarzyńcę, jakby chciała przebić go wzrokiem na wylot. — Conanie!

Powiedziałam, że każdy, kto ma coś wspólnego z tą sprawą, straci uszy i...

— Obawiam się — przerwał jej Amanar sucho — że to jest sprawa między mną a tym tutaj.

To byli moi słudzy i to ja wyznaczę karę. Aberiusie, możesz już iść. Złoto dostaniesz przy bramie.

Donosiciel otworzył usta, lecz zaraz je zamknął i wybiegł szybko z sali. Drzwi zamknęły się za nim.

— Dlaczego, Conan? — zapytała bandytka cicho. — Czy ona aż tak wiele dla ciebie

znaczy? — Zacisnęła powieki i odwróciła głowę. — Jest twój — rzekła.

— Nie tak ostro, siostrzyczko! — Miecz błysnął w świetle lamp. — Oddajesz nie swoje!

Nie jestem niczyją własnością i nigdy nią nie będę!

Amanar powstał i władczy gestem uniósł berło.

— Możesz przedłużyć swój nędzny żywot, barbarzyńco. Jeśli upadłszy na twarz, oddasz mi pokłon i będziesz błagać o przebaczenie, być może okażę ci łaskę.

Czarownik ruszył powoli ku Cymmeryjczykowi.

— Pachołku księcia ciemności! — ryknął Conan. — Nie zbliżaj się do mnie! Znam wasze sztuczki z proszkiem, który zabija, gdy się nim odetchnie.

Postać w złotym płaszczu ani nie przyspieszyła, ani nie zwolniła kroku.

— Ostrzegam!

Amanar był coraz bliżej...

— Sam wybrałeś, umieraj więc!

Conan skoczył naprzód ze zwinnością atakującego sokoła. Amanar potrząsnął berłem, z którego czubka wzbiła się chmura cytrynowożółtego dymu. Barbarzyńca wstrzymał oddech i wbił miecz aż po rękojeść w pierś czarownika. Przez chwilę stali złączeni mieczem, oko w oko, pierś w pierś...

Mięśnie Conana zwiotczały, jakby nagle zasnął na stojąco. Padając chciał krzyknąć, lecz w upiornej ciszy rozległo się tylko uderzenie ciała o marmurową posadzkę. Rozpaczliwie próbował złapać



oddech. Jego mięśnie drżały mimo woli.

Amanar pochylił się nad nim i spojrzał nań niczym na martwego ptaka, który spadł na zamkowy dziedziniec.

— Wyciąg ze złotych płatków kithajskiego lotosu — wyjaśnił tonem towarzyskiej

pogawędki. Na jego wargach błąkał się okrutny uśmiech. — Działa przez poruszenie, a nie przez oddech, mój ty doświadczony złodzieju. Jeżeli nie poda się odtrutki, nastąpi paraliż kolejnych części ciała, z sercem na ostatku. Z tego, co wiem, będziesz czuł, jak umierasz cal po calu.

— Amanarze — szepnęła Karela. — Miecz! — Dziewczyna cały czas stała obok tronu, trzymając się drżącą ręką za usta.

Czarownik spojrzał na miecz, jakby kompletnie zapomniał, że ma go w piersi. Złapał rękojeść i wyciągnął ostrze. Wyraźnie ucieszył się, gdy zobaczył osłupienie bandytki.

— Widzisz, moja droga Karelo? Żadna ludzka broń mnie nie ruszy. — Z pogardą rzucił miecz na ziemię, tuż obok Conana.

Cymmeryjczyk usiłował sięgnąć dłonią do tak blisko leżącej rękojeści, ale ręka drgała tylko w konwulsjach.

Amanar z brzydkim uśmiechem na twarzy kopnął rękojeść miecza, tak że niemal dotykała drżącej dłoni barbarzyńcy.

— Jeszcze zanim Aberius cię wydał, podejrzewałem, że to ty zabiłeś moich S'tarra, jakkolwiek dwóch spośród nich ma nietypowe obrażenia. Dowiedz się, że i Velita cię zdradziła. — Jego śmiech przypominał trzeszczenie piłowanych kości. — Czar, któremu ją poddałem, sprawił, że opowiedziała mi ze szczegółami o waszym spotkaniu. Nie przeczę jednak, że ze łzami w oczach błagała, bym ją zabił, zanim wbrew swej woli wypowie te zdradzieckie słowa. — Znowu zaśmiał się szyderczo.

Conan próbował zakląć, lecz z jego ust wydobył się tylko cichy pomruk. Przysiągł sobie, że zabije tego potwora, choćby musiał w tym celu wrócić tutaj jako upiór z krainy umarłych.

Zimne, lekko zamglone oczy czarownika patrzyły na niego w zamyśleniu. Czerwone punkciki w czarnych otchłaniach zdawały się tańczyć.

— Szalejesz z gniewu — rzekł — ale na razie nie czujesz strachu. Gdy tak ogromna wola walki zostanie już złamana, przeradza się w nie mniej obłądny strach, A ja cię złamię, Conanie z Cymmerii.

— Amanarze, proszę — wtrąciła się Karela. — Jeśli musi umrzeć, to zabij go, ale nie torturuj.

— Jak sobie życzysz — powiedział czarownik obojętnie. Wrócił na tron i znów uderzył w kryształową kulę.

Przez małe drzwi, za którymi zniknął Aberius, wszedł Sitha, a za nim czterech innych S'tarra z noszami z twardego drewna. Rzucili Conana na deski i przywiązali pasami do noszy.

Kiedy go wynosili, młodzieniec usłyszał głos Amanara:

— Mamy wiele do omówienia, moja kochana Karelo. Podejdź bliżej...

Drzwi się zamknęły.

Conan leżał spokojnie, gdy czterech uzbrojonych S'tarra niosło go pod dowództwem Sithy poprzez zamkowe korytarze. Chwilowo nie mógł zrobić absolutnie nic. Ciągłe próbował

zaciśnąć prawą dłoń. Chociaż poruszyć na początek jednym palcem... Ale ręka drgała tylko, jak gdyby żyła własnym życiem. Mało tego, zaczynał już tracić władzę nad mięśniami oddechowymi.

Z kapiącego przepychem korytarza S'tarra przeszli przez łukowate drzwi na kręte kamienne schody. Po nich zeszli w dół. Znikł cały przepych, a wygładzone w górnej części schodów ściany ustąpiły miejsca ponurym murom z grubo ciosanego kamienia. Byli głęboko pod zamkiem. Ci, którzy tu trafiali, i tak nie mieliby czasu na podziwianie cennych gobelinów i barwnych marmurowych posadzek.

Sitha uderzył pięścią w masywne, okute żelazem drzwi. Ku zdziwieniu Conana otworzył je człowiek. Pierwszy człowiek w tym zamku, który nie wbijał wzroku w ziemię.

Był niższy od młodego barbarzyńcy, ale mocniej zbudowany. Napiętą na mocnych

mięśniach skórę namaścił sobie tłuszczem. Patrzył na barbarzyńcę świńskimi oczkami, osadzonymi w twarzy przypominającej księżyc w pełni.

— Hej, Sitha — powiedział zdumiewająco wysokim głosem. — Znowu przyprowadziłeś gościa Ortowi?

— Odsuń się, Ort! — syknął Sitha. — Wiesz, co do ciebie należy? To nie trać czasu.

Tłuscioch zachichotał jak panienka.

— Chciałoby się odciąć Ortowi głowę tą śliczną siekierką, co, Sitha? Ale Amanar

potrzebuje Orta w swojej sali tortur. Wam, S'tarra, brakuje cierpliwości i zabijacie, zanim więzień odpowie na wszystkie pytania.

— Ten tutaj już jest jak trup — odrzekł pogardliwie Sitha. Odwrócił się obojętnie i wierzchem dłoni uderzył Conana w twarz. Ort znów zachichotał.

Barbarzyńca poczuł krew między wargami. Nadludzkim wysiłkiem wydobył z siebie kilka słów:

— Zabiję... cię... Sitha!

Ort wytrzeszczył świńskie oczka.

— On mówi? Po proszku?! Silny okaz!

— Silny? — warknął Sitha. — Nie tak jak ja. — Tym razem na twarzy Conana wylądowała pięść

tak, że skóra pękła. S'tarra chwilę stał nad nim ze wzniesioną ręką i wyszczerzonymi zębami, potem z wyraźnym wahaniem opuścił ją. — Zabierz go do celi, Ort, zanim zapomnę o rozkazie mojego mistrza.

Ort chichocząc ruszył wąskim korytarzem. W gołych kamiennych ścianach co parę kroków widniały okute żelazem drzwi. Grubas zatrzymał się przed jednymi z nich i którymś z wiszących u jego pasa kluczy otworzył ciężki zamek.

— Tam już jeden siedzi — mruknął. — Zrobi się wam trochę ciasno.

Pod czujnym okiem Sithy strażnicy rozpięli pasy, unieśli Conana z noszy i wrzucili do celi, po czym — założywszy mu kajdany na ręce i nogi — przykuli go do ściany. Cymmeryjczyk ujrzał drugiego więźnia, przykutego do przeciwległej ściany ponurej celi. Był to zamoriański kapitan, na którego oddział Conan napuścił ścigających go Kezankijczyków.

Gdy pozostali S'tarra opuścili celę, Sitha stanął nad leżącym barbarzyńcą.

— Gdyby to ode mnie zależało — syknął gniewnie — już byś nie żył. Ale mój pan ma w stosunku do ciebie inne plany. — Wyciągnął niewielką butelkę, odkorkował ją i wsadził mu między zęby. — Twoja dusza jest potrzebna mistrzowi, ale to, co z ciebie zostanie, będzie pewnie moje.

Z syczącym śmiechem schował pustą butelkę, wyszedł z celi i z hukiem zatrzaskał za sobą ciężkie drzwi.

Conan czuł, jak siły stopniowo wracają do jego członków. Z trudem oparł się na łokciach, wreszcie zdołał usiąść plecami do zimnej kamiennej ściany.

Zamoriański kapitan smętnie spojrział na niego ciemnymi oczami. Na jego ramionach i na piersi pod podartą koszulą widniały podłużne oparzeliny.

— Jestem Haranides — rzekł po chwili. — Z kim mam zaszczyt dzielić ten... hmm...

lokal?

— Jestem Conan — odparł Cymmeryjczyk. Barbarzyńca zainteresował się przez chwilę konstrukcją swoich kajdan. Obręcze na nadgarstkach łączył długi na trzy stopy łańcuch, przechodzący przez żelazny pierścień w ścianie. Podobnie skrupowano mu nogi. Całość była o wiele za mocna, by mógł ją zerwać. Choćby był w pełni sił, na co w dającej się łatwo przewidzieć przyszłości nie liczył, i tak nie mógłby marzyć o uwolnieniu się.

— Conan... — zamyślił się Haranides. — Słyszałem twoje imię w Shadizar, złodzieju.

Szkoda, że cię nie poznałem przy naszym poprzednim spotkaniu.

— O! — uśmiechnął się blado barbarzyńca. — Widzę, że mnie pamiętasz!

— Kogoś, kto ma takie bary, nieprędko się zapomina. Tym bardziej gdy daje ci w prezencie dwustu

Kezankijczyków.

— Goniliście nas. Tylko dlatego to zrobiłem.

— Goniłem cię — odrzekł Haranides rozgoryczony. — A ściślej biorąc, goniłem Czerwoną Sokolicę i klejnoty, które ukradła Tiridatesowi. A może to ty włamałeś się do pałacu i wymordowałeś połowę dworu?

— Ani ja, ani Czerwona Sokolica — dobił go Conan. — To zrobili S'tarra, znaczy te jaszczury, które nas pilnują. My goniliśmy ich, a wy goniliście nas. Skąd się w takim razie wzięłeś w lochach Amanara?

— Stąd, że dalej goniłem tę rudą kurwę, zamiast jak normalny człowiek wrócić do Shadizar i dać się skrócić o głowę. — Spojrzał ponuro na młodzieńca. — Niedaleko stąd, w wąskim wąwozie, te potwory... S'tarra, tak? spuściły na nas lawinę. Z oddziału przeżyło tylko dwudziestu. Mieliśmy jednego Kezankijczyka za przewodnika, ale nie wiem, czy w pułapkę wciągnął nas specjalnie czy przypadkiem. Nie wiem też, czy żyje...

— Ale tych pęcherzy nie dostałeś chyba od spadających kamieni?

Haranides spojrzał posepnie na swoje ramiona.

— Szef tego więzienia, niejaki Ort, lubi bawić się rozżarzoną żelazną. Jak na osobnika tej postury jest niesamowicie zwinny. Dlatego — potrząsnął kajdanami — nie zdołałem ani go zaatakować, ani mu uciec.

— Jak tu się znowu zjawi z tym żelastwem — rzekł Conan żywo — może jeden z nas zdoła go przytrzymać, a drugi zwieje.

Rozciągnął łańcuchy najdalej, jak mógł. Z jękiem zawodu oparł się znów o ścianę. Między nim a Haranidesem było jeszcze tyle miejsca, że Ort spokojnie mógł uciec, nie narażając się na niebezpieczeństwo, a z jednym z nich grubas poradzi sobie bez trudu.

— Mam wrażenie — zmarszczył czoło kapitan — że powiedziałem ci dużo więcej niż

Ortowi. Conan, jak to się właściwie stało, że cię związali jak barana i wrzucili tutaj?

— Nie doceniłem pomysłowości pewnego czarownika — odparł zdawkowo

Cymmeryjczyk.

Miał ochotę sam siebie zdzielić w pysk za to, że tak łatwo dał się podejść. Gdyby wszystko na początku przemyślał, to Amanar musiałby się strzec jego, a nie odwrotnie. Tymczasem przez własną głupotę pozwolił się podejść jak trzyletnie dziecko. Na dobitkę stało się to na oczach Kareli.

— Pracowałeś dla niego? — zapytał Haranides.

Pałacy wzrok Conana mówił sam za siebie.

— Może nadal pracujesz dla niego i masz wyciągnąć ze mnie to, o czym nie chciałem mówić z Ortem?

— Czy ten kabalarz odebrał ci rozum?! — ryknął wściekle Conan. Zerwał się na równe nogi, łańcuch jednak nie pozwolił mu skoczyć na towarzysza niedoli. Przynajmniej wiem, że nie mogę utrzymać się na nogach, pomyślał. Usiadł pod ścianą, śmiejąc się ponuro. — Loch nie jest miejscem do walki — mruknął. — Zresztą nie jesteśmy w stanie nawet się dotknąć.

Niemniej jednak, radzę ci uważać na swoje słowa. Nie pracuję dla czarownika!

— Powiedzmy, że tak — mruknął kapitan i zamilkł.

Conan usadowił się na tyle wygodnie, na ile pozwalało mu twarde skalne podłoże. Jako chłopiec sypiał już w górach w gorszych warunkach, choć nikt go do tego nie zmuszał. Teraz jednak nie zamierzał spać, gdyż chciał przemyśleć swoją nową sytuację i ustalić, jak stąd uciec i zabić Amanara. Musi rozprawić się z czarownikiem, choćby sam miał przy tym stracić życie. Ale jak zabić kogoś, komu można wpakować w pierś trzy stopy stali, a on dalej żyje i nawet nie krwawi? To był problem.

Niektórzy mają amulety o działaniu związanym z ich osobą. Takiego talizmanu można użyć przeciwko jego właścicielowi. Od razu przypomniał sobie oko Erlika, dzięki któremu doprowadzono do zguby Hansa z Zambouli — co prawda niezupełnie dzięki

nadprzyrodzonym siłom. Fakt, że Amanar strzegł znanego Conanowi medalionu jak źrenicy oka, wskazywał, że chodzi tu o taki właśnie amulet. Był pewien, że z jego pomocą można zabić czarownika. Nie wiedział tylko, jak.

Najpierw jednak trzeba się stąd wydostać. Przypomniał sobie wszystko, co widział w drodze do lochu, o czym wspominał Ort i co opowiedział mu Haranides...

Plan zaczął się układać w logiczną całość. Na razie musi trochę poczekać. Na szczęście miał

cierpliwość polującego lamparta. Nie darmo przecież był góralem z Cymmerii — jednym z piętnastu szaleńców, którzy napadli na Kesharium i zrabowali jego aąquilońskie złoto. A jeszcze wcześniej przyznano mu miejsce w kręgu rady szczepu... Od tego czasu przeżył

wiele: patrzył z bliska, jak chwiały się trony i nieraz pomógł temu czy owemu monarsze odzyskać lub stracić władzę. Nauczył się, że umieć walczyć, to także umieć czekać. Więc teraz poczeka, aż przyjdzie czas. Mijały godziny.

Zgrzyt ciężkiego zamka w drzwiach przeszył go dreszczem. Próbował się rozluźnić. Jakimś cudem zdołał prawie odzyskać siły, ale musiał się mieć na baczności.

Drzwi otwarły się z trzaskiem i dwaj S'tarra wciągnęli do celi nieprzytomnego człowieka.

Był to Hordo. Oparli go o przeciwległą ścianę, pod trzecim pękiem łańcuchów, i zacisnęli na jego przegubach cztery żelazne obręcze. Wyszli z celi, nie rzuciwszy nawet okiem na dwóch pozostałych więźniów. Drzwi jednak pozostawały otwarte.

W progu celi stanął Amanar. Paradną złotą szatę zamienił na czarny płaszcz, zdobiony złotymi wężami. Bawiąc się czymś, co miał na piersi pod szatą, rozejrzał się zimnym wzrokiem po lochu.

— Fatalnie — mruknął ledwo słyszalnym głosem. — Z was trzech mogłem mieć więcej

pożytku niż ze wszystkich pozostałych razem wziętych, oczywiście nie licząc Kareli, ale niestety musicie umrzeć.

— Zamierzasz zamknąć nas wszystkich? — zainteresował się Conan, nawet nie próbując udawać szacunku, i wskazał brodą skulonego pod ścianą kapitana.

Cyklop poruszył się nieznacznie. Amanar spojrzał na niego tak, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność.

— Bynajmniej, Cymmeryjczyku. Ten tutaj włóczył się, gdzie nie trzeba, podobnie jak ty i Talbor. Reszta zostanie na wolności, dopóki nie przestaną być dla mnie użyteczni.

Kajdany Haranidesa zabręczały.

— Mitra niechaj przeklnie twą brudną duszę! — zgrzytnął kapitan.

Czarownik jakby tego nie słyszał. Popatrzył dziwnie na Conana.

— Velita — powiedział niemal szeptem — oczekuje mnie w pracowni. Kiedy wykorzystam ją po raz ostatni, umrze, a potem spotka ją coś znacznie gorszego od śmierci. Śmierć jest straszna, barbarzyńco, ale bywa stokroć straszniejsza, gdy przestaje istnieć dusza, która mogłaby obudzić się w innym świecie.

Twarz Conana mimo woli ściągnęła się w grymas. Rozległ się mrozący krew w żyłach śmiech Amanara.

— Ciekawe zjawisko, Cymmeryjczyku. Bardziej lękasz się o innych niż o siebie.

Doprawdy, ciekawe. Może się to okazać bardzo pożyteczne. — Wyszedł z celi, żegnając ich szatańskim śmiechem.

Haranides spojrzał na zatrzaśnięte drzwi.

— Samym oddechem zatruwa powietrze — mruknął.

— Dwa razy — powiedział Conan w zamyśleniu — słyszałem o duszach oddzielonych od ciała. Znałem jednego takiego, co umiał kraść dusze.

Kapitan splunął przez lewe ramię.

— Jak go poznałeś? — zapytał ze zgrozą.

— Ukradł mi duszę — odparł spokojnie barbarzyńca.

Haranides zaśmiał się nerwowo, nie wiedząc, czy nie chodzi tu o jakiś makabryczny żart.

— I co zrobiłeś? — spytał na wszelki wypadek.

— Zabiłem go i odzyskałem swoją duszę.

Conan zadrżał na to wspomnienie. Niełatwo było odzyskać duszę. Istotnie, bardziej niż śmierci bał się tego, że znowu ją straci — tym razem może już na wiečność. A właśnie to mogło spotkać Velitę, może również Karełę — chyba że zdołałby temu przeszkodzić.

Hordo jęknął cicho, wyprostował się z wyraźnym trudem i oparł plecami o ścianę. Słyszając chrzęst łańcucha, ze zdziwieniem przyjrzał się swoim kajdanom i szybko zamknął oczy.

— Co się stało, Hordo? — zapytał Conan. — Wrzuciło cię tu dwóch S'tarra, Amanar był przy tym. Mówił, że włóczyłeś się tam, gdzie nie trzeba. Co zrobiłeś?

Twarz cyklopa wykrzywiła się, jakby od płaczu.

— Wyszła z obozu i bardzo długo nie wracała — wydusił z siebie odpowiedź. — Ty też.

Trochę mnie to zmartwiło. Zbliżała się noc, więc jak pomyślałem, że miałaby zostać w zamku albo wracać sama w ciemnościach... Przy bramie trochę się krzywili, ale wpuścili mnie, a jeden sprowadził Sithę. Poszedłem do takiej wielkiej sali, w której na złotym tronie siedział

ten padalec Amanar, niech go Mitra blaskiem swoim najjaśniejszym trapi... — Urwał na chwilę, jakby mu było trudno mówić. — Muzykanci cały czas grali — ciągnął wolniej, dysząc ciężko — z oczami wlepionymi w ziemię. To węzowe bydło rzuciło się na mnie i biło mnie drzewcami, bo mag się darł, że chce mnie żywego. Usiekłem co najmniej dwóch, a co było potem, nie pamiętam. Tak, dwóch na pewno... — Zamilkł.

— Znaczy się — Conan spojrział na niego — Amanar kazał cię zamknąć, bo wszedłeś do sali tronowej?

Brodą twarz zapłonęła gniewem.

— Karela! — zacharczał Hordo przez zaciśnięte zęby. — Tańczyła dla niego nago, jak baba z haremu, i tak samo podniecająca! Tańczyła nago przed tym... — Zamilkł, szlochając bezgłośnie.

W Conanie wezbrał jeszcze większy gniew.



— On umrze, Hordo! — obiecał. — Umrze!

— Ta Karela — spytał Haranides z niedowierzaniem — to Czerwona Sokolica?

Cyklop jeszcze bardziej pociemniał na twarzy. Tylko kajdany powstrzymały go od rzucenia się na kapitana, a i to z trudem.

— On ją zaczarował! — ryknął, aż zadźwięczały okute drzwi. — W ogóle mnie nie poznała. Nawet nie spojrzała, ani na mgnienie oka nie przestała tańczyć! On ją zaczarował!

— Nikt nie mówi, że nie — Conan próbował go uspokoić.

Hordo spojrzał spode łba na Haranidesa.

— Conan, co to za jeden?

— Co ty, ludzi nie poznajesz? — roześmiał się młody barbarzyńca. — To kapitan

Haranides, zamoriański oficer, któremu umożliwiliśmy zawarcie bliskiej znajomości z Kezankijczykami.

— Zamoriański oficer! — zatrząsł się jednooki brodac. — Gdybym tylko miał wolne ręce, to przynajmniej przed śmiercią uwolniłbym świat od jeszcze jednego żołnierza!

— Skończyłoby się na próbach! — parsknął Haranides z pogardą. — Pięciu takich jak ty zjadałem na jedno posiedzenie!

Oficer i bandyta patrzyli na siebie z nienawiścią.

— Wyobraźmy sobie przez chwilę, że nie jesteście skuci! — wtrącił się Conan z udaną obojętnością. — Koniecznie chcecie uwolnić Amanara jeszcze i od tego zadania?

Wściekłe spojrzenia skierowały się z kolei na niego.

— I tak umrzemy — warknął Hordo.

— Jak ci tak na tym zależy, to sobie umieraj — mruknął Conan. — Ja nie mam ochoty.

Zamierzam wydostać się stąd i nie wiem, kto ujdzie cało z tej historii, ale na pewno nie będzie to ten przeklęty mag!

— Co chcesz zrobić? — zapytał Haranides.

— Poczekajcie. — Barbarzyńca obnażył zęby w wilczym uśmiechu. — Na razie odpocznijcie.

Nalegali, by ich wtajemniczył w swój plan, ale nie chciał o tym mówić. Wkrótce usnął.

Śniło mu się, że udusił Amanara łańcuszkiem od czarnego medalionu.

Czasem, gdy ktoś budzi się we własnym łóżku, nie wie, gdzie jest. Co więc miała pomyśleć Karela, obudzwszy się w czymś, czego nie umiała określić i czego w życiu nie widziała?

Leżała na obitej materiałem sofie, zasłanej szkarłatną jedwabną kapą. Mebel ten nie stał

bynajmniej w jej namiocie, lecz w urządzonej z przepychem komnacie. Słońce wpadające przez wąskie okno oświetlało srebrne nakrycia na złotym stoliku oraz kosztowny turański dywan. Po chwili dotarło do niej, że znajduje się w zamku Amanara.

Co gorsza, jednocześnie uprzytomniła sobie, że jest naga.

— Derketo! — mruknęła i gwałtownie usiadła na sofie.

Głowa jej pękała. Czyżby tyle wypięła? Jej obecność tutaj wskazywała, że spędziła noc w zamku. Jak przez mgłę przypominała sobie ostrą muzykę i zmysłowy taniec. Przyłożyła rękę do czoła, jakby chciała obetrzeć pot, i zaraz cofnęła ją, przeklinając. W komnacie było zimno, a jej czoło również było chłodne. Szybko wstała i rozejrzała się za ubraniem.

Jej złote napierśniki, szmaragdowozielona spódnica i szkarłatna peleryna leżały porządnie złożone w szkatule w nogach sofy. Obok stały cynobrowe buty, o które opierała się jej drogocenna szabla.

Ubrała się pospiesznie.

— Kim właściwie była ta piękna tancerka? — mruzczała do siebie, wkładając drugi but.

Tanec, o którym myślała, był wyjątkowo bezwstydnym. Odwoływał się do najniższych ludzkich instynktów.

Co mnie to w końcu obchodzi, pomyślała. Ważne było to, że w przyszłości nie powinna pić bez umiaru. Nie ufała Amanarowi na tyle, żeby spędzić następną noc w zamku.

Zaczerwieniła się, nie tylko z irytacji. Miała szczęście, że nie obudziła się w jego łóżku. Nie żeby jej się podobał, owszem, był na swój sposób przystojny i dobrze zbudowany. Ale to ona decydowała, kiedy pójdzie z mężczyzną do łóżka.

Otworzyły się drzwi. Sama nie wiedziała, jak szabla znalazła się w jej dłoni. Stojąc gotowa do walki, w osłupieniu patrzyła na dziewczynę, która ze spuszczoną głową i oczami wbitymi w ziemię weszła do komnaty. Niosła przed sobą na tacy spory srebrny dzban z drewnianym uchem.

Robię się nerwowa, pomyślała Karela i schowała szablę.

— Przepraszam, dziecko. Nie chciałam cię przestraszyć.

— Ciepła woda do mycia, pani — powiedziała dziewczyna bezbarwnym głosem. Nie

podnosząc wzroku, postawiła tacę na stoliku i chciała odejść. Najwyraźniej osobliwe powitanie nie zrobiło na niej żadnego wrażenia.

— Chwileczkę — poprosiła Karela. Dziewczyna zatrzymała się, nie podniosła jednak oczu.

— Czy ktoś pytał strażników o mnie? Hordo? Brodaty mężczyzna z przepaską na oku?

— Ktoś taki został tej nocy wtrącony do lochu, pani.

— Do lochu! — Karela zatrzęsła się z oburzenia. — Na piersi Derkety! Dlaczego?!

— Mówią, że został schwytany, gdy próbował uwolnić jakiegoś Conana. Mówią jeszcze, że miał w torbie dużo złotych rzeczy.

Sokolicę zatkąło. Zbladła. No tak, to było do przewidzenia. Hordo i Conan bardzo się zaprzyjaźnili. Zostali, jak to mówią, braćmi po mieczu. Obaj nie grzeszyli rozsądkiem, a w dodatku mężczyźni połączeni tego rodzaju więzami są zdolni do szaleństwa w obronie towarzysza. Zresztą, to nie miało znaczenia. Hordo był najwierniejszym z wiernych i musiała mu jakoś pomóc.

— Gdzie jest twój pan, dziewczyno?

— Nie wiem, pani — odrzekła, lekko drżąc.

— To sprowadź mnie do lochów. Muszę zobaczyć się z tym brodatym człowiekiem.

— Pani, ja... ja nie mogę... Mój pan... — Wciąż patrzyła w ziemię. Karela wzięła ją za podbródek i zadarła jej głowę.

— Spójrz mi w oczy...

Oślupiała. Dziewczynę można by nazwać piękną, ale jej twarz była zupełnie bez wyrazu.

Nie malował się na niej choćby ślad jakiegokolwiek uczucia. Jej piwne oczy były zupełnie puste. Tak. To było jedyne odpowiednie słowo: puste.

Pospiesznie cofnęła rękę, z trudem powstrzymując się od jej wytarcia. Dziewczyna znów zwiesiła głowę. Nie miała zamiaru się bronić. Czekwała spokojnie.

— Dziewczyno — rzekła Karela z naciskiem. — Ja jestem tu, a twój pan jest gdzie indziej.

Prowadź mnie do lochów!

Nieznajoma niepewnie skinęła głową i wyszła z komnaty. Znajdowały się na najwyższym piętrze zamku. Po krętych marmurowych schodach, które zdawały się niczym nie podparte wisieć w powietrzu, zeszły na parter. Tam dziewczyna weszła w boczny korytarz i zatrzymała się pod pozbawionym ozdób łukiem, za którym widniały grubo ciosane kamienne schody prowadzące w dół.

— Tu jest zejście, pani — powiedziała. — Dalej nie wolno mi iść.

— Dziękuję ci — skinęła głową Karela. — Gdybyś miała z tego powodu jakieś kłopoty, wstawię się za tobą u twojego pana.

— Pan uczyni, co zechce — odparła głucho niewolnica i zanim Czerwona Sokolica zdążyła jeszcze coś dodać, znikła za rogiem.

Rudowłosa bandytka odetchnęła głęboko i z szablą w ręku ruszyła schodami w dół. Dotarła do okutych stałą drzwi. Zapukała w nie ręką i szablą.

Otworzył jej tłusty acz muskularny mężczyzna w żółtym kitlu. Błysnęła mu przed oczyma lśniąca klinga, zanim zdążył otworzyć usta. Przynajmniej ten nie patrzy w ziemię, pomyślała.

A akurat on powinien — ma tak zakazaną gębę...

— Więzień Hordo — rzuciła. — Zaprowadź mnie do jego celi.

— Ale Amanar... — zaczął grubas. Ostrze szabli lekko ukuło go w szyję, więc urwał. W

świńskich oczkach pojawiło się coś w rodzaju przerażonego zdziwienia. — Już cię prowadzę

— zapiszczał przeraźliwie. — Pani... — dodał pośpiesznie.

Delikatnie naciskając ostrzem jego stos pacierzowy, ruszyła za nim przez skalny korytarz.

W końcu tłuszcioch się zatrzymał. Pogmerał chwilę przy wiszącym mu u pasa pęku kluczy i otworzył ciężkie drzwi.

— Pod ścianę! — Wskazała mu szablą kierunek. — Żebyś cię miała na oku. Jeden

falszywy ruch, a stracisz jaja, oczywiście jeżeli je jeszcze masz!

Tłusta twarz zaczerwieniła się z gniewu, ale jej właściciel usłuchał. Karela otworzyła drzwi i spojrzała na trzech ludzi w celi: Conana, wiernego Hordo i jeszcze jednego, który wydał jej się znajomy. Więźniowie patrzyli na nią w osłupieniu.

— Jesteś! — zawołał Hordo. — Wiedziałem, że przyjdiesz!

Jej zielone oczy spoczęły na barczystym barbarzyńcy. Conan odpowiedział jej obojętnym spojrzeniem. Widząc go żywego, poczuła ulgę i to właśnie ją zdenerwowało. Ta gładka twarz o ostrych rysach doprawdy nie była brzydka, w dodatku naprawdę był — mimo woli

zarumieniała się lekko — bardzo męski, choć niestety głupi. Po cóż mu było walczyć z Amanarem? Nie mógł po prostu zapomnieć o tej całej Velicie? Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzyła niechętny na głos i zakłopotana spojrzała szybko na brodatego bandytę.

— Hordo, dlaczego to zrobiłeś?

— Co zrobiłem? — Cyklop w osłupieniu zamrugał oczami.

— Dlaczego okradłeś Amanara i próbowałeś uwolnić tego półgłówka? — Nie patrząc, ruchem głowy wskazała na Conana.

— Nic nie ukradłem! — zaprotestował Hordo. — A o tym, że Conan też siedzi, dowiedziałem się, jak mnie tu wrzucili!

— Zamknęli cię tak całkiem bez powodu?! — zaszydziła.

Cyklop milczał.

— On... — zaczął Conan.

Hordo powstrzymał go błagalnym gestem.

— Nie, Cymmeryjczyku! Błagam!

Młodzieniec spojrzał mu w oczy. Karela zamrugała, nic z tego nie rozumiejąc. Tamci patrzyli na siebie przez chwilę, po czym Conan skinął głową.

— No! — nalegała. Tym razem obaj milczeli. Spojrzała na wiernego sługę, a ten odwrócił wzrok. — Niech cię Derketa, Hordo! Powinnam kazać cię wychłostać. Pewnie tak też i zrobię, o ile zdołam namówić Amanara, żeby cię wypuścił.

— Sama nas uwolnij. Teraz — powiedział szybko cyklop. — Ort ma klucze. Możesz...

— Żadne „nas”! Jeżeli już, to ciebie! — odparła ostro. — Spróbuję cię uwolnić. On mnie nie interesuje. — Poczula na sobie wzrok Conana i odwróciła oczy. — Poza tym dobrze ci zrobi, jak tu jeszcze trochę posiedzisz. Zastanawiam się, czy zdołam przekonać Amanara, żeby mi cię wydał. — Wycelowwała szablę w tłustego strażnika. — Hej, ty, otwórz drzwi! —

Cofnęła się o parę kroków, ciągle trzymając ostrze w pogotowiu. Ort wyciągnął klucz.

— Karela! — ryknął Hordo. — Zatroszcz się o siebie! Mnie nic już nie pomoże! Zapomnij i weź...

Drzwi zatrzęsnęły się z hukiem.

Grubas przekręcił klucz w zamku i się odwrócił. Natychmiast poczuł ostrze szabli na szyi.

Zielone oczy patrzyły na niego lodowato.

— Jeżeli dowiem się, że źle obchodziłeś się z moim człowiekiem, posiekam cię na

plasterki! — Kopniakiem pchnęła ku schodom.

Wyszła na górę, kipiąc ze złości. Amanar za wiele sobie pozwala! Z Conanem niech robi, co chce, ale Hordo... to inna sprawa. Bez trudu może sama zapewnić dyscyplinę wśród swoich psów i nie pozwoli czarownikowi załatwiać takich spraw bez jej wiedzy. Z

roziskrzonym wzrokiem i z szablą w dłoni szybkim krokiem przemierzała kapiące od złota korytarze czarnej budowli.

Zobaczyła przed sobą jakiegoś S'tarra. Zamrugał zdumiony na widok gotowej do użycia broni.

— Gdzie Amanar? — zapytała ostro.

Jaszczur nie odezwał się, jedynie spojrzął na drzwi zakończone kamiennym łukiem.

Przypomniała sobie, jak czarownik mówił, że tędy wiedzie droga do pomieszczeń, w których prowadzi swoje badania. W obecnym nastroju było jej wszystko jedno, gdzie dopadnie maga i wygarnie mu, co o nim myśli.

S'tarra z syczącym krzykiem zastąpił jej drogę. W ostatniej chwili rzucił się do tyłu, dzięki czemu błyszcząca klinga tylko drasnęła kolczugę na jego piersi tak, że aż poszły iskry. —

Jeśli ośmielisz się pójść za mną, to już nigdy nie podążysz za kimkolwiek! — ostrzegła go.

Nie uchylał się przed jej wzrokiem, ale też nie ruszył się z miejsca, gdy patrząc na niego, cofała się wiodącym w dół korytarzem, oświetlonym jedynie migocącymi pochodniami w żelaznych uchwytach. Ledwo już widziała dwa zlewające się czerwone punkciki, wskazujące, że S'tarra ciągle jeszcze tkwi przy wejściu...

Uderzyła plecami o coś twardego. Odwróciła się. Stała u progu wysokich dwuskrzydłowych drzwi, pokrytych reliefami w kształcie węży.

Oceniła, że znajduje się w sercu góry. Pchnęła ramieniem jedno skrzydło i weszła do dużego okrągłego pomieszczenia otoczonego kolumnadą. Filary rzucały cienie na mozaikową podłogę, na której widniał wizerunek niesamowitego złotego węża. W głębi krzątał się Amanar. Na dźwięk otwieranych drzwi odwrócił się gwałtownie, a siedzący u jego stóp Sitha poderwał się.

— Jak śmiesz tu wchodzić?! — zagrzmał czarownik.

— Śmiem — prychnęła — skoro ty śmiesz trzymać mojego człowieka w kajdanach!

Dopiero teraz zwróciła uwagę na to, co znajdowało się za odzianym w czerń czarownikiem.

Był to zbryzgany krwią ołtarz z czarnego marmuru, do którego przywiązano, drżącą ze strachu, nagą i szczupłą blondynkę.

— Na czarne serce Arymana! — zakląła Karela. — Co ty wyprawiasz, czarowniku?

Zamiast odpowiedzi Amanar nakreślił w powietrzu dziwny znak, który zapłonął i zniknął.

Obudziło to w niej jakieś niejasne, przytłumione wspomnienie. Coś w niej pękło jak sucha gałąź. Już ona mu pokaże! Próbować na niej czarodziejskich sztuczek! Chciała podejść do niego...

W osłupieniu spojrzała na swoje nieruchome nogi. Wcale nie czuła, żeby zdrętwiały — po prostu jej nie słuchały.

— Co to znów za diabelstwo? — zdenerwowała się. — Amanar! Odczaruj mnie natychmiast, bo...

— Rzuć broń!

Krzyknęła przerażona, gdy jej własne ramię posłuchało go! Szabla zatoczyła łuk w powietrzu, odbiła się od posadzki, uderzyła w jedną z kolumn i legła obok.

Amanar z zadowoleniem skinął głową.

— Rozbierz się!

— Głupiec... — zaczęła, ale zamilkła, widząc, jak czarownik szczupłymi palcami rozpiną broszę spinającą jej szkarłatną pelerynę. Peleryna zsunęła się z jej ramion na ziemię.

— Jam jest Czerwona...

Ku jej zdumieniu był to tylko słaby, ledwo słyszalny szept. Zebrała siły.

— Jam jest Czerwona Sokolica!

— Wiem, wiem — mruknął Amanar obojętnie. — No to co?

Oczy omal nie wyszły jej z orbit, gdy — miotana bezsilnością — patrzyła na swoje własne ręce zdejmujące z biustu złote napierśniki, które z brzękiem upadły u jej stóp, a potem rozpinające szmaragdowozieloną spódnicę.

— Dość! — rozkazał mag. — Buty zostaw. Tak mi się podobasz. Poza tymi murami —

ciągnął — jesteś Czerwoną Sokolicą, ale w zamku jesteś, i będziesz, tym, czym ja zechcę.

Odtąd będziesz świadomie przeżywała wszystko, co się tu stanie. Twój strach jest dla mnie jak wyborne stare wino.

— Tobie się zdaje, że zobaczysz mnie tu jeszcze raz? — prychnęła. — Kiedy odzyskam szablę i będę mieć u boku moje psy, zwałę ci na łeb całą tę budę.

Szatański śmiech Amanara przyprawiał ją o dreszcze.



— Gdy wyjdziesz za bramę zamku, będziesz pamiętać tylko to, na co ci pozwolę.

Odejdiesz stąd w przeświadczeniu, że omawialiśmy wspólnie takie czy inne ważne sprawy.

Ale gdy tylko wrócisz do mnie, przypomnisz sobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Czerwona Sokolica upadnie mi do stóp, gotowa spełnić każde moje życzenie. Będziesz czuła obrzydzenie do siebie, będziesz nienawidzić siebie, ale zrobisz wszystko, czego zażądam.

— Raczej zginę! — krzyknęła.

— Już ja do tego nie dopuszczę — uśmiechnął się lodowato. — A teraz zamknij się!

To, co chciała powiedzieć, zamarło jej na ustach. Amanar dobył z fałd czarnej szaty sztylet o złoconej klindze i przejechał palcem po ostrzu.

— Byłaś, zdaje się, ciekawa, co tu robię? Zaraz zobaczysz. Sądzę, że Zuzi będzie grzeczna.

Dziewczyna na ołtarzu jęknęła cicho. Oczy czarownika patrzyły na Karełę, jak wąż patrzy na ptaka. Czuła wyraźnie, jak głęboko wwiercają się w jej duszę.

— Zaraz zobaczysz — powtórzył Amanar — i poznasz, czym jest prawdziwy strach.

Z powrotem odwrócił się do ołtarza i śpiewnym głosem zaczął recytować zaklęcie. Karela nie zrozumiała ani słowa, lecz mimo to każdy dźwięk uderzał w nią jak ostrze sztyletu.

Zza ołtarza buchnął ognisty tuman dymu.

Oczy zaczęły wychodzić jej z orbit. Nie, postanowiła, nie będzie krzyczeć, nawet gdyby znów mogła, nie krzyknie. Ale pot lał się strumieniami po jej ciele.

Nigdy jeszcze nie czuła takiej zgrozy.

— Conan! — ryknął Haranides. — Conan!

Trzej mężczyźni leżeli skuci kajdanami w lochu pod zamkiem Amanara. Słyszając wrzask kapitana, Conan otworzył jedno oko.

— Śpię — wymamrotał i zamknął je z powrotem. Barbarzyńca zdołał ułożyć się wygodnie, jak na takie warunki oczywiście, i nie chciał bez potrzeby zmieniać pozycji. Oceniał, że od wizyty Kareli minęła mniej więcej doba. Nie dostali przez ten czas nic do jedzenia, przyniesiono im jedynie po kubku stęchłej wody.

— On śpi! — prychnął Haranides. — A co z twoim genialnym planem?

— Czerwona Sokolica... — zamruczał Hordo z nadzieją. — Jak tylko mnie uwolni, wyciągnę was stąd. Nawet ciebie, Zamorianinie.

Conan usiadł i przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu stawy.

— Gdyby zdołała coś dla ciebie zrobić — ziewnął — już dawno byłbyś wolny.

— Dlaczego? Może jeszcze przyjść — pocieszał się cyklop. — Zresztą... może posłuchała mojej rady i odjechała...

Barbarzyńca milczał. Najlepsze, co mógł jej życzyć, to żeby uwierzyła kapitanowi, a nie czarownikowi, i wróciła do obozu. Pomiędzy swoich ludzi, których tak chętnie nazywała swoimi psami.

— Cokolwiek się stanie — odezwał się Haranides — dla Conana i dla mnie to bez znaczenia. Nawet jeśli ona uwolni ciebie, w co osobiście nie wierzę, dla nas nic nie uczyni.

Tak powiedziała, sam słyszałeś. A według mnie jest słowną kobietą.

— Poczekajcie — warknął Conan. — Jeszcze nie nadszedł czas.

Klucz obrócił się w zamku.

— Ort — mruknął Haranides. — Pewnie wraz ze swoimi narzędziami.

— Ort? — zapytał Hordo. — Co to za...

Ciężkie okute drzwi rozwarły się. W progu stał tłusty kat z mosiężnym kociołkiem pełnym żarzących się węgla, w których tkwiły rozgrzane do czerwoności żelazne narzędzia o drewnianych uchwytach.

— No? — zachichotał oprawca. — Kto pierwszy? Wyciągnął z kociołka dłuto i machnął

rozżarzonym żelazem w powietrzu. Hordo zacisnął zęby i przywarł plecami do ściany.

Haranides skulił się, gotów w każdej chwili skoczyć w dowolnym kierunku na tyle, na ile pozwoli mu kajdany. Conan nawet nie drgnął.

— Może ty, kapitańciu? — zadrwił Ort. Zamierzył się żelazem ku Haranidesowi. Ten napiął

mięśnie. — Ort chętnie prezentuje swój talent panom oficerom. — Zachichotał znowu i odwrócił się do Hordo. — Może ty, ślepcze? Ort robi ci drugą bliznę albo dla równego rachunku wypali drugie oczko. A może ty, góro mięsa? — Wbił swe świńskie ślepia w Conana. — Długo zamierzasz siedzieć jak ten posąg?

Nagłym ruchem zaatakował Cymmeryjczyka. Rozżarzone żelazo zasyczało, kat cofnął się nieco. Na ramieniu Conana zadymiło spalone mięso. Barbarzyńca uniósł bezradnie zdrową rękę, chroniąc głowę. Przycisnął się do ściany, półobrócony plecami do kata. Trzej mężczyźni patrzyli z niedowierzaniem na potężnego chłopaka.

— Broń się! — ryknął Haranides i rzucił się w tył, uchylając przed czerwonym żelazem, które omal nie przecięło mu w poprzek twarzy.

— Conan, pokaż mi, że jesteś mężczyzną! — jęknął Hordo. Ort zbliżył się ostrożnie do młodzieńca, znowu zaatakował i odskoczył ze zdumiewającą, jak na człowieka o tej tuszy, zwinnością. W poprzek ramię Conana uformowała się szeroka oparzelina. Jęcząc cicho, mocniej przycisnął się do ściany.

— Biedny chłopczyk! — zachichotał Ort. Dumny z siebie, stanął tuż za maltretowanym więźniem i ponownie wzniosł swą broń do ciosu.

Conan wydał z siebie potężny okrzyk bojowy, odwrócił się, odskoczył od ściany i jedną ręką złapał oprawcę za ramię. Przyciągnął go do siebie. Drugą ręką okręcił katu łańcuch wokół szyi i zaczął go zaciskać. Tłuste mięso wciskało się w żelazne ogniwa. Świńskie oczka Orta wychodziły z orbit, nogi szurały bezradnie po ziemi. Miał tylko jedną, jedyną broń — i używał jej jak mógł. Gorące żelazo raz po raz spadało na szerokie plecy barbarzyńcy.

Powietrze w celi było gęste od woni spalonego mięsa. Ale Conan nie czuł bólu. Świat przestał dla niego istnieć. Istniał tylko człowiek stojący przed nim, z wybałuszonymi oczami w tłustej twarzy. Człowiek, którego musiał zabić. Ort nadaremnie próbował zaczerpnąć powietrza czy może krzyknąć... łańcuch już całkiem wszedł w jego tłustą szyję. Kat upuścił

żelazo na ziemię, zacharczał i zwiśł bezwładnie.

Barbarzyńca z trudem zdołał odwinąć z szyi trupa łańcuch, pozwalając ścierwu upaść na ziemię.

— Mitro! — zachłysnął się Haranides. — Widzisz jego plecy, Hordo? Nie wytrzymałbym nawet połowy tego!

Conan przykucnął i sięgnął po żelazo. Na trupa nie zwracał uwagi, wszystkich katów świata darzył jednakową pogardą.

— Tego nam właśnie było trzeba — mruknął i podniósł z ziemi narzędzie tortur. Nadal było gorące, ale już od dawna się nie żarzyło.

Ostrożnie wsadził dłuto w jedno z ogniw łańcucha, mniej więcej o szerokość dłoni od obręczy na przegubie. Nabrał powietrza w płuca i zaczął obracać żelazo w jedną stronę, a dłoń w drugą.

Obręcz wciskała się w ledwo zaleczoną ranę — pamiątkę po owej nocy, kiedy bandyci przywiązali go rzemieniami do kołków. Teraz krew lała mu się strumieniem po rękę.

Współwięźniowie wstrzymali oddech. Rozległ się ostry trzask.

Łańcuch pękł.

Barbarzyńca wzniosł w geście tryumfu wolną rękę z paroma calami łańcucha wiszącymi u przegubu.

— Miałem nadzieję, że to żelastwo nie rozhartowało się w ogniu — powiedział. — W przeciwnym razie złamałoby się, zanim pękłby łańcuch.

— Miałeś nadzieję! — prychnął Hordo. — Nadzieję! — Odchylił głowę w tył, trzęsąc się ze śmiechu. — Postawiłeś naszą wolność na jedną kartę, Conanie... i wygrałeś!

Cymmeryjczyk pospiesznie rozgiął resztę swoich łańcuchów i uwolnił towarzyszy. Hordo natychmiast zerwał się na równe nogi i Conan musiał go siłą powstrzymać przed próbą wyłamania drzwi.

— Co nagle, to po diable! — upomniał go.

— Mamy mało czasu, na czarne serce Arymana! — gorączkował się cyklop. — Muszę mieć pewność, że Czerwona Sokolica jest bezpieczna.

— A może wolisz umrzeć u jej boku? — zapytał nie bez ironii Conan.

— Tego nie mam w planie, ale jestem gotów i na to.

— Ja zaś nie mam zamiaru — warknął Conan — dać się zaszlachtować tym gadom. Ale

jeżeli ty tego chcesz, nic mi po tobie. Kareli zresztą też nie. Haranides, jak myślisz, ilu twoich chłopców jeszcze żyje? I ilu z nich będzie walczyć?

— Ze dwudziestu, sądzę — odparł kapitan. — Ażeby się wydostać z tych lochów, będzie walczyć tylu, ilu ma jeszcze po dwie nogi, po jednym oku i po jednej ręce. Chociażby mieli przeciw sobie Arymana i Erlika razem wziętych.

— Dobrze. Weź zatem klucze Orta i wypuść ich. Jeżeli zdołasz zdobyć i utrzymać z tą ekipą wartownię, to jakoś sobie poradzimy.

— Zrobi się — skinął głową Haranides. — A ty co?

— A ja tymczasem zabiję Amanara — odparł ponuro Conan.

— Aha — stwierdził kapitan.

— A co ze mną? — zapytał Hordo, niemile zaskoczony faktem, że tamci jakby w ogóle go nie zauważali.

— Co, przyłączasz się? — spytał Conan z udanym zdziwieniem. — Sprowadź więc

bandytów — ciągnął, nie czekając na odpowiedź. — Wymyśl coś, żeby mogli niepostrzeżenie przedostać się przez mur. A potem wciągnij ludzi do zamku, zanim S'tarra ostrzelają ich z katapult. Musicie trochę powalczyć z jaszczurami i wzniecić w zamku jak najwięcej pożarów.

A potem i wy, i grupa Haranidesa zaczekacie na mój sygnał: pożar szczytu najwyższej wieży.

— Zrobi się — zapewnił go Hordo. — Mówi się co prawda, że żaden plan bitwy nie

przeżywa pierwszego natarcia, ale miejmy nadzieję, że nie dotyczy to nas.

— Spraw się dobrze, Haranidesie — powiedział Conan i wraz z cyklopem pospiesznie opuścił loch.

U szczytu schodów, na poziomie parteru, o dwa kroki przed nimi wyłonił się zza rogu S'tarra. Hordo rzucił nim o ścianę, a jego młody przyjaciel skręcił gadowi kark i pospiesznie wcisnął bandycie w rękę szablę zabitego. Sobie zatrzymał tylko szeroki sztylet. Zaraz potem rozstali się i każdy udał się w swoją stronę.

Conanowi łatwo było trafić do komnaty Amanara, znajdującej się na szczycie wieży.

Należało po prostu iść po schodach, aż się skończą. Wkrótce młodzieniec ujrzał szerokie marmurowe łuki, jakby wiszące w powietrzu, i szerokie schody z błyszczącego hebanu, na których stanęłoby na szerokość ze dwudziestu chłopa i które pomieściłyby chyba całą armię.

Dalej dotarł do kamiennych skręcających schodów, pełzających po ścianie wieży,

pozbawionych od wewnętrznej strony jakichkolwiek poręczy. U ich stóp zatrzymał się, aż nadto dobrze pamiętając, co Velita mówiła o czarach zabezpieczających wieżę. Jeśli Amanara nie ma w zamku, to następny krok przyprawi go o śmierć. O powolną magiczną śmierć. Ale jeśli nie zaryzykuje i nie wejdzie na te schody, to z rąk czarownika zginie wielu innych, w tym Velita, a może i on sam.

Ostrożnie wszedł na pierwszy stopień. Nic. Drugi. Trzeci... Przestał myśleć, co mogło mu się przydarzyć. Wkrótce stał przed okutymi drzwiami.

Odetchnął z ulgą. Wiedział już, że Amanar jest w zamku. Ale, doprawdy, znał

przyjemniejsze sposoby zdobywania wiadomości.

Otworzył drzwi i wszedł do pomieszczenia, którego ściany były przepojone złem, a w powietrzu czuć było zapach najpotężniejszych czarów. Była to okrągła komnata bez okien.

Na ścianach widniały rzędy oprawnych w skórę ksiąg... Conan zadrżał, rozpoznawszy, czyja jest to skóra. Rozsypane szczątki mumii leżały wśród porozstawianych wszędzie różnego rodzaju naczyń, trójnogów i kubłów na węgiel. Chwilowo nigdzie nie palił się ogień.

W kryształowych naczyniach pływały w przejrzystej cieczy rzeczy wyglądające na ludzkie członki. Pomieszczenie oświetlały umocowane do ścian i rzucające niesamowity blask szklane kule.

Ale Velity tu nie było. Conan zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy wcale na to nie liczył.

Przynajmniej jednak mógł ją teraz pomścić.

Znalezienie kryształowej szkatuły, o której mówiła, nie zajęło mu zbyt wiele czasu. Stała na honorowym miejscu na trójnogu pośrodku komnaty. Bez cienia szacunku zrzucił zadymioną pokrywę na ziemię, tak że rozprysła się na sto lśniących odłamków. Rozwinął jedwabne zawiniątko i wyciągnął oprawny w srebro czarny kamień wiszący na misternym srebrnym łańcuszku. W jego głębi tańczyły lśniące czerwone punkciki, niczym w oczach Amanara.

Conan umocował sobie medalion po wewnętrznej stronie pasa i pospiesznie rozejrzał się za czymś, co mogło mu się przydać. Już miał opuścić komnatę, gdy nagle, wśród różnych rupieci na jednym ze stołów, ujrzał swój miecz. Wyciągnął rękę i wówczas poczuł się niepewnie. Po co Amanarowi w pracowni jego miecz? Miał przykre doświadczenia z

zaczarowaną bronią. Nieraz widział, jak zaklęta szabla zabijała człowieka, który próbował wziąć ją do ręki. Co przewrotny mag zrobił z jego bronią?

Drzwi otwarły się powoli i stanął w nich Sitha. Na widok Cymmeryjczyka szeroko rozwarł paszczę wypełnioną spiczastymi kłami. Ręka Conana sama zacisnęła się na rękojeści miecza i przyciągnęła go do boku.

Na razie nie zabiło mnie, pomyślał z ulgą.

— Witaj, barbarzyńco — zasyczał jaszczur. — A więc wyszedłeś stamtąd — dodał i

pozornie obojętnie sięgnął do stosu dziwnych podłużnych przedmiotów, wyciągając oszczep o drzewcu grubości przegubu dorosłego mężczyzny i grocie wielkości krótkiego miecza. —

Tutaj mogę cię spokojnie zabić, a mistrz mnie za to nagrodzi.

— Jeśli będzie jeszcze miał kogo — mruknął Conan. Muszę szybko wzniecić pożar,

pomyślał barbarzyńca. Spróbował tak się ustawić, aby między nim a Sithą nie było żadnego stołu. Nie miałby bowiem żadnych szans w walce na dystans z nieprzyjacielem zbrojnym w tak długą broń.

S'tarra wiedział o tym. Ze wzniesionym czujnie oszczepem tańczył wokół

stołu, ciągle naprzeciwko Conana.

Nagle rozbrzmiał głos wielkiego gongu. Jaszczur na chwilę odwrócił wzrok od przeciwnika.

Barbarzyńca przykucnął, wepchnął ramiona pod brzeg długiego stołu i przewrócił go. Sitha uskoczył w tył. Ciężki mebel wylądował tam, gdzie przed momentem znajdowały się jego stopy. Miski z podejrzanymi proszkami i butelki pełne kolorowych płynów rozbijały się o kamienną posadzkę. Z niezwyklej mieszanki wzbity się kłęby gryzącego dymu. Gong bił

dalej, a z oddali dochodziły stłumione krzyki. Czyżby Haranides i Hordo lub tylko jeden z nich nie czekali na sygnał?

— Mistrz wysłał mnie tu po proszek — zasyczał Sitha. — Proszek, który podobno wzmaga w ofierze strach. — Ostrze oszczepu skoczyło ku Conanowi.

Miecz ponad wszelką wątpliwość nie był zaczarowany. Posłusznie odbił oszczep, a w drodze powrotnej przeciął łuskowatą skórę na podbródku napastnika. Jaszczur rzucił się do tyłu i klnąc wściekle, przycisnął szponiastą rękę do rany.

— No i co? — zaśmiał się drwiąco Conan. — Podobno miałeś mnie zabić?

Głos Sithy z syku przeszedł w zgrzyt.

— Być może zainteresuje cię fakt, że dzisiaj zostanie złożona w ofierze dziewczyna, do której tak się spieszyłeś. Niebawem umrzesz, ze świadomością, że Velita też umiera.

Nie powinien był tego mówić. Pod wpływem jego słów duch bojowy Conana wzmógł się w czwórnasób. Wiedział teraz, że Velita jeszcze żyje i że ma bardzo mało czasu, by ją ocalić.

— Gdzie ona jest, gadzie?

— W sali ofiarnej, człowieku. — W głosie jaszczura było nie mniej pogardy.

— Gdzie ta sala?

Odpowiedzią był szyderczy śmiech. Z dzikim rykiem Conan przeskoczył przewrócony stół i rzucił się na jaszczura. Ostrze oszczepu drasnęło go w nogę. Przepołowił mieczem drzewce.

Zapał bojowy rozsadał go. Nie zważając na obronę, rzucił się na olbrzymiego S'tarra. Dwa ciosy przecięły ramię potwora. Trysnęła czarna krew i spomiędzy kłów wydarł się

przeraźliwy krzyk. Trzeci cios trafił w jego szyję. Czerwone oczy spojrzały na Conana z nienawiścią... i łuskowaty łeb spadł na posadzkę. Broczący czarną krwią trup upadł obok.

Dyszząc ciężko, barbarzyńca rozejrzał się dookoła. Teraz pożar... W paru miejscach, gdzie zmieszały

się tajemnicze ingrediencje, pełgał żółty płomień, wydzielający kłęby gryzącego dymu. Conan przeniósł go na przewrócony mebel, który w mgnieniu oka zapłonął jak obłany oliwą.

Krzusząc się i dusząc, Cymmeryjczyk wypadł na schody, omal nie spadając przy tym w bezdenną studnię. Za nim szalał ogień. W wieży czuć było podmuch z dołu do góry. Za chwilę płonące laboratorium zamieni się w kowalski piec, a z wieży buchnie płomień na znak... Jeżeli jeszcze jest to potrzebne. Gong wskazywał bowiem na coś przeciwnego.

Dotarłszy do podstawy wieży, Conan znalazł komnatę, z okna której miał dobry widok na mury zamku i na dolinę. Spojrzał i przestał cokolwiek rozumieć.

Na murach roiło się od S'tarra, biegających jak mrówki w rozgrzebanym mrowisku. Nie bez przyczyny. W dolinie bowiem pojawiło się co najmniej z tysiąc górali w turbanach, na koniach, z szablami i lancami w rękach.

Gdzie są Haranides i Hordo? Cały plan stał się nierealny. I tak trzeba ratować Velitę. Mógł to zrobić, musiał tylko na czas odnaleźć salę ofiarną. Gdzie jej szukać w tym ogromnym zameczysku? Żeby choć przelotnie zajrzeć do wszystkich pomieszczeń, musiałby poświęcić cały dzień... Nagle przypomniał sobie o czymś, co mogło oznaczać ratunek dla dziewczyny.

Wielkimi krokami ruszył przez alabastrowe sale i zbiegł po marmurowych schodach. Mijał osłupiałych S'tarra, zbyt zajętych wykonywaniem rozkazów, by zwracać uwagę na jego osobę. Jak sokół mknął wprost do surowego wejścia i pochyłego korytarza. Tego, o którym Amanar mówił, że prowadzi do jego pracowni.

Conan pobiegł długim korytarzem, wiodącym do serca góry. Jego płuca pracowały jak miech kowalski. W oczach miał śmierć i było mu wszystko jedno, czy sam zginie. Byle wcześniej zdążył posłać Amanara do krainy ciemności.

Na szarych kamiennych ścianach, oświetlonych migocącymi pochodniami, wił się obłądny węzowy wzór. Taki sam pokrywał zamykające korytarz wysokie dwuskrzydłowe drzwi.

Pchnął oba skrzydła i wpadł do wnętrza komnaty.

Amanar, odziany w czarny płaszcz z wszechobecnym węzowym wzorem, wypowiadał

jakieś zaklęcia, stojąc przed czarnym marmurowym ołtarzem, do którego przywiązana była Velita. Za ołtarzem unosiła się ognista mgła, a dalej widniała czarna, nieskończona otchłań.

Conan ruszył między kolumnami wzdłuż ściany okrągłego pomieszczenia. Zacisnął wargi w niemym przekleństwie.

Czarownik przerwał odmawianie zaklęcia.

— Przynies to, Sitha! — rozkazał, nie odwracając się. — Pospiesz się!



Conan był jeszcze jakieś dwadzieścia kroków od ołtarza. Uważnie przyjrzał się czarownikowi. Amanar nie miał berła, ale wobec tego, co trzymał w ręce...?

— Pomyliłeś się! — odezwał się Cymmeryjczyk. — Nie jestem Sitha!

Amanar skulił się nagle i odwrócił. W cieniu kolumn ujrzał Conana.

— To ty, barbarzyńco? Jakim sposobem... zresztą, to nieważne. Po prostu trochę wcześniej posłużysz za pokarm Pożeraczowi Dusz.

Velita patrzyła na Conana. W jej ciemnych oczach rozpacz walczyła z nadzieją. Ognisty obłok zgęstniał.

— Rozwiąż ją! — zażądał młodzieniec.

Mag roześmiał się szyderczo. W odpowiedzi Conan wyciągnął medalion i pokazał go z daleka czarownikowi.

— Widziałeś to już kiedyś, kabalarzu?

Amanar przestał się śmiać.

— A to co znowu? — sapnął. Obliznął wargi i rzucił przerażone spojrzenie na wciąż gęstniejący obłok, w którym coś się poruszało. — Z tym mogą być pewne... hmm... kłopoty.

Daj mi to, a ja...

— To jest jego dusza! — rozległ się potężny głos, jakby ze wszystkich stron jednocześnie.

Samotne cienie na ścianie naprzeciwko Conana zaczęły łączyć się w jeden, który przyjął ludzki kształt.

Przed nim stanął Imhep–Aton.

Stygijski czarownik miał we włosach złoty wieniec, z kanciasto oszlifowanym szmaragdem u czoła, i długi do kostek czarny płaszcz bez ozdób. Powoli zbliżał się do ołtarza.

— To ty! — zachrypiał Amanar. — Powinienem być od razu domyślić się tego wtedy, gdy zobaczyłem tych dwóch martwych S'tarra bez żadnych obrażeń.

— Conanie z Cymmerii! — zagrzemiał Stygijczyk, a głos jego odbijał się echem w otchłani.

— Ten medalion zawiera duszę Amanara, którą on musi chować przed Pożeraczem Dusz.

Zniszcz go, a unicestwisz Amanara.

Conan zamierzył się, by roztrzaskać czarny kamień o kolumnę. Nie zdołał jednak tego uczynić. Mimo największych wysiłków nie mógł rozgiąć palców. Ręce opadły mu

bezwładnie.

— Głupcze! — roześmiał się chrapliwie Amanar. — Myślałeś, że nie zabezpieczyłem tego, co jest dla mnie najcenniejsze? Żadna siła nie zdoła uszkodzić medalionu.

Czarownik wyprostował się.

— Zabij go! — ryknął.

Conan pojął nagle, co działo się za i nad ołtarzem. Ujrzał ogromną złotą głowę węża, otoczoną długimi mackami podobnymi do promieni słońca. Pokryte złotą łuską ciało ginęło w czarnej otchłani, a rubinowoczerwone oczy straszonym wzrokiem wpatrywały się w Imhep—

Atona.

Stygijczyk zdążył jeszcze rzucić przerażone spojrzenie na potwora. Olbrzymi wąż uderzył

szybciej niż błyskawica. Długie złote macki pochwyciły krzyczącego czarownika i uniosły go w powietrze. Wydawało się, że trzymają go delikatnie, niemal czule, ale potworny wrzask Imhep—Atona przeszywał Conana do szpiku kości. Krzyczał, jakby odbierano mu coś

cenniejszego od życia. Pożeracz Dusz, pomyślał barbarzyńca i zadrżał.

Macki rozpostarły się, zakryły stygijskiego czarownika od stóp do głów i zaczęły się zaciskać. Potworny wrzask trwał wciąż jeszcze, choć Conanowi zdawało się, że czarownik już dawno powinien nie żyć. Wreszcie krzyk umilkł, macki się rozluźniły i odrzuciły precz martwy łachman, który z głośnym chłapinięciem upadł na marmurową posadzkę. Conan starał

się nie patrzeć w tamtą stronę. W napięciu wpatrywał się w tkwiący w jego dłoni medalion.

— Ośmieliłeś się mi rozkazywać! — zaryczał w głowie Conana nie znany mu a potężny głos. Nikt nie musiał mu mówić, że to przemawiał do Amanara złoty wąż — bóg czy demon, chwilowo nie miało to znaczenia. — Stajesz się zbyt samowolny!

Barbarzyńca wciąż patrzył na swoją rękę z medalionem. Crom, gniewny bóg jego pomocnej ojczyzny, dał człowiekowi tylko życie i wolę. Co człowiek z nimi robi, było tylko jego sprawą. Życie i wolę...

— Twój sługa prosi cię, żebyś mu przebaczył — gładko wyrecytował Amanar, ale jego pewność siebie prysła, gdy wąż ciągnął dalej swą myślową przemowę:

— Nie, Amanarze. Twój czas nadszedł. Zdejmij amulet i oddaj się swojemu bogu, aby mógł pożywić się tobą.

Życie i wola. Wola...

— Nie! — krzyknął czarownik. Przycisnął palce do piersi, ściskając coś pod czarną szatą.

— Mam amulet i nie możesz mnie tknąć, Pożeraczu Dusz.

— Ośmielasz się przeciwstawiać mojej woli? — Wężowa czaszka pochyliła się ku

Amanarowi, macki wyciągnęły się po niego i po chwili cofnęły.

Wola. Łowca Dusz. Porywacz Dusz. Wola...

— Crom! — ryknął Conan. Nagłym konwulsyjnym ruchem rzucił medalion w kierunku

złotego monstrum. Czas rozciągnął się jak miód. Kamień nienaturalnie powoli płynął przez pokój, z wolna wirując w powietrzu.

Z ust Amanara popłynął krzyk.

— Niiieeeeeeeee!

Złota głowa poruszyła się leniwie. Rozwidlony język owinał się wokół medalionu, cofnął

się i wąż połknął kamień.

Krzyk Amanara przeszedł w rozpaczliwe wycie. Jednocześnie rozległ się inny krzyk —

myślowy krzyk węża. Velita zadrżała konwulsyjnie i jakby omdlała. Conan czuł, że kości ma jak z galarety.

„Z piersi czarownika wystrzelił język błękitnego ognia, który połączył go z bogiem demonów i ogarnął czarną szatę. Wrzask Amanara oraz Pożeracza Dusz stawał się coraz bardziej przeraźliwy, mroził krew w żyłach i wwiercał się w mózg. Czarownik zamienił się w żywą błękitną pochodnię. Krzyczał dalej, aż złote łuski Morath–Aminee, gdzieś w głębi otchłani, pokryły się błękitnymi płomieniami. Także jego krzyk nie zamilkł, wstrząsając duszą barbarzyńcy.

Czarownik umilkł. Conan z przerażeniem stwierdził, że z Amanara została kupka tłustego popiołu oraz mała kałuża stopionego metalu. Ale Morath–Aminee płonął nadal, a jego widoczna część drgała w straszliwych konwulsjach, aż trzęsła się cała góra.

Sufit zaczął pękać, a podłoga chwiała się niczym okręt na wzburzonym morzu. Z trudem utrzymując równowagę, Conan dopadł ołtarza, położonego niebezpiecznie blisko wciąż płonącego i drgającego w mękach śmierci boga demonów. Szybko uwolnił Velitę z więzów.

Dobrze, że straciła przytomność, pomyślał. Zarzucił sobie nagą dziewczynę na ramię i puścił

się biegiem. Gdy dotarł do drzwi, sufit zawalił się z trzaskiem, wzbijając tumany pyłu. Góra drżała

coraz bardziej i zdawała się zapadać. Przyspieszył kroku.

W zamku panował obłęd. Kolumny trzaskały, wieże waliły się, w murach otwierały się szerokie pęknięcia, a w tym chaosie miotali się S'tarra i zabijali wszystko, co się poruszało, nawet siebie nawzajem.

Olbrzymi barbarzyńca pędził ku bramie, szeroką klingą zmiatając z drogi każdego, kto próbował go zatrzymać. Wieża Amanara, wciąż buchając różnobarwnymi płomieniami,

przewróciła się na bok i rozpadła na tysiące czarnych odłamków. Ziemia wygięła się niczym upiorny koń. Conan niepowstrzymanie parł do bramy.

Wrota były otwarte. Gdy dobiegał do wyjścia, z ciągle nieprzytomną tancerką na ramieniu, drzwi wartowni otworzyły się z hukiem i wypadł z nich Haranides z szablą w dłoni, krwią na twarzy i obłędem w oczach, a za nim niespełna dziesięciu ludzi w zamoriańskich zbrojach.

— Utrzymałem wieżę przez jakiś czas — powiedział, przekrzykując wrzawę bitwy i huk walących się murów. — A potem zaczęło się to piekło. Dobrze chociaż, że gady są zajęte wzajemnym wyrzynaniem się i nie zwracają na nas uwagi. Co im się stało?

— Nie teraz! — ryknął Conan przez ramię. — Znikamy, zanim pochłonie nas ta góra!

Był już najwyższy czas. Gdy zbiegli ze wzgórza, wieża przy bramie zmieniła się w kupę gruzów.

Dno doliny było krwawym pobojowiskiem. Dokoła rozlegały się rżenia i krzyki

konających. Ziemia była gęsto usłana poległymi S'tarra i Kezankijczykami, tu i ówdzie widziało się też martwych bandytów. Grzmot drgającej góry mieszał się z okrzykami tych, którzy uciekali z walącego się zamku, by tutaj dalej walczyć między sobą.

Hordo siedział obok czerwonego namiotu Kareli, jakby nic się nie stało. Cymmeryjczyk podszedł do niego z Velitą na ramieniu. Obok stanął Haranides, który zostawił nieco w tyle swoich ludzi. Z okalających ich gór spadały lawiny kamieni. Przynajmniej, pomyślał Conan, wreszcie odczepi się ode mnie krzyk tego przeklętego bóstwa.

— Znalazłeś ją, Hordo? — zapytał tak cicho, jak na to pozwalał panujący hałas. Jak na trzęsienie ziemi, znajdowali się we względnie bezpiecznym miejscu, gdzie nie groziło im zasypanie kamieniami.

— Nie ma jej — odparł cyklop głucho. — Może nie żyje. Nie wiem.

— Będziesz jej dalej szukał? — Jednooki brodacz pokręcił głową.

— Tu? Mógłbym to robić latami, sto razy przejść po niej i nie znaleźć. Pojadę do Turanu i najmę się do ochrony karawan, chyba że znalazłbym jakąś sympatyczną wdowę, do tego właścicielkę oberży. Chodź, Conanie. Co prawda mam w kieszeni dwa miedziaki, ale możemy sprzedać tę panienkę. Na trochę nam to starczy.

— Nie ma mowy — odparł barbarzyńca. — Obiecałem, że ją uwolnię, i zrobię to.

— Dziwna przysięga — powiedział Haranides. — Ale z ciebie w ogóle dziwny człowiek i pewnie za to cię lubię. Słuchaj, bez tancerek, bez medalionów i do tego bez żołnierzy nie mam po co wracać do Shadizar, więc chyba też dam nogę do Turanu. Resaro i jeszcze paru innych, którzy uszli z tego z życiem, pójdą ze mną. Yildiz chce stworzyć światowe mocarstwo i werbuje najemników. Hmm... chciałem, żebyś przyłączył się do nas.

— Bez sensu — roześmiał się Conan. — Nie jestem ani żołnierzem, ani strażnikiem karawan, ani tym bardziej oberżystą. Jestem po prostu złodziejem.

Obejrzał się za siebie. Połowa czarnego zamku z hukiem zwała się w przepaść. Ziemia przestawała drżeć. Można już było spokojnie stać i bez specjalnych trudności chodzić.

— A jako złodziej uważam — ciągnął — że warto byłoby ukraść parę koni, zanim Kezankijczycy zdecydują się wrócić.

Wspomnienie górali skłoniło ich do pośpiechu. Pożegnali się i ruszyli w drogę.

## EPILOG

Conan wjechał na pagórek, gdzie na własnym koniu siedziała Velita, i przyglądał się karawanie, która zbierała się do dalszej drogi do Sultanapury.

To o tej karawanie mówiła Czerwona Sokolica. Była bardzo duża, bo jej uczestnicy wiele słyszeli o zagładzie swych poprzedników i dlatego wyruszyli tak liczną grupą z silną eskortą.

Karawana ciągnęła się jak okiem sięgnąć wzdłuż krętej drogi ku przełęczy. Conan był pewien, że tym razem dotrze do celu.

— Wszystko załatwione — zwrócił się do Velity, spowitej od stóp do głów w biały len. Tak odziana nie tylko lepiej zniesie palące promienie słońca, ale i uniknie wielu innych niebezpieczeństw, gdyż w nieforemnej szacie z przysłaniającym twarz kapturem jej piękność nie będzie się tak rzucała w oczy. — Dopłaciłem przywódcy karawany dwie sztuki złota, żeby czuwał nad twoim bezpieczeństwem. I wytłumaczyłem mu, że lepiej dla niego będzie, jeśli nic ci się nie stanie.

— Jednego nie rozumiem — spojrzała na niego. — Skąd wzięłeś pieniądze na opłacenie mojej podróży? Sama słyszałam, jak mówiłeś do tego jednookiego, że nie masz ani grosza.

— Zabrałem to z komnaty Amanara. — Wcisnął jej sakiewkę do ręki. — Zostało tu jeszcze dziewiętnaście sztuk złota. Co do Hordo, nie okłamałem go, bo od początku uważałem to złoto za twoją własność. Nie mogłem im powiedzieć, że mam tyle pieniędzy przy sobie, bo za bardzo ich lubię, żeby móc ich zabijać, a za bardzo lubię ciebie, żeby dzielić się z nimi twoim złotem.

— Dziwny z ciebie człowiek, Conanie z Cymmerii — powiedziała miękko. Wychyliła się z siodła i przycisnęła wargi do jego ust. Wstrzymała oddech i czekała.

Młody barbarzyńca kantem dłoni uderzył jej konia po zadzie.

— Powodzenia, Velito! — zawołał za nią, gdy zbliżyła się do karawany.

Cóż ze mnie za osioł, pomyślał, kierując się ku drodze prowadzącej na zachód, z

Kezankianu do Zamory. Zostało mu parę miedziaków — akurat na dwa dzbany kwaśnego wina u Abuletesa.

— Conan!

Zdumiony, zawrócił. Głos dobiegał od strony kolumny niewolników. Do karawany należało kilka grup, które w normalnych warunkach tworzyłyby osobne konwoje, ale teraz się połączyły, by uniknąć losu kilku poprzednich. Podjechał bliżej i wybuchnął śmiechem.

Handlarz podzielił swój towar według płci, żeby oszczędzić sobie zbędnych komplikacji.

Nagie kobiety, skute łańcuchem za szyje, klęczały na piasku w skąym cieniu długiego pasa białego płótna. A w środku tego szeregu klęczała... Karela!

Zatrzymał się przy niej. Zerwała się, aż zadrżał jej lekko przypalony słońcem biust.

— Wykup mnie, Conan. Wykup mnie, to wrócimy i weźmiemy, co tylko będzie trzeba ze skarbów Amanara. Kezankijczycy na pewno już odeszli, a wątpię, żeby zabrali choć jedną tysięczną jego złota.

Cymmeryjczyk jeszcze raz przeliczył w myśli swoje miedziaki. Następnie przypomniał

sobie przysięgę, do której Czerwona Sokolica nie tak znów dawno go zmusiła. A on w swej barbarzyńskiej prostocie uważał, że przysięgi są po to, żeby ich dotrzymywać.

— Skąd się tu wzięłaś, Karelo? Hordo już zdążył cię opłakać.

— On żyje? Jak to dobrze! Moja historia jest dosyć dziwna. Obudziłam się w zamku Amanara z jakiegoś koszmarne snu. Góra się trzęsła, zamek się walił, a S'tarra dostali zbiorowego oblędu. Miałam dziwne wrażenie, że to dzieje się naprawdę.

— Niezupełnie — mruknął Conan. Cieszył się, że nie pamiętała, co robiła u Amanara.

Przynajmniej to zostało jej oszczędzone. — Mów dalej.

— Znalazłam szablę, niestety nie moją, czego bardzo żałuję. Ale może ją znajdę, jak się tylko rozejrzemy po gruzach. Dość, że wyrąbałam sobie drogę do bramy, lecz zanim dotarłam do obozu, pękła klinga. Widocznie była z kiepskiej stali. Udało mi się ukraść konia, ale ledwo na niego

wsiadłam, górale pogonili mnie i ścigali prawie do szlaku. Dopiero tam się odczepili.

— Pokiwała głową niemal żałośnie.

— To ciągle nie tłumaczy, skąd się tu wzięłaś — zauważył.

— No... Miałam głowę zbyt zaprzątniętą Kezankijczykami, żeby jeszcze uważać, dokąd jadę, no i wpakowałam się między łapaczy. A że byłam bez szabli, już po chwili przywiązano mnie do mego własnego konia. — Zaśmiała się z przymusem.

— Skoro tak, to każdy magistrat każe cię wypuścić. Musisz tylko udowodnić, kim jesteś i że nigdy nie byłaś niewolnicą!

Zniżyła głos i rozejrzała się, czy nie podsłuchują skute z nią kobiety.

— Jak to sobie wyobrażasz, Conan? Jeżeli nawet udowodnię jakiemukolwiek magistratowi, kim jestem, to najbliższym prezentem, który Tiridates dostanie, będzie moja zasuszona głowa.

Niech cię Derketa! Wykup mnie!

Znów padła na kolana. Trochę go to zdziwiło, ale zaraz poznał przyczynę. Podeszedł do nich gruby mężczyzna z gęstymi wąsami, w którego lewym uchu wisiał złoty kolczyk z dużym rubinem.

— Dzień dobry — skłonił się nisko przed Conanem. — Widzę, że wybrałaś, panie, jedną z moich piękności. Wypręż trochę kolana, panienko, i ściągnij ramiona. Ściągnij ramiona, mówię!

Karela, czerwona ze wstydu, patrząc wściekle na Conana, posłusznie wykonała polecenie.

Grubas promieniał, jakby był nauczycielem, a ona jego najlepszą uczennicą.

— Hmm, czy ja wiem...? — rzekł Conan w zamyśleniu.

Karela spojrzała na niego z jeszcze większym gniewem w oczach. Handlarz pogardliwym wzrokiem obrzucił jego znoszoną odzież i już chciał coś powiedzieć, ale rzut oka na szerokie bary i potężny, najwyraźniej często używany, miecz Conana kazał mu odezwać się inaczej.

— Powiem otwarcie, jest to nowy nabytek i dlatego sprzedam ją tanio. Poza tym kupiecka uczciwość wymaga, bym uprzedził cię, panie, o wadach tego towaru. Ta dziewczyna jest u mnie od dwóch dni, a już dwa razy próbowała uciec. Za drugim razem prawie jej się udało odebrać strażnikowi szablę. — Tu Karela naprężyła dumnie ramiona, tak jak tego wcześniej żądał. — Ale to tylko pierwszego dnia. — Twarz dziewczyny zaczęła płonąć. — Dobra chłosta po obu próbach odniosła pożądany skutek i odtąd zachowuje się wzorowo. — Jej twarz była czerwieńsza od zachodzącego słońca. — Zna pan teraz jej dobre i złe strony na tyle, na ile ja zdołałem je poznać.

— Podziwiam twoją szczerłość — rzekł Conan poważnie. — Co zamierzasz z nią zrobić w Sultanapurze?

Karela patrzyła prosząco na młodego barbarzyńcę.

— Chyba sprzedam ją do haremu — odparł handlarz. — Do prostych robót jest za ładna, do domu uciechy też jej szkoda, do Yildiza zaś jej nie wezmą, bo nie umie śpiewać ani tańczyć.

Co prawda zna takie tańce, których znajomości nawet nie przewidywałem. Sprzedam ją zatem jakiemuś nadzianemu kupcowi, żeby mu grzała łóżko, co? — Zaśmiał się, ale Conan nie przyłączył się do jego rechotu.

— Conan! — jęknęła Karela, krztusząc się. — Błagam!

— Ona cię zna? — zdziwił się handlarz. — To jak, kupisz ją, panie?

— Nie! — odpowiedział Cymmeryjczyk.

Oboje spojrzeli na niego w osłupieniu.

— To po co zawracasz mi głowę? — fuknął handlarz. — Pewnie w ogóle nie masz pieniędzy!

— Owszem, mam — odparł Conan żywo. Nie jest kłamstwem oszukać handlarza

niewolnikami, pomyślał przy tym. — Ale kiedyś złożyłem uroczystą przysięgę, że nigdy nie będę próbował ratować tej kobiecie życia ani wolności.

— Nie! Conan! — krzyknęła Karela. — Conan! Nie!

— Osobliwa przysięga — mruknął handlarz. — Ale potrafię to zrozumieć. Nie szkodzi, z takim jak jej biustem bez trudu dostanę za nią dobrą cenę w Sultanapurze.

— Conan! — Zielone oczy wychodziły z orbit, a w głosie dziewczyny brzmiała niczym nie maskowana rozpacz. — Conan, zwalnię cię z tej przysięgi!

— Kobięca logika odznacza się jej brakiem — przypomniał sobie dawno zasłyszane słowa starego wendyjskiego mędrca. — Jak może kobieta zwolnić człowieka z przysięgi złożonej przed bogami? Gdybym teraz złamał dane słowo, mogłoby to mnie narazić na taki sam los.

— Możliwe. — Handlarz, widząc, że do transakcji nie dojdzie, spojrzął na niego obojętnie.

Karela uczepiła się strzemion Conana.

— Nie możesz mi tego zrobić, Conan! Zabierz mnie stąd! Zabierz mnie stąd!

Cymmeryjczyk wycofał się z zasięgu działania nagiej kobiety.

— Zegnaj, Karelo. — W jego głosie słychać było żal. — Tak bardzo chciałem, żeby między nami



było inaczej!

Ruszył wzdłuż karawany.

— Niech cię Derketa, ty kupo mięsa! — niosło się za nim wołanie Czerwonej Sokolicy. —

Wracaj natychmiast i kup mnie! Zwalniam cię z przysięgi! Conan! Niech cię Derketa zetrze!

Conan! Conan! Conan!

Oddalając się od karawany, z wolna przestał słyszeć wyzwiska. Westchnął. Wcale nie miał

ochoty zostawiać jej w kajdanach. Gdyby miał pieniądze, gdyby nie złożył tej przysięgi...

Jednocześnie jednak odczuwał rodzaj złośliwej satysfakcji. Może do tej kobiety dotrze wreszcie, że nie należy kogoś, kto uratował jej życie, przywiązywać do kołków czy też bez cienia litości przyglądać się, jak czarownik wtrąca go do lochu.

Zresztą, znając Karełę, nie ma haremu, który by ją długo utrzymał. Najdalej za pół roku usłyszy się znów o Czerwonej Sokolicy.

A co do niego samego, miał wszystko, czego mu było trzeba: cztery miedziaki w sakiewce, dziewiętnaście lat, a przed sobą cały wielki świat. Jak mu się spodoba, zawsze może poszukać skarbów w Larshy i żadne duchy mu w tym nie przeszkodzą.

Roześmiał się i ruszył w kierunku Shadizar.